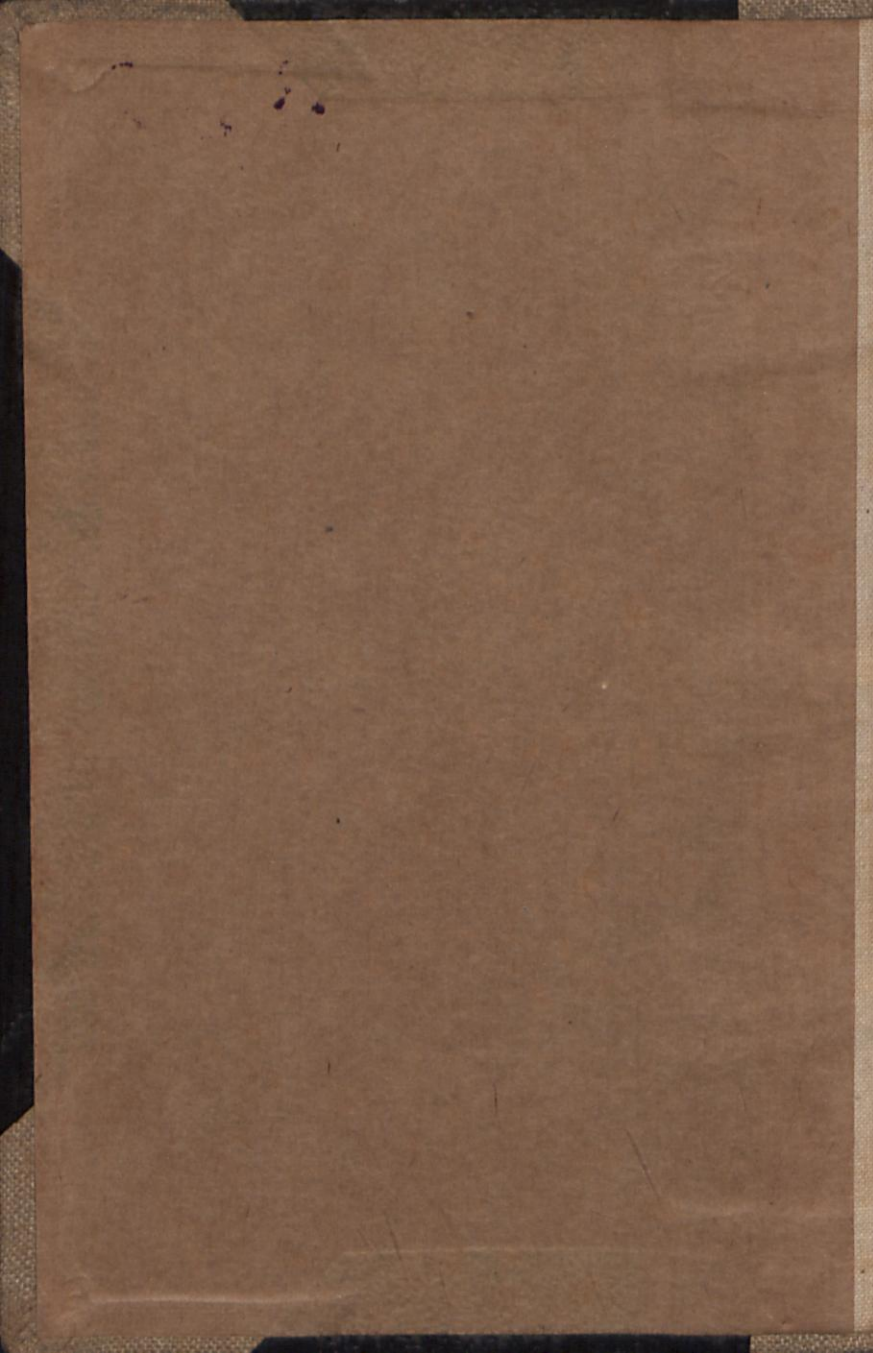


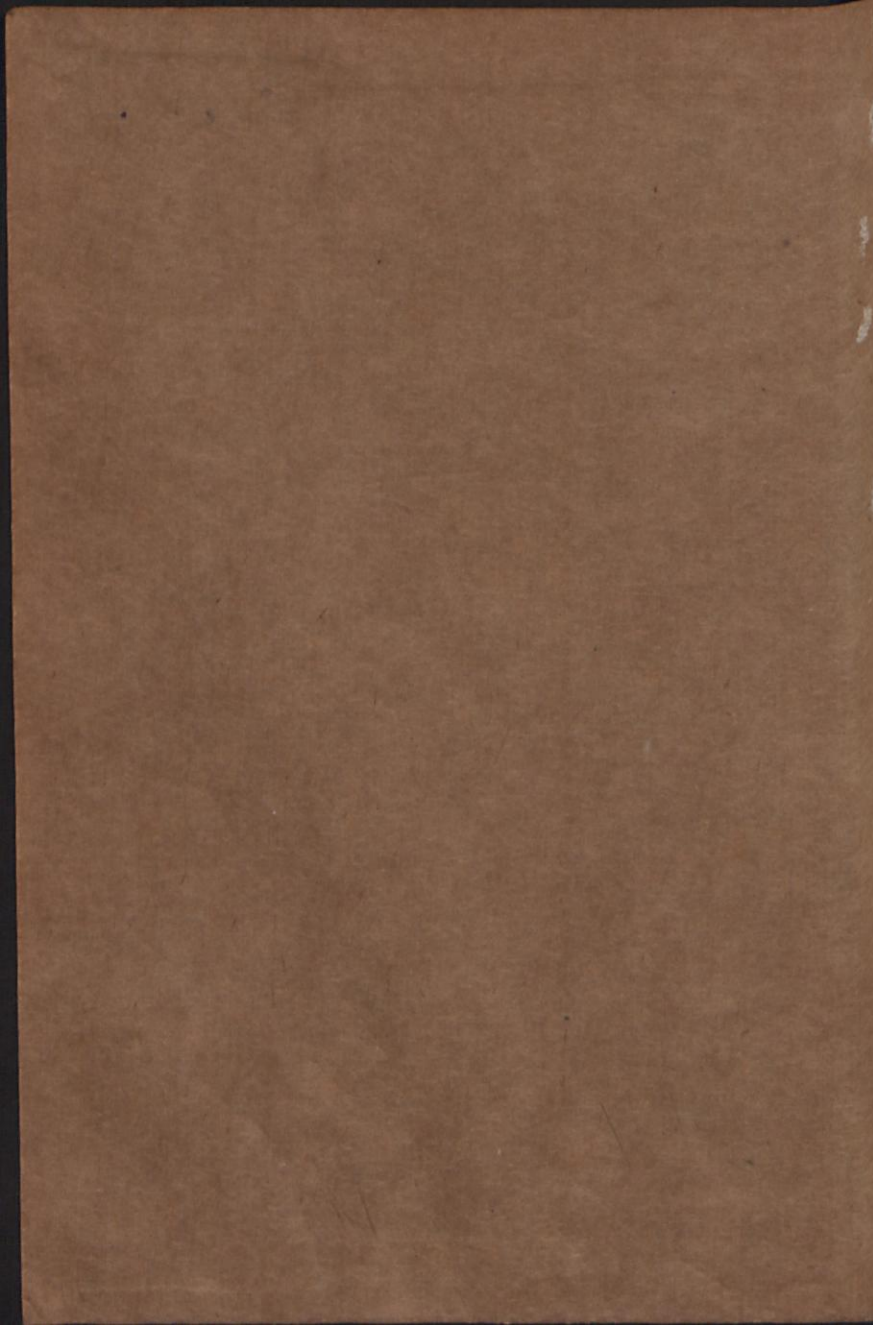
2
ovo
inski



252

10335,6

19





DOBROWOLSKI
JAKUB JASIŃSKI

1911

19/51 51
9/22 7.20

ST. RYSZARD DOBROWOLSKI

JAKUB JASIŃSKI

«Młodzian piękny i posepny»

92



PAŃSTWOWY
INSTYTUT WYDAWNICZY

Księgozbiór BP



10043686

Zamość ul. Pereca 14
Biblioteka Publiczna

5

MW

BIBLIOTEKA PUBLICZNA
Miejskiej Rady Narodowej
w Zamościu

252

92:943.8

Dob

Jak

Wszelkie prawa zastrzeżone

All rights reserved

Manuskrypt otrzymano dnia 14. XII. 1950

Druk 15 ³/₄ ark. ukończono 28. II. 1951

Nakład 10.000 + 500 egz.

Papier dzielowy matowy V kl., 80 g, form. 75×100 cm

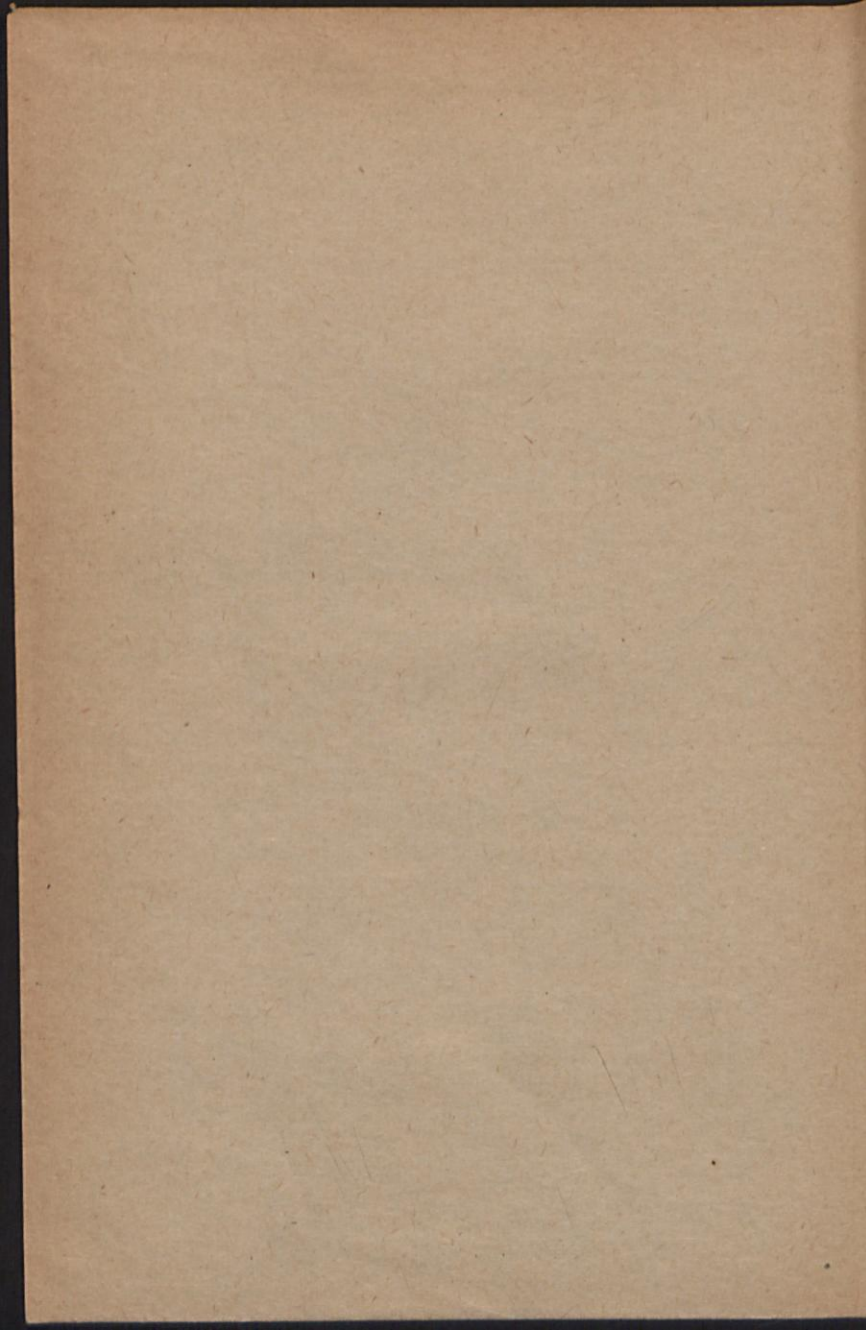
Printed in Poland

Drukarnia Wydawnicza w Krakowie, Zwierzyniecka 2

Zam. nr 490/50 M-1-28729

PAMIĘCI
MATKI MOJEJ

121



Kto w czytaniu dziejów dawnych nie więcej nie widzi, jak tylko łańcuch wojen, traktatów, utraty i korzyści, ten nie może powiedzieć, że zna dzieje; nauka o dawnych czasach tyle tylko zatrudniać powinna, ile wystawia na widok ducha prawa, przyczyny wzrostu lub upadku, które każdy stosować może do swego pożytku.

Jakub Jasiński

OD AUTORA

Książka niniejsza nie jest dziełem historyka. To tylko podjęta przez poetę próba nakreślenia ze skrupulatną wiernością dla dokumentów historycznych literackiego p o r t r e t u ulubionego i bliskiego mu dziejowego bohatera-poety, polskiego jakobina, jednego z najzarliwszych u schyłku XVIII w. czerwieńców, kryształowego patrioty i heroicznego żołnierza, inspiratora, organizatora i przywódcy insurekcji kościuszkowskiej na Litwie.

Jakub J a s i ń s k i jest postacią, która — acz owiana wszystkimi urokami wspaniałej legendy — nie zdobyła sobie szczególniejszego uznania u znakomitej większości naszych dawnych, szlachecko-mieszczkańskich dziejopisów i historyków litera-

tury. Stąd i mała jej, ściślej zaś biorąc — żadna popularność.

Niedoceniony i fałszywie przedstawiany, najczęściej zaś przemilczany jako działacz polityczny i jeden z bojowników o sprawę reformy, zlekceważony wreszcie jako poeta, zachował generał Jasiński jedynie nigdy i przez nikogo nie kwestionowany tytuł do żołnierskiej sławy, zapłacony życiem na szaniecach Pragi w listopadzie r. 1794. Szerokim masom swojego narodu, dla których poświęcił to życie, pozostał do ostatnich czasów prawie nie znany.

Skąd ta rezerwa czy też nawet niechęć burżuazyjnych historiografów do osoby i działalności bohaterskiego żołnierza i ta do niedawna jego niepopularność?

Czytelnik książki o generale insurekcji kościuszkowskiej sam odpowie sobie bez trudu na to pytanie.

Uczczony przez Adama Mickiewicza serdeczną wzmianką w *Panu Tadeuszu* i poświęconym mu (niestety nie dokończonym) dramatem w języku francuskim, „młodzian piękny i posępny“ należy bezspornie do kręgu najbardziej interesujących postaci ostatnich lat dziejów Polski przedrozbiorowej. Młody (padł na żołnierskim posterunku

w trzydziestym piątym roku życia), hojnie obdarzony przez naturę talentami, urodą i junackim temperamentem, dość wszechstronnie wykształcony, budzi żywiołową sympatię, pociąga szlachetnym charakterem i romantycznymi kolejami losu.

Dla dzisiejszego czytelnika w nowej, demokratycznej i ludowej Polsce, a zwłaszcza dla naszej młodzieży, osoba Jasińskiego oraz dzieje jego pięknego życia są szczególnie ciekawe i bliskie.

Urodzonemu w r. 1759 przypadło działać w jednym z najbardziej interesujących i zarazem najokrutniejszych okresów naszej narodowej historii — w dobie, kiedy wśród tragicznych okoliczności waliła się zmurszała budowla starej, szlacheckiej Rzeczypospolitej grzebiąc na długi czas pod gruzami swoimi polityczną niezawisłość Polaków. Jednocześnie wszakże była to epoka rozumnych usiłowań dźwignięcia kraju z gospodarczego, społecznego i politycznego upadku, kiedy podjęto dzieło reformy i w naszą glebę padać poczęły pierwsze ziarna rewolucyjnych idei, które dopiero teraz — po latach — bujnym wyrastają pokłosiem.

Jakub Jasiński należał do ich najzarliwszych siewców. Postać jego — jak postaci Dembowskiego, Worcella, Szymona Konarskiego, Ściegiennego, Walerego Wróblewskiego i Jarosława

Dąbrowskiego — to wzór bezkompromisowego w swoich społeczno-politycznych poglądach rewolucjonisty. Świadomy, jak wszyscy najświetlejsi reprezentanci tamtego okresu, prawdy, że tylko głębokie przemiany życia zbiorowego mogą wydobyc Polskę z otchłani upadku i zabezpieczyć jej zagrożoną suwerenność, związał się Jasiński z najradykałniejszym skrzydłem ówczesnego obozu reformy, inicjującego te tradycje w dziejach polskiego ruchu demokratycznego, którym przez półtora wieku wierni byli najlepsi synowie naszej ojczyzny.

Przedwcześnie złamany żywot Jasińskiego przypadł na czas rozbiorów Rzeczypospolitej. Był on świadkiem pamiętnych prac sejmu czteroletniego (1788—1791), uwieńczonych uchwaleniem konstytucji 3 maja, i uczestnikiem kampanii r. 1792 oraz insurekcji kościuszkowskiej. Całe bogactwo swojej niepospolitej indywidualności zmanifestował przede wszystkim w burzliwych dniach insurekcji i poprzedzających ją rewolucyjnych przygotowaniach.

Ukończywszy w roku 1783 korpus kadetów w Warszawie, ową sławną Szkołę Rycerską założoną i utrzymywaną przez Stanisława Augusta, poświęcił się młody Jasiński karierze wojskowej—

trochę, jak można sądzić, z przyczyn natury majątkowej, a właściwiej rzecz stawiając, z braku majątku. Zaangażowany na instruktora tejże szkoły, pełnił w niej służbę przez dwa lata. Bardzo wcześnie rozbudzone zainteresowania intelektualne i literackie, pierwsze nieśmiałe nadzieje zdobycia poetyckich wawrzynów oraz bujny, gorący temperament szybko popchnęły niewiele ponad dwadzieścia, szerszego życia.

Równie wcześnie, bo już w Szkole Rycerskiej, dziecięcia lat mającego oficera inżynierii do innebudzą się w Jasińskim pierwsze zainteresowania sprawami życia publicznego, kształtują się jego przyszłe radykalne poglądy społeczne i polityczne. Szczególny wpływ osobisty, jak się zdaje, wywarł w tym okresie na wrażliwy i chłonny umysł kadeta jeden z instruktorów korpusu — Wojciech Turski, głośny potem pod imieniem Alberta Sarmaty orędownik sprawy insurekcji przed kratkami paryskiego Konwentu.

Przede wszystkim jednak na rozwój myśli i uczuciowości młodego Jasińskiego wpływała ogólna atmosfera owego czasu: był Jasiński nieodrodnym dziecięciem swojej epoki — wieku Oświecenia i reformy, wieku rewolucyjnej burzy wzniesionej przez francuskie masy ludowe. Du-

chowy uczeń filozofów-racjonalistów, Woltera i Russa, karmiony polską postępową publicystyką z okresu sejmu czteroletniego i francuskimi „nowinkami“, do żywego wzbudzony stanem pohańbienia, w jakim żył jego naród, szukał w ideach i hasłach francuskiej rewolucji, jak podówczas wielu jemu podobnych, sformułowań własnych radykalnych przekonań, w jakobińskiej taktyce — metod rewolucyjnego działania.

Pod przemożnym wpływem tej atmosfery budzi się w nim krytyczny stosunek do współczesnych mu form życia zbiorowego chylącej się ku ruinie szlacheckiej Polski, do jej stosunków politycznych i obyczajowych, jej praw i instytucyj. Ze szczególną pasją wybucha w nim tak charakterystyczna dla postępowych umysłów tamtej epoki niechęć do kleru, jako reprezentanta i obrońcy wstecznictwa. Rodzi się w nim świadomy, choć na razie nieco abstrakcyjny, radykalizm społeczny.

W tych latach życia Jasińskiego jego ówczesny stan umysłu i serca wyraża się jeszcze prawie wyłącznie w poetyckich próbach przyszłego aktywnego rewolucjonisty, szermierza odmiany Rzeczypospolitej. Spod pióra młodego poety wychodzą obok wierszy o charakterze ściśle osobistym

takie utwory, jak *Do Opatrzności* czy obszerniejszy poemat *Sprzeczeki*, w których występuje on gorąco przeciw nierównościom społecznym, zwalcza, idąc śladem Krasickiego, obskurantyzm i chciwość klasztorów, a nie będąc pozbawiony satyrycznych uzdolnień chłoszcze dostrzegane przywary współczesnego sobie życia polskiego.

Z tego też czasu pozostała spora garść jego wierszy lżejszej nieco wagi, wśród nich i takie, jakie odpowiadały płóchej obyczajowości owoczesnych salonów Warszawy, a jakich nie mało strząsnęli z pióra najznakomitsi nawet — jak Trembecki — poeci stanisławowscy, m. in. do dziś powszechnie znana jego piosenka o Zosi, której się chciało jagódek.

Ten okres jego życia ciekawy jest przede wszystkim z uwagi na nurtujące wtedy Jasińskiego wątpliwości, na jego rozterki wewnętrzne, którym niejednokrotnie daje wyraz w swoich wierszach. Duchowa pustka i bezmyślność stołecznych salonów na tle dramatycznego położenia kraju, szarpanego przez zaborczość sąsiadujących absolutystyczno-feudalnych monarchii, zaczyna wzbudzać nieprzewyciężony wstręt w poecie, odpycha go od tego rodzaju życia. Młoda, szlachetna

natura zwycięża w wychowanku Szkoły Rycerskiej.

Trafność krytycznych wystąpień polskiego obozu postępu końca XVIII stulecia, rozległość horyzontów jego publicystyki, zwłaszcza głośniejszej Kołłątajowskiej Kuźnicy — pisarzy takich, jak sam Kołłątaj czy też ksiądz Franciszek Salezy Jezierski — porwała Jasińskiego. Odtąd nie zniża on już życiowego lotu oddając się bez reszty w patriotyczną służbę narodowi.

Żarliwy, szczerzy wyznawca ideałów wolności, równości i braterstwa, a co za tym idzie — zaprzysięgły wróg feudalnej magnaterii, pamiętny opinii księdza Staszica, który twierdził, że „z samych panów zguba Polaków“, niejednokrotnie — jak już o tym była mowa — dawał wyraz swoim przekonaniom w płomiennych utworach poetyckich. A kiedy wybuchło powstanie roku 1794, ostrzem insurekcyjnych kos wymierzone przeciw zdradzie narodowej targowiczom i najazdowi despotycznej monarchini, imperatorowej Katarzyny II, Jasiński, organizator i przywódca insurekcji na Litwie, z rewolucyjną bezwzględnością przystąpił do realizowania swoich poglądów.

Insurekcja, występując — dla łatwiejszej mobilizacji w szeregach wszystkich klas feudalnego

państwa — pod społeczno-postępowymi sztandarami narodowego wyzwolenia, w gorącej atmosferze rewolucyjnych nastrojów buntującego się przeciw feudalnym stosunkom mieszczaństwa, wyzwoliła, zwłaszcza w Warszawie i w Wilnie, szeroki, żywiołowy ruch ludowy.

Jasiński stanął zdecydowanie po stronie tego ruchu.

Rewolucyjne metody działania Jasińskiego w Wilnie strwożyły szlachtę ziemiańską i górne warstwy naszego mieszczaństwa, zaniepokojone poważnie o swój stan posiadania, oraz ściągnęły na niego nienawiść magnaterii i wyższego duchowieństwa.

Trzeba pamiętać, że — jak słusznie powiada współczesny badacz tamtej epoki — „zapożyczając sobie hasła i argumentów od rewolucji francuskiej, mieszczaństwo polskie używało tych argumentów nie dla walki z panującą klasą feudalną, a dla osiągnięcia korzystnej ugody z nią, dla osiągnięcia klasowego kompromisu“.

Przyczyny zaniepokojenia ziemiaństwa rewolucyjnymi nastrojami wśród pańszczyźniaków nie ma tu — sądzę — potrzeby wyjaśniać.

Działalność zapalczywego przywódcy plebejskiego ruchu zaczyna budzić niepokój nawet

w wielce przyjaznym ludowi, noszącym się z zamysłami głębokich reform, ale dalekim od myśli o socjalnej rewolucji — Kościuszcze. Najwyższy Naczelnik widzi w słowach aktu powstania litewskiego: „Idźmy za przykładem Francuzów!” niejedno niebezpieczeństwo dla swojej taktyki politycznej.

Jasińskiego oplotła wnet misterna sieć intryg i knowań jego ideowych przeciwników, nie gardzących w politycznej walce nawet oszczerstwami i pospolitą plotką.

W wyniku usilnych zabiegów tzw. „umiarkowanych“ z bliższego i dalszego otoczenia Najwyższego Naczelnika, wśród których nie brakło i skrytych, a nawet do niedawna półjawnych adherentów Targowicy, Kościuszko mimo uznania dla zasług i bezspornych sukcesów insurekcyjnych Jasińskiego odebrał mu naczelne dowództwo na Litwie.

Ten polityczny dramat jednego z najgorętszych u schyłku XVIII stulecia polskich czerwieńców był doskonałym wyrazem ostrych przeciwieństw klasowych w łonie kierownictwa insurekcji, manifestujących się na tle procesu walki zupełnie nowych, rodzących się dopiero naówczas w Pol-

sce sił społecznych ze starym, feudalnym porządkiem.

Rozgoryczony „młodzian piękny i posepny“ — jak go nazywa w *Panu Tadeuszu* Mickiewicz — nie uległ wszelako nastrojom pesymizmu wywołanym bolesnymi przeżyciami wileńskimi i coraz to dramatyczniejszym położeniem kraju. Wierny do ostatka swoim rewolucyjnym zasadom, wytrwał w służbie narodu i zmagających się z despotyzmem ludów aż do katastrofy ojczyzny, nie przeżywszy jednak okrutnej klęski.

Poległ na połu chwały z myślą o Rzeczypospolitej wolnego ludu polskiego.

*

Piszący o Jasińskim, jeśli nie chce wykraczać poza sferę ścisłych faktów, aż nazbyt często popada w niemałe kłopoty. Pomijając brak naukowych monografii poświęconych naszemu rewolucjoniście — prócz niepełnej, jednostronnej i nieestetycznej, nieraz bałamutnej charakterystyki bohatera Wilna i Pragi w książce Henryka Mościckiego — stosunkowo bardzo ubogo przedstawia się zasób dokumentów dotyczących osobistego życia Jasińskiego. Dlatego książka ta, pisana o poecie

przez poetę, nie rości sobie bynajmniej pretensji do wypełnienia przykrej luki, jaką w naszej historiografii jest brak solidnej, nowoczesnej, ściśle naukowej pracy o Jasińskim, polskim jakobinie.

Jest to piękne, porywające zadanie dla naszych młodych badaczy-marksistów.

Płomienny twórca patriotycznych wierszy, interesujący liryk oraz autor popularnych piosenek, nieprzejednany, śmiertelny wróg wszelkich form wsteczności i obskurantyzmu, wyznający przekonanie, że „bez Ojczyzny nie masz ołtarzów“, biczem satyry smagający ciemnych mnichów antyklerykał — oczekuje dzisiaj Jasiński również na głębsze niż dotąd zainteresowanie naszych historyków literatury. Zasluguje na ocenę sprawiedliwszą od tej, z którą się obecnie jeszcze tu i ówdzie spotykamy, zwłaszcza w pracach o piśmiennictwie polskiego Oświecenia publikowanych przez przybranych w profesorskie togi przedstawicieli współczesnej myśli katolickiej w Polsce.

Autor niniejszej książki, nie pretendując do trudnej roli naukowego biografa Jasińskiego, pragnął jednak pozostać jak najwierniejszy faktom; pozwolił więc sobie pełnymi garściami czerpać z dostępnych mu dokumentów — akt, ko-

respondencji, pamiętników, nawet publicystyki końca XVIII stulecia — przy komponowaniu literackich obrazów, scen i dialogów, przenosząc niejednokrotnie żywcem cudzą treść do swojego utworu. Niech mu to będzie przebaczone, że z uwagi na specjalny cel i beletrystyczny charakter swojej pracy prawie nigdzie nie podaje owych źródeł, z których się tak obficie zapożyczał.

Warszawa—Zakopane 1950.

PIKNIK

Zza okien, spoza spotniałych szyb, turkot dobiegał nieustanny, stukot rozgłośny kół po wyboistym bruku, trzaskanie długich, giętkich angielskich biczów i — od czasu do czasu — krzyki woźniców, przybranych w cudzoziemskie liberie, najczęściej z francuska. Przed krużganek wciąż zajeżdżały coraz to nowe pojazdy — karoce świetne, paryskie, lipskie, drezdeńskie, niderlandzkie, i angielskie powozy, kariolki i koczki oraz pospolite fiakry. U głównych drzwi wejściowych między filarami, na których rozświetlone latarnie mówiły bywalcom, że tu właśnie imé pan Jan Marwani, antreprenier nie lada, wszystko jak należy przysposobił ku uciechu przybywających, ruch był wielki. Od budki przez dwóch strzeżonej dragonów, gdzie sprzedawano bilety, po stopniach tłum płynął rozmaity — wszystko w maskach i przebraniach: jedni za Kozaków, drudzy w szaty hiszpańskie, portugalskie, niemieckie lub

tureckie, wschodnie, wielce barwiste; jeszcze inni na czarno, po angielsku. Wśród tego — fraczków co niemiara pstrych i dam w szaty wieśniacze przyodzianych, młodziutkich paniczek i nierzadko zażywniejszych, wąsatych i brzuchatych ichmościów o nosach jak śliwy. Ten za Węgrzyna z wonnościami, kosz z olejkami wszelakimi niosącego, ten za Maura, a ów za księdza w komży, z kropidłem i chłopięciem albo dziewczątkiem w chłopięcych szatach — u boku.

Wchodzili do sali nie nazbyt rześkie oświetlonej pajakami żyrandolów, w których płonęły świece woskowe, wnosząc jak gdyby srebrny szum zmieszanych głosów i podochoconych, wesołych śmiechów, radosny rozgwar, podniecenie, furkot kolorowych wstążek, pieśń szelustliwy szept jedwabnych sukien i chętkę do swawolnej zabawy.

Od sali płynęły im naprzeciw dźwięki kapeli, pod której takt płały owe moregowate fraczki z Turczynkami, wieśniaczkami — ni to polskimi, ni to francuskimi, z pasterkami wymyślonymi przez majstrów saskie wazy wyrabiających, z damami przyobleczonymi w andaluzyjskie szale i italską modą kraszającymi usta i policzki. Tańcowano tu wiele tańców najrozmaitszych — kon-tredanse i anglezy, ankatry i sztagary: a to przede

wszystkim dla płochych przy tym uciech, którymi i księża zakonnici niektórzy tu nie gardzili, bez najmniejszego duchowieństwa znaku na balik przechodząc.

W komnatach bocznych nie mało było takich, co nad płasy taneczne wyżej uciechy stołu przedkładają, nad niewieście powaby — napitek. Ci poncz zwłaszcza popijali, ale i wina wszelkie — i to nieraz całkiem bez miary. Najwięcej wszelako kryło się tu gotowych do hazardu z fortuną graczy, szulerów nad karcianymi stołami, którzy po prawdzie ani starymi winkami, ani smaczными sosami, ani zapachami potraw wyśmienitych nie gardząc, największe upodobanie znajdowali w miłym dla ich uszu dźwięku sztuk złota i rozkosznym dla oczu widoku sukna przystrojonego konterfektami monarchów na kartach, na dukatach i rublach. Ci w zacnej kompanii nie tylko do rana, ale i do południa dnia następnego tu pozostawali, na nic niepomni, wstając zaś od stołów, bez folwarków, a nieraz i bez czci stąd wychodzili nie mając nawet dokąd wracać.

O tym jednakoż nikt nie myślał stając w kręganek przed afiszami przez sługi pana Marwani wywieszonymi. Gorące dźwięki kadrylów, śmiech pospólny kobietek i panów w stolicy co najprzed-

niejszych, a wśród nich filutów i wydrwigroszów, obieżyświatów spod ciemnej gwiazdy, oddech rozkołysanej sali jak ukrop buchający w ciemną przestrzeń błotnistej ulicy — kusily i ciągnęły w głąb, a zatroskanego o los własnego koczka czy karocy przy kart filowaniu ów afisz uspokajał, że po balu fiakra lub remizę dostać będzie można. To, że nie tylko pojazd, ale i całe dobra niejeden posesjonat na takich asamblach, redutach, piknikach przy lombrze czy faraonie zostawiał — kto by o tym chciał wiedzieć mając nadzieję na pomyślność, na przychylną łaskawą fortunę i jeszcze na kompanijkę wdzięczną, sekretne schadzki i rozkoszne potem w samotności zabawki.

Właśnie jeden z paniczów modnych, stając u wejścia w czerwonym świetle latarni, niby to niechęć order odśloniony ukazał u boku. Widać, że damom dla zaświecenia w oczach szeroko rozwartych, błękitnych, i dla przypodobania się — jak kogut, kiedy czubem krasnym trzęsie.

— Ja kilkadziesiąt mam łokci wstążek przy sukni, a przecież się nie chlubię nimi, a waćpan trzy zaledwie łokcie dostawszy tak nimi w oczy świecisz — palnęła mu prosto z mostu niebiesko-oka, o nóżkach maleńkich w buciczkach paryskich na obcasach jak igielki. I ruszyła w głąb, do sali,

śmiech perlisty za sobą wlokąc, a panicz — już za nią.

Z bocznej komnatki, gdzie nad długim stołem i dam między poniterującymi nie brakło — ba, jedna pierwsze miejsce wzięła, groźne dla bankiera — sentymentalny brzęk gitary dolatał i czysty, mocny męski głos:

Chciało się Zosi jagódek,
kupić ich za co nie miała...

Śmiech kaskadami się przelewający, musujący jak wino, przymilny śmiech niewieści, wtórował śpiewającemu dalej, beztroskiemu — sądzić by należało — bardowi młodości i nie zmaczonej jeszcze radości życia:

Jaś miał ich pełen ogródek,
prosić się Jasia nie chciała.

Wszelako kto by na dłużej nieco zatrzymał się u wejścia do owej komnaty rozśpiewanej, szulerkiej, jak ul złotych owadów pełen dzwoniącej, szumnej i barwnej, motylim życiem wypełnionej, zadziwiłby się niemało, podsłuchawszy tenoru rozmowy toczącej się tuż za progiem, a nie zwracającej większej uwagi w powszechnym rozgwarze wśród hazardu i biesiady, niezauważanej — co było tym dziwniejsze, że prowadzono ją w obcym, niemieckim języku.

— Polski chłop — wykladał mężczyzna o skro-
niach dobrze już siwizną przyprószonej swoje-
mu towarzyszowi przy małym stolczku, na któ-
rym tylko samotna butelczyna reńskiego i dwa
stały kielichy do połowy ledwie wypróznione —
jest dotąd w całym znaczeniu wyrazu poddanym,
niewolnikiem. Nowa konstytucja — ciągnął po-
woli głosem równym, beznamietnym — starała
się jego los polepszyć, ale tu — uśmiechnął się
sarkastycznie — mowa nie o tym, co miało być,
lecz o tym, co jest...

Tu rozmówca urwał nagle, bo oto przez próg
przefrunęła tanecznica, nieledwie na końcach pal-
ców się wznosząc, lekka jak nimfa rozpląsana,
pękami kolorowych wstąg omusnąwszy poważnego
statystę, a za nią — młodzieniec w błękitnym
mundurze królewskiego oficera.

— Polak tańczy chętnie — zmienił tok roz-
mowy chłodny obserwator — i nadzwyczaj pięk-
nie. Na Śląsku — dorzucił umoczywszy wargi
w kieliszku — wiadoma to rzecz, że u wód naj-
lepsi tancerze Polacy.

— Naród to we wszystkim namiętny — wtrącił
dotychczas milczący współtowarzysz rozwijają-
cego swoją rzecz uczonego cudzoziemca.

— Ale w grze — przerwał tamten — więcej

jeszcze niż w czymkolwiek. Grają w Polsce nie tylko drogo, ale do gry jest zapal niezmierny w całym kraju, do kart, a nawet do kości. Prawdziwy Polak szuka sobie zwykle faraona, tryszaka lub *vingt-et-un*. Na wszystkich balach, na wszystkich zgromadzeniach banki zakładają... Tu grają duchowni jak i świeccy. Sam widziałem bogatego Polaka grającego godzinami ze służącym i z ubogim Żydkiem faktorem...

— Niebezpieczna to gra!

— Niebezpieczna, bo kraj nieuchronnie ku przepaści wiedzie. Na włościanina pracy wszystko się tu zasadza, włościanin zaś żadnych praw w Polsce nie posiada, gorzej od bydłęcia traktowany. Od pana zależy, jak długo zechce wieśniakowi ziemię dawać albo mu ją na gorszą zamienić. Nic rzadkiego widzieć tych, co się lepiej mają, na gorsze przesiedlanych grunta, a znędzniałych na lepsze, aby mogli się lepiej wysługiwać. Syn nie jest koniecznym spadkobiercą po ojcu, nikt na pewno rachować nie może, iż się praca jego dzieciom dostanie. Że za tym idą próżniactwo i rozpusta, nic dziwnego. Pozostaje jedna tylko namiętność — pijaństwo.

— Jakoż więc ład się społeczński w tym królestwie utrzymuje, skoro i możni w nim panowie,

i włościaństwo w pijaństwie żyją? Pijany stan kontuszkowy, pijani oficerowie, pijani sejmów uczestnicy i pijani rolnicy tego kraju! Waszmość podróżował po Polsce już niemało...

— Kańczug jest narzędziem, które rządzi tymi tłumami. Dwadzieścia batów okropna kara, ale w Polsce za bagatelkę po sto i sto walą. Na onym kańczugu tedy wszystko stoi...

Sięgnął ręką po kieliszek, ujął go w dwa palce i obracając szkłem pod światło, wpatrzył się przy-mrużonymi wąsko oczyma w złocisty płyn, po czym jednym haustem wychylił zawartość krysz-tału, jak gdyby w ten sposób manifestując, że nie ma już nic więcej do powiedzenia w owej materii. Wszakże po chwili, roześmiewszy się śmiechem szerokim i zgrzytliwym, dorzucił niemal niedbale:

— Nie nam się o to troskać!

Tymczasem przy długim stole szulerów, gdzie snadź hazard rozgorzał na dobre i rozgwar rósł wprost nieopisany, nikt już nie zwracał uwagi na otoczonego do niedawna wieńcem przymilnych towarzyszek wspaniałego młodzieńca z gitarą. Krąg niewiastek odwrócił się od wdzięcznego pie-śniarza. Wszystkie teraz, pochylone nad plecami filujących karty, wpijały rozgorączkowane, bly-

szczące afektem spojrzenia w stół, nieledwie wyciągając obnażone ramiona ku wabiącym stosom sztuk złota. Młodzieniec odrzucił narzędzie muzyczne i wstał z niskiego zydla, na którym dotąd spoczywał. Najpierw zwrócił wzrok ku zdradzającym go towarzyszkom, lecz tylko grymas nudy wykrzywił jego piękne rysy i wzgardliwy uśmiech przeleciał mu po wąskich, zaciśniętych wargach. Szukając jakby przedmiotu czy osoby, na której spocząć by mogła jego ciekawość, spojrzał ku drzwiom, przez które widać było główną salę i rozpląsanych tancerzy. Ale i kadryl nie wzbudził w nim żadnego interesu. Muzyka płynąca przez drzwi — zdawałoby się — opływała go jak kręgi spokojnych wód, ale nie porywała. Patrzył i słuchał jak gdyby przez mgłę, dopóki spojrzenie jego przypadkiem nie padło na stolik przy drzwiach, na mężczyznę o srebrniejących włosach, w tej chwili właśnie odstawiającego pusty kielich, i na jego sąsiada.

— Dobry wieczór waszmości! — skłonił się uprzejmie cudzoziemcowi i podszedł równym, sprężystym krokiem do stołu dwóch samotnie gwarzących biesiadników.

— Dobry wieczór waszmości!...

Teraz zasiedli we trzech i z butelki reńskiego

pociekły trzy złociste strużki, a w ślad za nimi — żywy dialog:

— Waszmość tu? — pytał młodzieniec.

— Tu. A waćpan?

— Znów w Warszawie.

— Na pikniku?

— Mniemasz waszmość, że to mnie niegodne?

— Hm!... Miałem waszmości za patriotę i jakubina, przyjaciela ludu. Zaliż to miejsce dla przyjaciela ludu?

— Miałem waszmości za człeka uczonego, *vir doctus*! Zaliż to miejsce dla uczonego umysłu?

— Jam tylko podróżnik, ciekaw świata. Waćpan zaś w służbie... Nie?

Gęste zmarszczki zbiegły się na jasnym czole młodzieńca.

— Powiem waszmości, że już nie wiem, jak nam żyć i działać. Ręce nieraz opadają — ścisnął skronie szeroko rozwartą dłońią.

— No, no...

— Wchodząc do arsenału warszawskiego, w którym wielką zawsze pokładałem nadzieję, sądziłem, że znajdę wszystkie izby, komory, kondygnacje, przedsienia, framugi — tak jak w zagranicznych arsenalach — napelnione bronią, amunicją i działami różnego kalibru i wiel-

kości. Aliści przeciwnie pojęciu mojemu wszystko znalazłem. Z przodu widziałem tylko kilkanaście pokoiów wybornym meblowanych gustem, w tyle zaś stajnie, wozownie, kuchnie, izby dla oficjalistów i do najęcia niektóre pomieszkania, w których dawniej niezłe sprzedawano wino i piwo bielawskie...

— A waszmość czego oczekiwał, kiedy oficjelowie królewscy na pikniku?

— Waćpan szydzisz, ale posłuchaj. Posłuchaj, bo znieść tego już prawie niesposób!... Nie mogąc dopuścić, iżbym się pomylił i gdzie indziej trafił...

— Na ten przykład do pana Marwani — parsknął uczony podróżnik.

— Badałem się przeto — ciągnął młodzieniec nie zwracając już uwagi na kąśliwe przycinki, idąc tylko za głosem trapiącej go myśli — gdzieby tu ryszunki wojenne złożone były. Wtem pokazano mi w tyle drugą bramę, do której wszedłszy widziałem kilka żelaznych szwedzkich moździerzy zupełnie rdzą okrytych i zniszczonych, kilka armat świeżo ulanych, na górze zaś, na drabinach, wisiało kilkanaście ułomków broni starej. Bustum na koniu drewniane w zbroi żelaznej, su-

perwestów krzyżackich kilka, na koniec dery baranie, które mole zjadły...

— Mole, na pikniki nie chodząc, cóż mają? — przerwał szyderca.

Tym razem młodzieniec zachnął się gwałtownie i krew gorącą falą zabarwiła mu policzki. Nie panując nad afektami trzepnął rozwartą dłonią w stolik, aż wino z kielichów prysnęło w oczy siedzącym, i zupełnie nieuprzejmie odpalił starem:

— Waćpan nie dworuj sobie, bo wiesz, że nie tylko od krynolin patrolowania, ale i w szermierce byle komu nie ustępuję. Tego przynajmniej w korpusie dobrze nas uczono. Turski, którego imię, jak myślę, waćpanu nie całkiem obce, nie tylko piórem władał... Był u nas metrem fechtunku.

— Znam Turskiego. Mów waszmość dalej.

— Dalej, pytałem się, gdzie się podziały armaty i wozy amunicyjne dawniejszej roboty. Odpowiedziano mi, że po śmierci zeszłego ludwisarza i dyrektora kazano armaty, nawet nigdy jeszcze nie używane, poprzelawać, wozy i lawety, jako niezdatne, a bardziej, iż na nie miejsca nie było, potłuc i połamać. Żelazo wzięto do skarbu, a drze-

wem obercejkwart do dziś dnia w piecu pali i naj-
tęższej nie obawia się zimy...

— Hm! Nader to ciekawe, co waćpan tu opo-
wiadasz... Ale co mi do tego? Waszmość wiesz,
żem cudzoziemiec i nie mnie troszczyć się o wasz-
mości ojczyznę.

— Hm! — naśladował młodzian drwiący ton
swego rozmówcy. — Wiem, że waćpan, choć nam
obcy, to jednak nie obcy, boć przyjacielem wszyst-
kich ludów się mienisz. I choć Saksończyk, więcej
na głosy z Paryża ucha nadstawiasz, niż za swoją
się oglądasz ojczyznę...

— Być może, że to i prawda. Słuszniej wsze-
lako byłoby, gdybyś waćpan winem w oczy
tamtych chlustał... I nie tylko winem, ale
i prawdą, którą tu nam urągasz. Niejeden arse-
nał przy karcianym oto stole na hazard idzie.
Waćpan wiesz o tym. A piosenki o Zosi i jagód-
kach komponujesz, żeby im przepijanie waćpana
arsenałów wdzięczniej szło.

Młodzian pokraśniał jeszcze bardziej na szy-
dliwe słowa, ale tym razem pochylił tylko ciężko
piękną, grecką niemal głowę, powściągając targa-
jącą nim pasję.

— Waćpan mi tu fechtunkiem imponujesz.
Wiem, w czym rzecz. Ale waszmości trzeba

o czym innym myśleć, czym innym się frasować. Wyście z wojska uczynili co? Szpada Rzeczypospolitej do burd karczemnych służy. Wiem, że waszmość nie z tych, co to swego męstwa w awanturach próbują... Wojsko?... Większa część szlachty polskiej służy wojskowo, stara się o patent i feldcech... Patrząc na mnogość mundurów myślałbyś, że wojsko polskie ma co najmniej 200 000 głów, a w istocie ogranicza się ono do 30 000, chociaż te trzydzieści stanowią może tysiąc regimentów różnych, gdyż jedne z nich mają po piętnastu, czterdziestu, pięćdziesięciu ludzi, a inne samych oficerów bez żołnierzy. Stąd ta rozmaitość barw, mundurów i oficerów... W Polsce wszyscy wielcy panowie są oficerami, uniform jest honorową liberią, oficerska godność poniżona rozdawnictwem stopni.

Z waszmości też szlachetka całkiem nie wyszedł! — dorzucił na koniec, wpijając spojrzenie w rozmówcę.

Skoczne dźwięki kapeli tłoczące się przez drzwi, pijane już zupełnie popółnocne okrzyki na sali, spazmatyczne piski dam — wszystko to najdziwniejszym było akompaniamentem do słów niezwykłego człowieka, który wciąż sucho, bez egzaltacji i na pozór nawet bez ożywienia, toczył

dalej swój monolog — bolesny, twardy, bezli-
tosny.

— Dawniej laufer hrabiego — dziś jest puł-
kownikiem, komendantem drugiego pułku Rze-
czypospolitej. Tytularny pułkownik był kucha-
rzem u hrabiego, adiutant pułkowy stajennym,
inny komediantem, lokajem. Wojsko jest zupeł-
nie w Polsce zaniedbane... Oficerów większa
część nie służyła i nie ma pojęcia o służbie, żoł-
nierz jest przebrany chłopem... I to jeszcze
biorą się redukować!

Ot, masz waszmość piknik! Wielki piknik Rze-
czypospolitej konającej! Waszmości o tym my-
śleć...

Wyjęto wojsko spod hetmanów, nastąpiła ko-
misja wojskowa, która mało co zdołała poprawić.
Pieniądz Rzeczypospolitej regimentarzów i ko-
mendantów bogacił, tym na wiwaty, uczty, asam-
ble, tańce i wojaż zagraniczny służył, a żołnierz
biedny jak niedźwiedź w marcu ssał łapę. Tak
będą wnukowie waszmości mówić o czasach,
w których waszmość mi na pikniku warszawskim
o swoim metrze fechtunku...

Nie pij waćpan tyle wina!... A jutro, jeśli ci
się wyda, żeś nocą z kimś rozmawiał i że ktoś
od waszmości doświadczeńszy obraził cię na ho-

norze, wyzwij go. Będziesz waszmość wtedy sam do siebie strzelał...

Jak błędny dzwignął się młodzian od stołu i chwiejąc się na nogach, wyszedł bez pożegnania za próg.

Na sali gasły świece i swąd dopalających się knotów niósł się w gęstniejącym coraz to powietrzu. Fruwały kolorowe wstęgi i wstążki, lśniły się błyszczące oczy i spocone, rozgrzane policzki, trzaskały za spotniałymi szybami długie angielskie bicze woźniców.

— Kto to? — pochylił się ku mężczyźnie o przyprószonych siwizną skroniach jego współtowarzysz spoglądając za niknącą w balowym tłumie sylwetką pięknego młodziana.

— Waszmość go nie znasz? — ze zdziwieniem odparł zapytany. — To niepospolitych uzdolnień człek, niezwykłych zalet umysłu i żarliwego serca. Wychowanek tutejszego korpusu kadetów. Inżynier i poeta. Pułkownik Jakub Jasiński.

Za oknami była noc warszawska, błotnista i ciemna choć wykol oko. Małe okienka staromiejskich uliczek dawno już pogasły i tylko gdzieś chwiała się, przeskakując przez rozlane kałuże, mdłe światelko latarni nocnego stróża, miejskiego draba. Spóźniony kocz gnał przez te

smutne ulice, rozpryskując fontanny brudnej
wody i gęstego błota.

Chciało się Zosi jagódek,
kupić ich za co nie miała,
Jaś miał ich pelen ogródek,
prosić się Jasia nie chciała...

Piosenka niosła się przez pustkę sennego mia-
sta i pukała do okien. Okna były zamknięte.

W KAFFENHAUZIE

W kaffenhauzie było aż ciemno od fajczanych dymów i unoszącego się nad stolikami oparu — jak pospolicie w gospodach. Niskie i do tego zabrudzone okienka jasności dziennej porcję przepuszczały tak skromną, że ćma tu panowała okrutna. Na ławach pod ścianami, na zydelkach, grupkami u stołów zasiadała zgraja imci Dziarkowskiego gości — nad butelczyną, nad kieliszkiem, nad kubkiem, jak kogo było stać: grodzczy patrycjusze, łyczkowie warszawscy pomniejsi, rzemieślnicy i zwykli hultaje, ptakowie niebiescy, co to nie sieją, nie orzą, a wśród tego i królewscy oficerowie, i bracia szlachta biedniejsi, i ówdzie nawet jeden w duchownej sukience, w kącie.

W izbie dzwoniło jak w ulu.

Właśnie jeden taki w kapocie sukiennej, czarnej, siodlarz jakiś z Elektoralnej czy też staromiejski szewczyzna, obracając się zuchwale do

szeroko rozpartego nad kubkiem szlacheica, bryzgnął mu w oczy jadownicę:

— Tedy tu nie dla waści miejsce, skoroś popółstwa wróg i ratowaniu Rzeczypospolitej od zatonienia przeciwny!...

— Francuskiego by na waćpana sposobu zażyć... Cesarzowej ministra ruble waści pachną! — syknął z kąta wąsaty jegomość odrywając usta od kubka.

— Sprzedawczyków socjusz!

— Ślacheic, psiapara... Francuzów by na was!

— Królewski jurgieltnik!

— Wycirus dworski!...

Zawrzało w krąg — i już się do jegomości brali.

— A asan mi na króla szkarady nie... asan mi tu jęzorem nie... — bulgotał *bene natus* dźwigając się nad stołem, ciężki, z nalanymi krwią oczyma — nie wygaduj!... nie wygaduj!...

I bił pięściami w stół.

— Nie w królu rzecz — warknął ktoś z boku.

— A asan wiesz, co Francja? — indyczył się szlacheic, osaczony już zewsząd kapotami. — To żywe wyobrażenie anarchii. Wszystkie związki zerwane, rząd obalony, prawa bez powagi, zwie-

rzeczność bez władzy, sąd bez mocy, cnotliwych obywatelów albo zamordowano, albo w ciemni-
cach jęczą...

— Tacy oni cnotliwi jak i nie przymierzając, nasz Branicki czy Rzewuski, czy Szczęsny! — zachichotał w kącie księżulo.

— A waćpan wiesz, co Rzeczpospolita dzisiaj? — przyskoczył do szlachcica oficer pułku Działyńskich wpatrując się weń, jak gdyby go prześwidrować chciał tym wejrzeniem. — Waćpan wiesz?!

— Władza i rząd w ręku wyuzdanego pospółstwa... — próbował jeszcze tamten, ale mu już do słowa dojść nie dawano.

— Ciszej, wasze!...

— Przepych największy jednych — podjął oficer — graniczy z najstraszniejszą drugich nędzą. Lud na prowincjach głodny, z kory sobie chleb wypieka... Oto wasza Rzeczpospolita!

...Szalona, namiętna gra — ciągnął dalej — zajmuje dnie, wieczory, noce... Grają wszyscy: panowie, panie, słudzy, dzieci!

Poniński — odpowiedz waść, było tak? — przegrywa miliony, Massalski swe dochody biskupie, inni aż do sumienia... Zbytek niesłycha-

ny, zdumiewający cudzoziemców: ostrygi wiozą kurierzy beczkami, wino płynie strumieniem...

Słali magnaci bieliznę do prania do Paryża?...

Na pańskich dobrach rosną długi, frymark ziemią wchodzi w obyczaj.

Ruina gospodarstwa.

I co?

Nieprzyjacielskie korpusy w granicach...

Masz waść, co Rzeczpospolita! — utknął, dech straciwszy z afektu.

— Tyrania i despotyzm pański! — huknął jakiś głos od okna.

— Żołnierz niepłatny!

Ale adwersarz jakubinizmu wciąż jeszcze nie dawał za wygraną:

— Rewolucja francuska, która — zaczął chytrze z innego już tonu — z początku miała tak chwalebny zamiar, jak uwolnienie dwudziestu czterech milionów ludzi spod okrutnego jarzma, stała się na koniec matką ohydnych i tysiącznych zbrodni i sprowadziła na kraj najokrutniejszą i najfatalniejszą, jaka tylko być może, tyranię, to jest — podniósł głos — tyranię ostatniego, grubego, zapalczywego ludu...

— Dudkujesz z nas, waszmość!...

Parasknęli dookoła wszyscy, najgłośniej zaś rechotał z kąta ów duchowny i siedzący wraz z nim młody szlachetka-szaraczek.

— Ha! ha! ha!... Ha!... Ha! ha! ha!... — ryczał cały kaffenhaus, aż się od tego pokładania ze śmiechu trzęsły z dawna nie myte szyby i dzwoniły szklanki na stołach.

— Kilku łajdakom zawiązać by gębę, którzy są apostołami Kollåtaja i jego systema powtarzają! — ledwie jeszcze półgłosem wydobył z siebie zmordowany, zirytowany pyskacz i osunął się całym cielskiem na ławę, kapitulując snadź tym razem przed przewagą pogardzanego przezeń gminu.

Gospoda wszelako wrzała dalej rozgłośnymi dysputacjami — tam i sam coraz to nowe wybuchały zwady i sprzeczki, coraz to nowe podnosiły się krzyki i na przemian niósł się śmiech szeroki, gromki.

Teraz stanął u okna jeden z gości — szlachcic, jak widać — suto po polsku odziany, w granatowy kontusz z karmazynowymi obszlegami, szlify przy tym złote, i w żupan takiejże barwy karmazynowej. *Nobilis* ów podniósł do oczu ćwiartkę papieru jakowás i uciszając zgromadzonych gestem ręki, gotował się do czytania.

Wrzawa jęła ucichać, tylko jeszcze ten i ów zbędnym sykaniem zakłócał ciszę.

Wreszcie całkiem wszystko umilkło. Słuchano.

— „O stałości do Exulantów Polskich roku 1793“ — zaczął.

Szmer zaciekawienia przeleciał między stołami — i już zaraz nic prócz brzęczenia much pod stropem.

Stałości w dobrych przedsięwzięciach męża
Zapał źle chcących ziomków nie zwycięża:
Daremnie tyran na niego się sroży,
Żadna go burza nigdy nie zatrwoży.
Niech niebo wszystkie wyrzuci pociski,
Patrzy spokojnie na gromy, na błyski,
Niech się świat cały z zasad swych wyłamie,
On nieugięcie nastawi mu ramię...

W tej chwili drzwi otwarły się z hałasem — i w progu stanął nowy gość, młodzian lat niewiele ponad trzydzieści, w szerokim, popielatym płaszczu podróżnym.

Szlacheć pod oknem raptownie urwał i wszyscy mimowiednie zwrócili spojrzenia ku nowoprzybyłemu.

Jasiński, bo to on był właśnie, postąpił jeszcze parę kroków naprzód, zatrzymał się i jął się ciekawie rozglądać po sali, lustrując wielkimi, przenikliwymi oczyma zebranych.

Konopka, ksiądz Meyer, Dembowski — odkrywał dobrze sobie znajomych, którzy już powstawali z miejsc, przyjaźnie go witając. Czytającego u okna znał także, z Wilna: Tadeusz Korsak.

— Czytaj waść dalej! — zwrócił się do niego z uprzejmym ukłonem, biorąc miejsce u pierwszego z brzegu stoła.

Korsak czytał coraz się zapalając.

Ten, który prawa wyznaczył dla rzeczy,
Wszystko w opatrnej trzymający pieczy,
Co sam czas z miejscem ma za towarzysze,
Taki dla rodu ludzkiego los pisze:
— Długość pod twardym, człeku, jęczał rządem,
Długość był grubym zaślepion przesądem,
Zrzucisz z rąk więzy, z umysłu ciemnoty,
Byś odtąd zaczął wolności wiek złoty...

Jasiński siedział sztywny, nieruchomy — słuchał niby to uważnie i uśmiechał się nieznacznie do siebie. Tylko nozdrza latały mu niespokojnie.

Fanatyzm w chytre zapędził cię sidło,
Srogi despota ludzi miał za bydło —
Podniesiesz głowę, długo nachylony...

Kaffenhauz, zatopiony dotąd w skupionym milczeniu, począł szumieć na nowo.

— Podniesiemy, podniesiemy!... — odezwały się podniecone pojedyncze głosy na znak aplauzu dla myśli nieznanego autora. Ale Korsak nie dał

sobie tym razem przeszkodzić, tylko głos wzbił jeszcze wyżej:

Poznasz twą godność i obalisz trony.
Świat nowy — twórcą tego szczęścia będzie,
Tam najprzód wolność i równość usiedzie,
Niedługo Francuz, krwią dla nich obłany,
Dźwignie im ołtarz na brzegu Sekwany...

Tęgi posesjonatus, co niedawno za królem się ujmował, wstał, odepchnął z piekielnym rumorem stolik i wyszedł trzaskając drzwiami.

— Szpieg! Delator! Sieversa zausznik! — poleciało za regalistą, Stanisława Augusta stronnikiem.

Franku waleczny z wyniesionym czołem —

— nie czytał, a grzmiał już Korsak —

Ciebie to wolność chce mieć apostołem,
Rykną tyrany, zimną zdjęte trwogą,
Lecz nigdy wytrwać twym siłom nie mogą.
Krocie Teutonów twoim złamiesz męstwem,
Zwycięstwo będziesz popędzał zwycięstwem,
Zetrzesz despotów niedołączne gniewy,
Od Tagu wolność szerząc aż do Newy.
Wtedy na zawsze zawrą się drzwi wojny,
Plemię plemieniu prześle wiek spokojny,
Wtedy świat wróci do pierwszej postaci
I ród człowieczy będzie — rodem braci...

Na długą chwilę wszystko zastygło. Cisza była taka, iż zdawało się, że nawet muchy ustały brzę-

czeć na pułapie. I nagle całą izbę poderwał na nogi jeden okrzyk:

— *Vivat* ksiądz Kołłataj!

— *Vivat! vivat! vivat!...* — grzmiało bezustannie. Zapał rósł ogromny, fanatyczny, bez granic.

„Język wolności jest bardzo pochlebny, rozumieją go w każdym kraju, a tym bardziej w Polsce....“ — przypomniał sobie Jasiński zdanie księdza podkanclerzego, ukontentowany, oglądając się za chłopcem usługującym gościom. — Pojęli! — I sięgnął za kieliszek.

Tymczasem Konopka i jego towarzyszy nieodstępny, Maruszewski, biegli już ku niemu — witać znamienitego żołnierza, wołając:

— Mości Jasiński, wieszacie zdrajców!... Czy my gorsi od paryskiego ludu?!...

— Wieszacie? — uśmiechnął się Jasiński. — Zgoda. Jenó nie dla samego tylko wieszania, ale żeby prawo nad człowiekiem stało...

Dosiadaj tronu jeszcze tą razą
Wspólnie z innymi, ty królu!
Aż też paryskie wszędzie żelazo
Oczyści ziemię z kąkolu

— huczała izba.

Gospodarz krzątał się między stolikami, rad dogodzić tylu poczesnym sztagastom, strofował

i przynaglał chłopaka-guzdrałę, coby jak najźwawiej posługiwał. Sam dolewał do kubków.

Wokół Jasińskiego skupiła się już niemała gromadka z dawna znajomych i tych, którzy by radzi poznać sławnego inżynierów oficera.

Siedli. Tadeusz Korsak — naprzeciw pułkownika.

— Klub? — zażartował Jasiński.

— Może być i klub! — odparował Dembowski.

— Waszmości pióra one wiersze do patriotów w Lipsku i Dreźnie pisane, com je dopiero czytał? — wpatrzył się w Jasińskiego Korsak.

Pułkownik nic nie odrzekł. Zdawał się nie słyszeć pytania.

— Waść pisał? — nalegał ciekawie tamten.

— Nie w tym sprawa — chłodno odparł Jasiński i zaraz odwrócił się do księdza Meyera.

— No, i co?

— Mowę Alberta Sarmaty przed Konwentem znasz, mości pułkowniku?

— Turski?... Czytałem. Znam go dobrze jeszcze ze szkoły... Paliwoda.

Ksiądz popatrzył z ukosa na Jasińskiego.

— Powiadają, że mowa trochę nieroztropna — wtrącił Korsak, milczący od czasu konfuzji, jaka go spotkała od Jasińskiego.

— Nieroztropna, powiadasz wasze! — zasyczał ksiądz Meyer, jak gdyby mu kto z nagłą nastąpił na palce, i gwałtownym ruchem wyciągnął spod sukni plik zmiętych karteluszków. — Nieroztropna!... Posłuchajże: „Francuzi! — czytał — zasłużyliście na to, aby zostać sędziami i protektorami narodów. Przywracając w jednej chwili dzięki bystrym postępom waszej wzniosłej rewolucji rodzajowi ludzkiemu wszystko to, co mu odebrały wieki barbarzyństwa, przewyższyliście w wielkości wszystkie ludy, które jaśniały na ziemi. Jest to uznanie, które nam dyktuje zarówno prawda jak i sympatia dla was. Idźcie tą samą drogą, a niebawem oddadzą Wam sprawiedliwość pozostałe ludy...”

Nieroztropne!... Co? — zasapał się. — Eee!... Słuchaj, słuchaj waszeć!... „Sprawa nasza jest wspólna.“ Też nieroztropne!... „Czas już, aby panowanie despotów znikło ze świata, skoro najwyższe władztwo narodu francuskiego zostało ustalone. Wasi prawodawcy nauczili narody myśleć, poznawać siebie...” To też nieroztropne? A co dla waści jest roztropne? W pohańbieniu żyć roztropnie?!... Na przedawanie Rzeczypospolitej przez targowickich hersztów patrzeć roztropnie?! Tak waćpan mniemasz?...

I świdrował wejrzeniem Bogu ducha winnego Korsaka.

— Nie animujcie się, wasza wielbność, nad potrzebę! — roześmiał się Jasiński. — Toć wszyscy znają, że on tak nie mniema, jako suponujecie...

— Niech tedy nie rozprawia od rzeczy! — przerzył się wciąż jeszcze zapalczywy ksiądz Mejer, choć widać było, że już ostyga i coraz życzliwszym okiem spogląda na zmartwiałego od tyłu na raz niespodzianych konfuzji, stropionego Korsaka.

— Dobrzeć i od rzeczy począć, byle do rzeczy dojść — z jakąś niecodzienną dlań powagą i zasępieniem, jakby do siebie tylko, wyrzekł Jasiński.

Rozmowa się skwasiła. Umilkli.

Szedł wieczór. Chłopak roznosił gorejące świece i zatykał je w lichtarze uciepione u ścian. Ci i tamci z ociąganiem się powstawali od flasz i kubków, żegnając się, i wychodzili z kaffenhauzu. Wchodzili drudzy. I kiedy na koniec u stołu, gdzie do niedawna tak zapalczywe, powszechną zaprzatające uwagę toczyły się utarczki, pozostali z Jasińskim tylko Konopka, Korsak, Maruszewski i ksiądz, pułkownik pochylił się ku twarzom wpatrzonych w niego towarzyszy:

— Pozwólcie waszmościowie jeszcze na niedługą jeno rozmowę — rozpoczął ściszym niemal do szeptu głosem.

Po trzech godzinach wychodzili z kaffenhauzu w gęsty mrok ulicy Mostowej, żegnani osobliwie uprzejmymi uśmiechami imci pana Dziarkowskiego i jego sług, nie szczędząc w zamian uśmiechów. Tylko Jasiński szedł sztywny, prawie odpychający chmurnym sfałdowaniem młodzieńczego, z natury gładkiego czoła. Dopiero w drzwiach, wychodząc ramię w ramię z Korsakiem, ni stąd, ni stamtąd rzucił ciepło, serdecznie, niemal że z jakimś wewnętrznym rozradowaniem:

— Tak, to ja napisałem!

NĘDZA I SMUTEK

Jasny dzień od kilku już godzin pukał w przybrudzone szybki okna i dobijał się do kwatery pułkownika litewskich inżynierów, zanim Jasiński, przeciągając się i ziewając, podniósł się ze stosów pierzyn i poduszek. Spałby jeszcze smakowicie, ale dla mnogości kąśliwego owadu w zajeździe nie pozostawało już — jeno wstawać. Szedł więc do okna i rozleniwionym ruchem otwierał je na oścież — powoli i jakby z namysłem. Z wznoszących się naprzeciw, jak dwoje bliźnięt do siebie podobnych, wież kościoła Św. Krzyża napływał do izby melodyjny, ciepły dźwięk dzwonów mieszający się z piskliwymi chórami modlących się niewiast i głosami organów.

„Już summa!...“ — pomyślał Jasiński.

Od ulicy cisnął się obmierzły fetor salcesonów i zdechłych ryb.

Pułkownik wychylił się przez okno. Na dole przed zajazdem ścisk panował okrutny i rwetes.

Pyskate warszawskie przekupki ujadły tu na siebie wzajem bez ustanku, coraz to zakrzywionymi pazurami sięgając sobie do twarzy. Wrzawy przyczyniali też nieskąpo dziadowie, których spora gromada rozsiadła się na stopniach kościoła, krążyła wśród straganów i grzęznących po osie w zakisłych bajorach wozów, napastowała przechodniów, wypełniając namolnym lamentem całą okolicę.

Dziadowski harmider zlewał się w uszach z wysokimi zawodzeniami niewieścich głosów u Misyjonarzy i organowymi fugami:

— Zaczniście wargi nasze!...

Jasiński cofnął się do tyłu i z obrzydzeniem na skrzywionych ustach pośpiesznie zatrzaskał okno.

W niespełna godzinę opuszczał zajazd i stolicę.

Wielki podróżny kocz ruszył wśród trzasków bicia i głośnego cmokania stangreta na dwie rosłe kłaczki idące w zaprzęgu. Ledwie posuwał się naprzód. Ni przejechać, ni przejść nawet tędy nie było sposobu. Woźnica raz po raz pokrzykiwał z kozła: „Umykaj!... umykaj!...“ Perswadował, zaklinał, groził. Wszystko na próżno. Zeżłony, nie widząc innego lekarstwa na nieporządne zbiegowisko, jął prać biczem na prawo i lewo.

Ten i ów odskoczył jak oparzony, tonąc zaraz w kałuży, i kocz pognał bystro, bryzgając błotem. Do uszu pułkownika, rozchwianego na poduszkach skaczącej po wybojach bryki, doleciał tylko podniecony pisk przekupek i wzniesione ponad nim czyjeś męskie, gromkie: „Paniczyk, psiapara!...”

Jasiński uśmiechnął się. Pojazd już toczył się równo, mijając kościół OO. Misjonarzy, pod wezwaniem Św. Krzyża. Jakiś żebrak, rozciągnięty w słońcu, modlił się i na przemian nawoływał przeraźliwie, ukazując nagie, pokaleczone piśczyce:

— Zaczniście wargi nasze... Litości, dobrodzieje kochane, litości przez miłość do Najczystszej Panienki!... Litości!...

Pułkownik bystrymi jak u rysia źrenicami dostrzegł, że ów w rynsztoku śpiewający kaleka, oszust wierutny, od rzeźnika snadź mięsa surowego kupiwszy, nogę nim obłożył i tym sposobem, okazywaniem rany, miłosierdzie ludzkie wywoływać zamierzył. Poznał go, iż w piątym już miejscu przesiadywał. Z pierwszego uciekł, kiedy mu powiedziano, że litościwa jakaś osoba chciała go w szpitalu osadzić.

„Z dziadów pradziadów dziad to — pomy-

ślał — edukowany był na dziada, wie, gdzie się położyć i kiedy od przekupek wybierać kontrybucje...”

Bednarską dojechali do mostu na Wiśle, za-
tętniły kopyta po dylach, minęli most, rudery
Pragi i rogatki miejskie.

Jasiński odetchnął pełną piersią, z ulgą.

Teraz wjechali na szeroki, piaszczysty trakt
wiodący do Mińska. Dokoła, jak okiem sięgnąć,
ciągnęła się rozległa mazowiecka równina, tu
i ówdzie tylko rzadkimi sosnowymi lasami poro-
śla. Mijali poletka nędzne, nader często zgoła
nie uprawiane, mizerne zagrody włościan, gar-
bate chałupy słomianymi strzechami omal nie
wrastające w ziemię.

„Jak smutny i nędzny widok kraju, w którym
rolnik niewolnikiem! — wspomniał pułkownik
Staszica. — Tam ziemia leży zakryta przed nie-
bem. Jedna część jeszcze wydobyć się nie może
spod wód śmierdzących, po drugiej to wszystko,
co tylko zgnilizna i wilgoć płodzi, szerzy się i od-
piera, aby się nie tknęły ziemi dobrotliwe słońca
promienie. Tu ciągną się bez końca, jedno z dru-
gich wychodząc, lasy czarne i bory ponure. Żadne
z nich człowiekowi nie są użyteczne, owszem,
przez swoje wieków załomiska nawet tej ziemi

najszlachetniejszym zwierzętom niewygodne. W głuchym swoim gęszczu sposobią tylko warowne legowiska wilkom żarłocznym albo niedźwiedziom dzikim, w okropnym swoim zamroczu ścielą z samego próchna i duszącej zgnilizny kopisko, w którym parzą się gady jadowite albo ryją kiernozy sprośne. Tam ginie oko, jeżeli wpadnie na puste stepy. Wszędzie rzek nie rozeznąć od łądów, łądu od jezior i stawów, a tych — od szkodliwego wszelkiemu życiu blocka, które grube trzciniisko, łozy lub listowie zapchało. Przeprawy trudne, drogi nieznaczące — często pół dnia minie, a człowieka spotkać trudno. Jeżeli, zabłąkany, wieś znajdziesz, człowieka w niej szukać trzeba. On, pod przemocą wychowany, na wszystko strachliwy, jak przed nieprzyjacielem przed drugim człowiekiem kryje się w jamie bez okna i komina...”

Jasiński, zrazu wesół, posępniał z godziny na godzinę.

Konie pod wieczór wlokły się noga za nogą, ospale. Im dalej od stolicy, pusty coraz to bardziej obraz pól, zagajów, ugorów, łąk, piaszczystych wydm rozdmuchiwanym przez wiatr — kładł się okrutnym ciężarem na serce i przygnębiał. Tylko monotonne, uparte „wijo-wiśta“ woźnicy, trzask

bata i parskanie klaczy od czasu do czasu mąciły gniotącą ciszę pustkowia.

O zmierzchu dostrzegli z dala, może o pół mili w bok od gościńca, bielejące spośród kęp zarośli i wysoko w niebo sterczących topoli ściany okazałego dworu.

— Zjeżdżaj w lewo! — rzucił Jasiński stangretowi.

Chłopak gwałtownie ściągnął lejce i po chwili zaprzęg ruszył z kopyta po wyboistej, pełnej zdradzieckich wądołów drodze, obsadzonej kołtunistami, próchniejącymi wierzbami. Niebawem już mijali tam i sam grupki bosych, obdartych ludzi drepcących ścieżką obok świeżo zoranych ugorów, uskakujących bez zbytniego pośpiechu przed lecącymi spod kół pacynami błota.

— Niech będzie pochwalony!... — zwrócił się do wieśniaków woźnica pułkownika.

— Na wieki wieków! — odebrzmiało ponuro, nieufnie.

— Co to za majętność? — indagował woźnica ukazując końcem biczyska widniejące już opodal folwarczne zabudowania, park i w parku dwór.

— Chrzesne...

Jasiński, rozparty na siedzeniu kocza, drgnął mimowiednie i wysuwając dolną wargę, jął niby

obojętnie poglądać na końce palców. Zdawał się nie interesować, co to za majętność i czyja. Po prostu był głodny i na nowo już senny.

— Pan wasz doma? — pytał niedbale, prostując obolałe od długiej drogi i ciągłego teraz podskakiwania krzyże.

— Abo my to wiemy... — spode łba popatrzyli na pułkownika włościanie i zaraz opuścili głowy naciskając na oczy szerokie słomiane kapelusze...

Pojazd wjechał do parku i zatrzymał się przed gankiem. Z okien nie padało żadne światło. W wielkim, walącym się dworze, otoczonym wieloma przybudówkami i oficynami, było ciemno i pusto. Nawet pies nie zaszczekał na przyjazd gości.

— Bezpańskie czy co? — zamruczał stangret pułkownika.

Jasiński zaprzeczył ruchem głowy.

— Księdza biskupa inflanckiego...

I z niechęcią wysiadał z koczka.

REWERS NA PODDANKĘ

Rano szedł pułkownik do oficyn szukać rządcy biskupich włości.

Dzień był nieprzyjazny, niebo — brudne, sępniałe. Z tyłu za dworem, z pretensjami niegdyś do godności pałacu wzniesionym, renesansowym, niebrzydkiem, gwałtowna wichura łomotała gałęziami wyniosłych drzew starego parku strącając ostatnie, pożółkłe liście. Przed pałacem na podjeździe nie było nikogo, tylko jakieś psisko stare i wyliniałe, tarzając się zawzięcie w trawie, wytrząsało pchły z kudłów, krusząc przy tym resztki zeschłych, zwarzonych przez wczesne mrozy astrów zdobiących klomby.

Jasiński energicznie pchnął drzwi prowadzące do izb oficyny — i zaraz raptownie cofnął się o krok. Gęsta chmura domowego ptactwa — kur, indyków, perliczek i gęsi — z gdakaniem, gęganiem, gulgotaniem i kwakaniem wyfrunęła z ciemnej czeluści sieni prosto na oszołomionego pułkownika, siejąc obficie pierzem.

Jasiński ucieszenie zatrzepotał rękoma w powietrzu, roześmiał się głośno na ów wielobarwny ptasi harmider i śmiało, przywracając należną powagę dostojęństwu swego pułkownikowskiego stanowiska, wkroczył w mrok kokoszego domostwa.

Otworzył pierwsze z brzegu drzwi. Dobrze trafił — do kancelarii dworskiej majętności Chrześne.

— Dobrze rano!... Waćpan tu jesteś administratorem? — pytał grzecznie niemłodego już, szpakowatego jegomości w tabaczkowym surducie, w długich palonych butach, zaaferowanego nad stołem zawalonym oprawnymi w płótno gospodarskimi księgami, rachunkami i obfitością piór chrześnieniskich gąsiorów przysposobioną do zapisywania robocizn, danin oraz czynszów należnych dworowi od tutejszych włościan.

Jegomość oderwał uzbrojone w okulary oczy od stołu i dojrzwawszy pułkownika porwał się z krzesła tak niezgrabnie, że arkusz, nad którym się dopiero co głowił, i ostro zatemperowane pióro sfruwały wraz na podłogę izby.

— Sługa pokorny waszmości dobrodzieja!... Ja sam — kłaniał się nisko, zgięty w pas.

Jasiński machinalnie też się pochylił, bez słowa sięgając po upuszczony papier.

— „Rewers na poddanke“ — wyczytał mimo woli w nagłówku pisma.

Tymczasem chrześniński administrator dóbr księdza biskupa inflanckiego wyprostował się już i ochłonawszy z pierwszych wzruszeń doznanych na widok wysokiego oficera, poglądał teraz z nie-małym zaciekawieniem na — wedle jego szaraczkowego mniemania — ponad miarę ugrzecznionego gościa.

Pułkownik jak gdyby zapomniał o istnieniu rządcy; przybliżył do oczu podniesiony z ziemi papier i z równie wielkim — jak widać — dla siebie interesem jał najspokojniej w świecie od-czytywać w szarym, skąnym świetle kancelaryjnej izdebki treść owego zżółkłego już nieco od staro-ści, poplamionego dokumentu:

Niżey na podpisie wyrażony daję ten Rewers Imć. Panu Ekonomowi Chrześnińskiemu Jaroszewskiemu pod ten czas Dyspozycyę mającemu, Jako biorę z wyraźnej woli JWImć Xsiedza Kossakowskiego Biskupa Inflanckiego Dziedzica Dóbr Chrześnińskich, Córkę Ignacego Wrzoska Poddanke ze wsi Chrzęsnego w Zamęźcie dla Jakuba Kostrzewiaka Poddanego do Mokrey Wsi tym Końcem, iż żeliby żądał Poddany z Chrześniński kiedy Poddanki w mokrywsi podobnieź, tedy Dwór mokrowski bez żadney trudności także do Chrzęsnego wydać deklarował iż

się, który to Rewers dla tym większej pewności dla Dworu Chrześnińskiego Jako Possesor Dzierżawny stwierdzam y podpisuję

K a n i e w s k i

Działo się w Chrzesnym
An. 1785 Dnia 30 Miesiąca
Stycznia.

Rządca poszukał spojrzeniem krzesła dla znamienitego gościa.

W izbie, prócz jedyne go zydla, z którego jego-
mość powstał na powitanie pułkownika, nie było
drugiego sprzętu do siedzenia, podsuwając tedy
ów zydel Jasińskiemu prosił najuniżeniej, ażeby
„wielmożny pan i dobrodziej najukochańszy“ ra-
czył spocząć.

Jasiński siadł, wciąż jeszcze nie odrywając za-
ciekawionego wzroku od rewersu.

— Uwolnić by trza i oczynszować tutejszych
włościan... — podjął rządca, jak gdyby dorozu-
miewając się nieujawnionych myśli pułkowni-
ka. — Cóż, kiedy — dorzucił z westchnieniem —
ksiądz biskup na to zgody nie daje!...

Jasiński rozpromienił się.

„Hugonista!“ — zaświeciło w mózgu przeko-
nanie. I cieplejszym już wejrzeniem jął poglądać

na tabaczkowego szlachetkę domysławiając się w nim stronnika reformy.

— Toć nie czego innego chcą dla ludu — podchwycił bez zwłoki — i ksiądz Staszic, i Kollątaj... „Oddajmy, powiadają, to, cośmy mu świętokradzko wydarli, w czymśmy prawo boskie i ludzkie zgwałcili... oddajmy mu wolność i jego osoby, i jego rąk, a lud ten pracowity, lud żywiący nas i dający żyzność włościom naszym, podwoi ochotę i szczerze przywiązawszy się do ziemi, ubogaci nierównie całą powszechność, powiększy nasze dostatki, kochać będzie Ojczyznę i znać ją za prawdziwie swoją, względem której niczym się dzisiaj od bydła nie różni...”

— W samoś sedno, wasza wielmożność, utrafił: ubogaci nas, powiększy dostatki!... W samo sedno! — jakoś nazbyt żwawo zaaprobował rządca myśl Kollątaja.

Pułkownik zezem spojrzał na swego rozmówcę.

— Tuś mi, bratku! — mruknął do siebie.

— Gotowy grosz byłby — ciągnął tymczasem tamten, zachęcony życzliwością Jasińskiego, nie dostrzegając bynajmniej, jak w miarę jego wywodów ściąga się i nachmurza twarz oficera — gotowy grosz byłby, a tak co?... I co z onych robo-

cizn, onych posług i podwód, i danin, i szarwar-ków? Człowiek pańszczyznę odrabiający tylko na to swoją uwagę obraca, tylko w tym swój rozum ćwiczy, jakby w pracy oszukać dozorcę, nie jakby doskonalej pracować...

W tej samej chwili dało się słyszeć stukanie do drzwi, zrazu nieśmiałe, cichutkie, potem jakby podyktowane desperacją, twarde.

— Z Bogiem!... Wchodź, jak masz wchodzić!— odezwał się wreszcie na pukanie chrześnieński rządcą, z wyraźną niechęcią przerywając podjętą rzecz w ważnej materii ubogacenia się szlachty gruntowej.

Drzwi się otwały ze skrzypieniem i w drzwiach stanął chłopak — młody, ledwie podrosły. Zatrzymał się u progu, nic nie mówiąc, i tylko uparcie miał czapczyisko jak wronie gniazdo w poczerwieniałych od chłodu garściach.

— Czego? — ostro zagabnął rządcą sterczącego w progu włościanina.

— Dopraszam się łaski... — pochylając się nisko, niziuteńko, niemal że do samych butów administratora, podjął chłopak.

— Mówiłem ci raz, żebyś się wynosił... Nie wódź mnie na pokuszenie, Macieju!... Nie wódź

mnie na pokuszenie! — zagulgotał jak indor stary. — Żebyś cię tu nie oglądał więcej!...

— Zostaw go waszmość! — gwałtownie wtrącił się do rozmowy pułkownik. I obracając się do chłopca, miękko, życzliwie pytał, czego tu chce od pana administratora.

Chłopak spaśował i zaraz znów pobladł: widać było, że ciężko się mociuje z przyrodzonym brakiem śmiałości.

— No, czego? — powtórzył Jasiński.

— Do miasta!... — wykrztusił wreszcie włościanin i cały szczerwieniał, jakby nie wiedzieć jakiego wysiłku dokonał.

Pułkownik uśmiechnął się do chłopca:

— A czemuż to chcesz do miasta?

Chłopak milczał.

Jasiński, nie zniechęcony trudnościami dogadania się z chłopcem, powtórzył pytanie jeszcze bardziej miękko, prawie serdecznie, jak gdyby przyzwalając na wszystko:

— A czemuż to chcesz do miasta?...

Włościanin wciąż milczał jak zakłęty, miał zawzięcie czapkę w garści i tylko poglądał na zdumionego teraz do ostatnich granic administratora, rzucającego skonsternowane spojrzenia raz na chłopca, raz na Jasińskiego. Wreszcie najmniej

spodziewanie jak zgłupiały porwał się z progu i z głuchym, rozdzierającym szlochaniem rzucił się w mroczną głąb sieni, a z sieni na dwór.

Pułkownikowi pociemniały policzki i tylko wzrok się nasępił, ale nic nie rzekł. Rządca odwrócił siwy łeb do okna.

Milczeli obaj — i Jasiński, i administrator.

Po dobrej minucie pułkownik obrócił się do jegomości w tabaczkowym sukiennym surducie i chłodno, jakby nic nie zaszło, z metalicznymi tylko nieczym pobrzękiwanie łańcuszków dźwiękami w mowie, pytał, czyby mu dwór nie najął konia do powozu albo wprost nie mieniał się na jedną z jego, pułkownika, klaczy, która wczoraj na tutejszych wybojach nadwyrężyła sobie lekko lewą przednią nogę w pęcinie i co nieco utyka...

Rządca godził się na każdą popieraną stalowymi błyskami oczu prośbę ugrzecznionego oficera.

Koło południa odjeżdżali.

Wywczasowane konie ostro ruszyły spod pałacu i powóz szefa Korpusu Inżynierów Wielkiego Księstwa Litewskiego, żegnany czołobitnymi ukłonami jegomości w tabaczkowym surducie, zadudnił po kamieniach podjazdu.

— Sługa pokorny wielmożnego pana dobrodzieja!...

Jasiński, zamknięty w sobie, we własne jeno wsluchany myśli, ani spojrział na oficjalistę księdza biskupa Kossakowskiego.

Czym innym był zaprzątnięty.

Za chwilę kocz wjechał w park i lekko potoczył się na miękkich koleinach alei między starymi, wiekowymi drzewami.

„Ja z doświadczenia mówię — jak echo powracały wycytane niegdyś słowa kasztelana ziemi łukowskiej, Jacka Jezierskiego — że nasz kmiotek więcej płaci, niż jego dochody, więcej pracuje, niż jego siły wystarczają, tak jest, mówię, tak jest pańszczyzną i podatkami obciążowany, że na swoje nie wystarcza życie. Kiedy prawie jak bydlę, bez mięsa, bez okras, żyje, z płótna siermięgą łątaną odziany, nogi boso albo łykiem obute, dzieci do kilku lat bez koszuli, nagie, piec je tylko ociepla; pościel z grochowin sromotną weretą okryta, w czym chodzi, tym się przykrywa; kuchenne naczynie złotego nie warte. Szpiżarnia z węzełka mąki złożona, i to u pana albo u sąsiada wyżebrana, na wiosnę chwastem i pokrzywą dożywia się. Dom jego przez pana spartolony, ciemny i smrodliwy, okropniejszy niż więzienie złoczyńcy,

bo z swymi bydłętami mieszka. Temu ubóstwu najwięcej Rząd Krajowy winien..."

Zatopionego w myślach wyrwał z posępnej zadumy rozpaczliwy krzyk na trakcie. Konie, ściągnięte lejcami, jęły raptownie zwalniać, że aż powóz się zachwiał.

— Wielmożny panie, ulitujcie się!... Ulitujcie się, weźcie mnie z sobą! Ulitujcie się...

Za powoli teraz toczącym się pojazdem biegł przez kałuże z maleńkim tobołkiem pod pachą młody, ledwie co podrosły chłopak o płowej jak ze słomy, wypalonej przez słońce czuprynie i niebieskimi, głębokimi źrenicami błagał miłosierdzia u strojnego oficera:

— Zlitujcie się...

Jasiński dał znak stangretowi, żeby stanął, i długo, długo w milczeniu przyglądał się chłopcu. Było coś z cichego, ściskającego serce skomlenia szczeniaka w tym lamencie, kiedy pańszczyźniak spopielałymi, szarymi wargami powtarzał wciąż swoje nieustanne:

— Ulitujcie się, weźcie mnie z sobą!...

— Odważnyś! — po wlokącej się jak wiek chwili wycodził przez zęby pułkownik. — No, siadaj koło furmana!...

Zaraz potem mruknął jeszcze ze złośliwym uśmieszkiem:

— Bez rewersu tak, jakżeż to będzie?!

I pod nawistymi nad rozległą równiną Mazowsza chmurzyskami pomknęli z kopyta dalej — w Litwę.

ZRZUĆMY DAWNE WRAŻENIA

Siadaj asan!

Chadźkiewicz wziął miejsce u okna obok niepospolicie rozległego stołu zavalonego stertami ksiąg, stosami papierzyzków, jakowymiś rulonami powiazanymi w całe pęki, linealami, cyrklami, pędzelkami, piórami, niezmierną liczbą flasz i flaszeczek tuszów rozmaitych i poprząszpilanymi do desek szkicami planów.

— Siadaj asan! — powtórzył Jasiński jak gdyby już tylko do siebie, nie przestając przemierzać długimi, równymi krokami obszernej izby tam i z powrotem, tam i z powrotem. Mogłoby się zdawać teraz, że zapomniał zupełnie o gościu, zajęty odliczaniem kroków. Twarz mu pociemniała i oczy, zawsze się żarzące, tym razem przygasły, źrenice uciekły w głąb.

Za oknem w ostatnich blaskach konającego gdzieś za Wilią wieczoru czerwieniły się otulone śniegiem dworki Antokolu i płonęła kopuła Pio-

tra i Pawła. Cisza zaległa izbę — drażniącą, przerywana jedynie niepokojącym skrzypieniem butów Jasińskiego.

— Gadaj coś!

Jasiński zatrzymał się na wprost okna i nieruchomym, martwym spojrzeniem jał się wpatrywać w zmierzchającą przestrzeń, w daleki obraz przezierającego poprzez nagie gałęzie drzew pałacyku w Werkach. Teraz oczy miał jak dwie wielkie krwawe krople.

Chadźkiewicz, który dotąd błdził znudzonym wzrokiem po stole i wyraźną okazywał obojętność dla humorów gospodarza, łypnął po szelmowsku okiem i jak na teatrum gestem histryka zanurzył głęboko w kieszeń pod frakiem tłustą, mięsistą rękę.

— Każ waść przynieść światło! — zwrócił się do Jasińskiego dobywając na wierzch plik zadrukowanego papieru.

— Oczy mam słabe — dorzucił.

Jasiński sięgnął po dzwonek.

Tedy Chadźkiewicz wyciągnął lewą dłoń po uwieszone na jedwabnej tasiemce u szyi, huśtające się nad brzuchem grube szkła i powoli przyłożył je do oczu:

„Wiadomo już całej publiczności — zabrał się

do czytania, podczas kiedy służący kończył długimi szczypcami objaśniać świece w lichtarzu — jaka na dniu 21 stycznia popełniona była w Parryżu zbrodnia. Ludwik XVI, zawsze cnotliwy, na szacunek całego świata zasługujący, padł zemsty niesłusznej ofiarą. Zapamiętali poddani skąpali się we krwi swego monarchy...”

W tej chwili pucłowaty, czerwony na gębie sługa, dorzucający właśnie świeżych drew do komina, odwrócił się gwałtownie, potrącając z łoskotem stos brzozowych polan ustawiony u paleńska na podłodze izby. I kiedy Chadźkiewicz oderwał wzrok od rozłożonego na kolanach piśma, z irytacją wznosząc do góry wyblakłe oczy dalekowidza, ujrzał wykrzywioną grymasem gębę chłopaka i ledwie dostrzegalny złośliwy uśmieszek przelatujący po wargach Jasińskiego. Pod uderzeniem błędnych źrenic Chadźkiewicza chłopak jak gdyby zeszywniał, stał jeszcze przez chwilę nieruchomy, skamieniały — i nagle, nie wiedzieć czemu wybuchając gwałtownym, niepohamowanym śmiechem, rzucił się do drzwi.

— Maciej! — twardo osadził sługę Jasiński.

— Panie pułkowniku! — wyprężył się pucłowaty dryblas bełkocąc coś tam jeszcze nie do rzeczy i pokraśniał jak oblany warem.

— Siadaj w kącie! — rzucił Jasiński. —
A asan czytaj dalej! — wycodził już zupełnie zimno, przez zęby do Chadźkiewicza.

Chadźkiewicz czytał dalej:

„...Zapamiętali poddani skąpali się we krwi swego monarchy, który nie tchnął, tylko ojcowskim ku nim przywiązaniem, nie szukał, tylko ich uszczęśliwienia. Cały ten postępek z królem wykonany jest z taką srogością i skwapliwością, iż się na nie wzdryga cała natura ludzka i dopełnia miary onej nienawiści, którą powzięła już cała Europa ku owemu systematowi, który do wszystkich zbrodni zachęca i wszystkie cnoty tłumi, przewraca cały porządek, a niszczy zupełnie obywatelską szczęśliwość...”

— Cymbał — warknął przerywając Jasiński.

Chadźkiewicz upuścił szkła i odgarnął gazety z kolan, dając do poznania impetykowi, że może nie czytać dalej.

— To wszystko już wiem — wiele spokojniejszym głosem zwrócił się do lektora Jasiński. — Nie dąsaj się waćpan, boś nie dziewczka w alkowie. Co więcej piszą? I co mówią w Warszawie?

— Mówią, że szkaradne i okrutne królobójstwo odrodnych i zbuntowanych Francuzów na

osobie monarchy swego jak najhaniebniej popełnione...

— Toś już czytał!

— Mówią, że sami tylko ateuszowie są na czele ich magistratur i sądów, że własność kościelną na rabunek wydano, że handel i rękodzieła we Francji zniszczone, że najbujniejsze niwy i role spustoszone i zaniedbano, że lud ubogi zarobku i sposobu do życia pozbawiono, że cały kraj powodzią krwi zalany, zbroczony...

— Kto tak powiada?

— Biskup kujawski.

— A u świętobliwego we włościach jakim sposobem lud żyje?... Co? — poderwał się Jasiński jak sztydłem w pośladek dźgnięty. — Co?!...

I szedł ku Chadźkiewiczowi, jakby to on był biskupem kujawskim — groźny, karmazynowy od gniewu.

— A co na dworze powiadają?

— Dwór żalobę przywdział.

— Aaa! — otwarł szeroko usta Jasiński i nie już nie rzekłszy cofnął się gwałtownie ku ścianie.

— Dwór żalobę przywdział — ciągnął z kąśliwym jakowymś ukontentowaniem gość — karnawału zgoła nie czekając, aż się zakończy. Było nabożeństwo solenne u Św. Krzyża za nieboszczyka

jegomości: bazylika rzeźbiście iluminowana, katafalk pod baldachem, z aksamitu draperie francuskimi liliami bogato siane, na katafalku wielki konterfekt Ludwika...

— Phi! phi!... — wydał wargi gospodarz i tylko mu policzki zwolna poszarzały.

Za oknem śnieg zaczął prószyć i wiatr się podniósł porywisty.

— Był stolnik litewski... znaczy nasz król jegomość — poprawił się Chadźkiewicz z jadowym uśmiechem — na tronie. Byli senatorowie i posłowie, i ambasadorowie potencji, damy i co przedniejsi Rzeczypospolitej panowie, magistrat, Szkoła Rycerska... Asana szkoła! — mrugnął do Jasińskiego. — Kawaleria narodowa. Wojsko w paradnych koletach! Księżę prymas, czytaj tu waść — trzepnął dłonią po papierzyskach — mowę trzymał... O! Co ksiądz Łuski w „Gazecie Warszawskiej“ pisze: „...miał gorliwą mowę pasterską, opisując wysokie cnoty umęczonego niewinnie, już niesłychaną niegodziwość męczących, już ukazując, jak bezbożność i zepsute obyczaje do ostatniej prowadzą człowieka ślepoty i zajadłości...“

Jasiński wsparł się o ścianę — bledszy od ściany, dysząc ciężko. Chadźkiewicz czytał da-

lej — z uporem, bezlitośnie, z zawziętością kata, od czasu do czasu tylko zerkał spode łba, śledząc bacznie każdy ruch, każde drgnienie powieki Jasińskiego.

— Oby te grube, całą Europę okrywające kiry mogły zakryć przed potomnością — błaznując piał żałośnie — tę tak sromotną narodowi francuskiemu zadaną plamę, iż nad tą tak zacną niegdyś Francją, nad tą pierworodną Kościoła córą ubolewać dziś z Jeremiaszem przychodzi jak nad ową Izraela córką...

Urwał. Twarz gospodarza była kamienna. Lodowata. Tylko oczy paliły się jak dwa karbunkuły.

— Asan to już znasz. Czytałeś przedtem. Nie?

— Byłem u Misjonarzy... na onym nabożeństwie. Słyszałem.

— Toś dureń!

Milczenie zapadło w izbie, mrożące krew w żyłach, jedynie wiatr wył za oknami i tłukł o ściany domu. W lichtarzach świece poczęły skwierczeć żałośnie, wydając swąd niemiłosierny. Nikt nie ruszał się poprawiać knoty — puciołowaty sługa siedział jak zdrtwiał na zydelku w kącie, nie śmiejąc drgnąć.

Długo, długo w noc wciąż nie gasło światło w oknach kwatery pułkownika Korpusu Inżynierów Jakuba Jasińskiego.

Chadźkiewicz dawno był już odszedł nie próbując nawet tym razem nakłaniać chmurnego kompana do jakiej bądź wesołej ekskursji. Maciej spał w izbie służebnej. Dworek zaległa cisza. Jasiński został sam.

Siedział przy stole wśród stosów notatek, szkiców, obliczeń i nie miał najmniejszej nawet ochoty do pracy. Wzburzona myśl uporczywie powracała do rozmowy o zmierzchu, natrętnie wdzierając się pomiędzy cyfry rachunków, paliła wstydem.

— Dzyń! dzyń! dzyń! — zadźwięczały w ulicy dzwoneczki sanek kusząco, wabliwie.

Wstać, wyjść, zapomnieć.

I znów cisza. I znów to samo: żrąca, piekąca myśl o hańbie, o głupocie, o bezwstydzie. Gorycz pogardy. Bezsilna wściekłość.

Ogień na kominie dawno już wygasł i chłód wciskał się do izby. Wcale go nie czuł. Palcami objaśnił stygnące światło świec. Nawet nie poczuł, że poparzył palce. Wyciągnął rękę po leżący na stole nóż i powoli temperował pióro. Jedno. Drugie. Trzecie.

„Wy, których prawe czucia“ — zaczął pisać na marginesie kartki, obok jakichś zawiłych obliczeń, i zaraz przekreślił, co napisał. Odłożył pióro, zasłonił rękoma twarz i oczy i tak wsparty na łokciach, znieruchomiał.

Obrazy przepływały jedno za drugimi, jedno za drugimi... Jak długo?

Wiatr uderzył o szyby i targnął okiennicami, aż zadzwoniło w uszach jak po armatnim wystrzale. Przebudził się skostniały z zimna. Wstał, podszedł do kominka i końcem buta jął rozgrzebywać popiół paleniska — na darmo. Długo musiał tak przesiedzieć czy przedrzemnąć.

Wrócił do stołu równym, zdecydowanym krokiem. Pisał:

Wy, których prawe czucia i sposób myślenia
Ścieśniła sroga przemoc i śmieszne wrażenia,
Co poddani przesądom i w gminnym mniemaniu
Czujecie, jak wam każą, lecz nie w przekonaniu —
Widzę, że w tym momencie na myśli wam stawa
Dziwna w swojej rzadkości, lecz zbyt prosta sprawa.
Król ścięty...

Szarzało. Blady, nieśmiały świt przesączał się powolutenku przez zawiane śniegiem szyby, odślaniając baśniowe rysunki na szkle — kwiaty, liście paproci, gwiazdy. Jasiński dzwonił na chłopca, żeby co rychlej palił na kominie. I pisał:

...cud tak rzadki w kronikach ludzkości,
Wart zapewne zdumienia, wart wielkiej litości;
Lecz raczcie się zapytać waszego sumienia,
Czy wart jest w sercach czynić tak wielkie wzruszenia?
A gdy człowiek cnotliwy, bez winy — bez sądu
Pada ofiarą zemsty, dumy lub przesądu,
Gdy krocie nędznych ludzi od domów, od dziełek
Pędzą na rzeź tyrani jak bydło do jatek,
Kiedy narodom całym wymyślna chimera
Ostatni kąsek chleba od gęby oddziera —
I czemuż wam naówczas owa czułość tkliwa
Łez krwawego wzruszenia z oka nie dobywa?

Pił postawione przez służącego grzane piwo nie
wiedząc, że pije i co pije. Pił łapczywie, parząc
usta gorącym płynem. Było mu zimno, okrutnie
zimno — i zarazem czuł jakiś żar wewnętrzny,
jakąś rozpierającą go, podniecającą siłę.

Te sceny że was swoim nie rażą widokiem,
Stąd pochodzi, że co dzień macie je pod okiem.
Oto w waszej stolicy, karmni strawą waszą,
Zuchwalcy was wzgardzają i dybami straszą,
Oto niegodny sąsiad, co was świeżo zdradził,
Z urąganiem na chleb wasz wojsko swe sprowadził,
A gdy wam wolność, honor, majątki odjęto,
Wy płaczecie, że króla o mil trzysta ścięto!
Polacy! nie nicujmy robót obcych rządów,
Zrzućmy dawne wrażenia odwiecznych przesądów...

— Zrzućmy dawne wrażenia!... Tak!... tak!...
Zrzućmy dawne wrażenia! — To właśnie trzeba
powiedzieć. To. W twarz — tamtym.

Teraz poczuł się tak mocny, jak gdyby mu skrzydła u ramion wyrosły. I gorycz wczorajszego wieczoru gdzieś się podziała, spłynęła niewidocznie. I uczucie doznanej hańby. Krew paląca policzki uciekła znów do serca, a w sercu już tylko spokój ogromny i radość, radość, radość, i uparta chęć walki.

Dalej, dalej, dalej!

Pisał zaciekle, z pasją — krwią najserdeczniejszą.

Kiedy skończył, było już zupełnie widno. Jeszcze raz chwycił za pióro i u góry zanotował wielkimi literami:

WIERSZ W CZASIE OBCHODZONEJ ŻAŁOBY
PRZEZ DWÓR POLSKI PO LUDWIKU XVI

Wstał od stołu i odwrócił się na pięcie zwawo jak fryga.

Wyjdu ja da na ganoczok,
Hlanu ja da na krasaczki

— zanucił na pół wesoło, na pół smętnie.

Naprzeciw niego stał wyprężony po żołniersku, z surową, kamienną powagą na dobrej, uczciwej twarzy mazurskiego chłopca Maciej, wpatrzony w swojego pułkownika.

— Maciej! — wrzasnął Jasiński. — Słuchaj!...

Był uszczęśliwiony, rad, że znalazł od razu kogoś, komu będzie mógł przeczytać, pokazać to, co pisał w męce przez całą noc — to, pod czego ciężarem giął się od tylu dni.

— Słuchaj!...

Polacy! nie nicujmy robót obcych rządów,
Zrzućmy dawne wrażenia odwiecznych przesądów,
Wszyscy ludzie są równi, czy król, czy poddany...

— Dopraszam się słowa! — przerwał nieoczekiwanie słuchający. I aż pokraśniał przy tym jak burak.

— Co?! — zachnął się zaskoczony nieoczekiwaną opozycją Jasiński.

Chłop pobladł, ale nie ustąpił:

— Prawdziwa prawda... jeno nierówno wszystkich obdzielono! — wyrzucił z siebie jednym tchem.

Jasiński parsknął śmiechem, ale się zmitygował — i już zupełnie chłodno, z powagą odparł:

— Racja... Więc słuchaj!

Teraz już czytał twardo, bez egzaltacji.

Wszyscy ludzie są równi, czy król, czy poddany,
Jak kto prawu zawinił, niech będzie karany.
Ludwik, gdy śmiercią swoją słuszość zaspokoił,
Niechaj po nim ten płacze, co podobnie broił;
Lecz wy, jeżeli w sprawie sędziami być chcecie,
Rzućcie okiem bezstronnym, co się dzieje w świecie?

Oto naród wstawiony na całej ludzkości
 Z swoich kunsztów, swej nauki, męstwa i grzeczności,
 Zmierziwszy dumę, hańbę i klęski tyrana,
 Powiedział: „Chcę mieć króla, lecz nie chcę mieć pana!“
 Mówił do swego króla: „Lubo, będąc wolny,
 Mógłbym cię z tronu zrzucić, boś rządzić niezdolny,
 Jednak szanując jeszcze niektóre wrażenia,
 Nic ci nie chcę odbierać prócz mocy gnębienia.
 Bądź święty, bądź bogaty, bądź kraju ozdobą,
 Lecz ty będziesz nad nami — a prawo nad tobą.“
 Zdrajca, kiedy w obliczu Boga im przysięgał,
 Tajemnie po broń obcą na krew braci sięgał;
 Mówcież, jak nie miał naród wchodzić w jego czyny?
 Chyba królowie — bóstwa, a ludzie — maszyny!
 Jeśli nad sobą władzę królom powierzyli,
 Chcieli, by nimi króle podług praw rządzili,
 Lecz gdy ci obowiązków swych nie chcą pilnować,
 Za cóż ich ludzie mają kochać i szanować?
 Alboż to miliony ludów niezliczone
 Są dla kilku despotów stworzone?
 Nie, ludzie! Czas się wybić z tej grubej podłości,
 Chciejmy się lepiej poznać na naszej zacności!
 Ludwik zginął, tak chciała krajowa ustawa,
 Żałujmy go jak człeka, lecz szanujmy prawa.
 Daj Boże, by ten przykład przez mocne wrażenia
 Oszczędził nam potrzebę jego powtórzenia,
 Lecz jeśli ich poprawić i ten nie jest zdolny,
 Mówmy: niech zginą króle, a świat będzie wolny!

Skończył. Popatrzył długo i przenikliwie w oczy
 służącemu. I nie spuszczaając wzroku z oszołomio-
 nego, zmieszanego, zakłopotanego chłopca — za-
 gabnął obcesowo:

— Pojąłeś?

— Nie całkiem, proszę waszej miłości — odpalił chłop.

— No, to jeszcze kiedyś pojdziesz. Moja w tym rzecz.

I szedł zaraz spać.

Po południu czytał wiersz Chadźkiewiczowi. Chadźkiewicz słuchał nie przerywając, nie podnosząc oczu — w skupieniu, uważnie.

— I co, Ignacy? — pytał niemal pieszczotliwie Jasiński.

— Daj mi ten wiersz! — rzucił krótko zagabnięty. — Będzie za niego premium.

— Premium? Od kogo?

Chadźkiewicz wybuchnął śmiechem:

— Od kogo?... Od króla! Tysiąc dukatów jak nic!...

Król zjednął sobie naród i był znakomity,
A że naród zdradził, więc będzie zabity...

— zadekłamował. — Kubek w kubek to samo i u asana, jeno za dużo słów! Ale nic, nagroda będzie... Szyję daję... królewską za to! — trząsał się od śmiechu, wymachując rękopisem.

— Tysiąc dukatów, i ani grosika taniej!

W parę tygodni potem Jasiński jechał do stolicy, żeby się przekonać, iż szelma Chadźkiewicz

niał rację. Cała Warszawa czytała *Wiersz w czasie obchodzonej żałoby przez dwór polski po Ludwiku XVI*, a Stanisław August, wściekły i zaniepokojony, dawał tysiąc dukatów za wykrycie anonimowego rymopisa.

TEKLUNIA

Jasiński kazał się wieźć na Wielką.

Nad placem Katedralnym stał księżyc pełny, ogromny na niebie bezchmurnym i srebrzył szczyt Zamkowej Góry. Miasto, białe w śniegowym otuleniu, roziskrzane, jak gdyby spało. Ledwie migotały szybki w oknach mieszczańskich kamienic i niskich, rozległych dworców panów-braci, posesjonatów. W ulicach było bezwietrznie i cicho. Jeno pałac biskupi jarzył się cały gorącymi światłami i dźwięki skocznej muzyki niosły się od wysokich komnat.

Pułkownik jechał rozpatrując się dokoła. Był jakiś wielce z czegoś rad, zadowolony.

— „Na miękkiej darni Filis leżała“ — podśpiewywał półgłosem lub grzbietem obcasa wystukiwał rytm wesołego mazurka.

Woźnica ściągnął raptownie lejce. Sanie zatrzymały się.

Wbiegającego susami, jak wyrostek, spotykała

na schodach uśmiechem służba pani szambelano-
wej Grozmaniowej prowadząc za nim z ukonten-
towaniem oczyma i dziwując się młodzieńczej nie-
frasobliwości uczonego oficera:

— Zaczny, zaczny pan!... Takie to niby jak
trznadel, a jaka powaga u ludzi...

U wejścia do saloniku witała pułkownika, wsta-
jąc z krzesła, pani Tekla. Jasiński, dworny, zgięty
w głębokim ukłonie, całował końce paluszków
wyciągniętej serdecznie do niego wąskiej, długiej
ręki, nie zapominając prawie jednocześnie zwró-
cić się do zanurzonego w głębokim obok stolika
fotelu podczaszego Kossakowskiego, wpatrzonego
pełnymi admiracji źrenicami w panią domu:

— Witam waszmość pana!... Prawda, jak tu
mile i jak wdzięcznie? — powiódł wejrzeniem po
licznych zwierciadłach ujętych w bogate złocenia
i starych włoskich malowidłach na ścianach, za-
trzymując figlarne spojrzenie na kryształowym
pająku u sufitu.

Kossakowski mimowiednie przeniósł wzrok na
żyrandol, podczas gdy pułkownik jął na nowo
składać pocałunki na dłoni pani Tekli.

Podczaszy nierychło się połapał. Zmiarkowaw-
szy, w czym rzecz, popatrzył przenikliwie na so-
wizdrzała, już gotował się coś powiedzieć, na-

burmuszony, ale się wstrzymał z zamysłem, ujęty zaraz przez szarmanckiego zbytnika:

— Zabij waść... lecz nie bądź skąpy! Sam wiesz, co to za słodkość!...

Pani Grozmaniowa zarumieniła się gwałtownie.

Zasiedli teraz u stolika, gwarząc o tym i owym — jak zwyczajnie. Jasiński paplał bez ustanku, opowiadał podczaszemu jakieś ucieszne anegdoty o Kollataju — niby to całkiem już nie oglądał się na panią Teklę. Bacznie śledził każdą odmianę na twarzy Kossakowskiego.

Kossakowski się rozchmurzył, coraz to wybuchał szerokim, jowialnym śmiechem. Sam wziął się zabawiać siedzącą naprzeciw parę facecjami:

— Tak tedy — kończył którąś tam już z rzędu — powiesili onego szlachcica. Uciesze gwoli... Wracają za godzin cztery ściągać go z gałęzi. Żmudzin, skoro mu powróz z gardzieli zdjęto, otrząsnął się — brrr!... westchnął. „Wypić by“, powiada. Popatrzyli, widzą: żyw! Dali mu. „W ręce waszmościów perswaduję!“, wypił. „Jakże to“, pytają, „że nie uświerkl?“ „A no“, ów Żmudzin na to, „wisza godzina, wisza dwie, tak i przywykszy...“

Pani Tekla roześmiała się niewyraźnie. Jasiń-

ski, swoimi myślami najwidoczniej zajęty, ani się nawet skrzywił.

— Jeśliby wszelako samego hetmana litewskiego tak umocować na drzewie, żyw byłby po czterech godzinach? — wpił dziwne spojrzenie w Kossakowskiego.

Podczaszy ani drgnął. Nic nie odrzekł.

— Ot, facecja! — zaśmiał się Jasiński zgrzytliwie i wstał od stolika.

Weszli nowi goście.

Witali jak starzy przyjaciele panią Teklę, gorąco ściskali ręce wielką i powszechną estymą cieszącego się pułkownika.

Znał wszystkich: i Józefa Narbutta, chorążego ludzkiego, spowinowaconego przez żonę, siostrę Piotra Grozmaniego, z szambelanową, i Michała Szulca, kapitana artylerii litewskiej, i Korsaka, a szczególnie już Wawrzyńca Gucewicza, profesora architektury, topografii i kart jeograficznych w Korpusie Inżynierów i Szkole Głównej. Z tym — jak szeroko mówiono — łączyły ponoć Jasińskiego jakieś bliższe niż tylko z Korpusu stosunki. Jeśli ufać wścibskiej famie — przez wolnomularzy.

Podeszli ku sobie, tak jakby Gucewicz był

z góry pewien, że zostanie tu pułkownika, jakby się zmówili na schadzke.

— No? — odciągnął go od razu na stronę Jaśński.

— Tak, jakieś chciał. Na Szklanej... Abramowicz, Minkiewicz, Chmarzyński, Paszkiewicz, Haraburda... Franciszek, porucznik grenadierów... Pawłowski, Rostowski, Zbitniewski, Nose, Zabiello, Hornowski, z artylerii — wyliczał długo profesor.

— O szóstej?

— Nie, dopiero o ósmej...

— Mości pułkowniku! — podszedł Narbutt. — Prawdaż to, iż król jegomość przed sejmu zwołaniem miał być rzec, że woli być wtrącony do więzienia, niżeli podpisać podział nowy, to jest hańbę własną?

— Może i tak rzekł, nie przeczę. Jenó nie wytrwał... Zaliż jest uwięziony?!...

— Wać był w Grodnie czasu sejmu ostatniego? — pytał Tadeusz Korsak.

Wywiązała się rozmowa i dyskurs powszechny, ożywiony.

Jeden tylko Józef Ignacy Kossakowski wydał się być nieukontentowany z tylu aż gości w salonie pani Tekli.

— Chłop polski dlatego się pyta o Francuzów — perorował przed Szulcem — że się spodziewa od nich wolności, obiecujmy mu wolność dać, a poruszy się i bić się będzie mężnie...

Urwał — i żałośnie znów poglądał na szambelanową, która otoczona wieńcem wielbicieli, zapraszała na skromną przekąskę do sąsiedniej jadalnej komnaty, gdzie starsza siostra pani domu, Zofia, kończyła już srożyć się na drepczącą tam i sam sługę.

Jasiński z drugiego końca salonu słuchał, co mówi podczaszy. Zarazem trapiła go uparcie myśl, jak znaleźć okazję, by choć przez króciuteńką chwilę zostać sam z panią Teklą. Właśnie zebrani zwrócili się ku drzwiom do jadalni, śpieszyli składać uszanowanie siostrze szambelanowej. Nawet Kossakowski dźwignął się z fotela...

— Waćpani, dobrodziejko, nawet nie raczysz wejrzeć na sługę swego — pół żartobliwie, w połowie ze szczerym smutkiem w wielkich, o przyćmionym blasku oczach, miękko zwrócił się do pani domu pułkownik.

— I cóż by waćpanu z tego? — odparła.

— Szczęśliwym w świecie nikt nie będzie zwany, jak ten, co kocha, nawzajem kochany — westchnął melancholijnie.

— Wiem... lecz waćpan wiesz także moje położenie, żem ni zamężna, ni wdowa...

I po raz drugi tego wieczoru zapłonila się jak piwonია. Miała prawie że łzy w oczach.

— Jest sposób! — napierał już ostro Jasiński.

Pani Tekla ujęła go za rękę mocno, serdecznie i poprowadziła do stołu.

Pułkownik zajął wyznaczone mu miejsce obok szambelanowej naprzeciw Kossakowskiego. Zrazu siedział markotny, nie odzywając się słowem, tylko pił dużo.

Podczaszy sypał komplementami adresowanymi do sąsiadki naprzeciwko. Gucewicz kpił niemiłosiernie z głupoty targowiczian:

— Ojczyzna więcej pożytku odniesie z cnotliwych obywateli, jak obiecywać sobie może po matematykach, astronomach... Słyszeliście waszmościowie, co wypisują!... — zanosił się od śmiechu.

Narbutt wciąż wracał do sprawy króla... Szule nie mógł bez irytacji słuchać o Grodnie. Sławiono odwagę Mikorskiego na sejmie, powtarzając pamiętne jego słowa:

„Niech ci, co są przyuczeni weksłować honor i sławę za zysk osobisty, korzystają z tego szkaradnego przemysłu. Ja obieram umrzeć cnotliwy.“

Podczaszy na dźwięk imienia biskupa inflanc-

kiego, jak i on Kossakowskiego, które skądśsiś padło, uniesiony pasją, zgniótł w garści kielich kryształowy, duży, rozpryskując dokoła klarowny napój.

— Łotr! — warknął, po czym zmitygowany, zwracając się do pań, dodał uniżenie: — Przepraszam waćpanie dobrodziki, ale mi...

I umilkł, cały dygocący.

Jasiński popatrzył ciepło, przyjaźnie na podczaszego. Żal mu się zrobiło rywala. Mimo to, duchem przekory owładnięty, ni stąd, ni z owąd jął deklamować przybierając afektowaną pozę miłośnika:

Miłości święta! jakie twoje tchnienia
Szczęśliwym serca zapalem przejmują!
Ty wprzęgasz w jarzmo najdziksze stworzenia,
Żywioty nieme twoją władzę czują;
Cokolwiek żyje w ogromie natury,
Wszystko pod hasłem kochania szczęśliwe;
Przy nim lwów srogich niegroźne pazury,
Smoki łaskawe, żmije nieszkodliwe.
Tyś pod twym prawem wszystko porównała...

Aplauz był powszechny. Pani Tekla spuściła oczy. Tylko Kossakowski siedział teraz nasepiony, chmurny...

— Pozwólcieź waćpanowie, jeśli łaska, z powrotem do salonu! — powstała z miejsca szam-

belanowa wyciągając rękę do podczaszego — Panie Józefie!...

Goście poczęli się oglądać na siebie, czyby nie pora żegnać damy, ale pani Tekla z dąsającym się jeszcze Kossakowskim ruszyła już ku drzwiom bawialni, a Jasiński — tuż za nimi. Podszedł do podczaszego i ujmując go raptem za obie ręce, potrząsnął nimi serdecznie.

— Weź waść to! — wręczył mu jakąś broszurę. — Instrukcja!... Działaj wedle niej, jak tu powiedziano. I bądź ostrożny!

Obdarowany zbliżył do oczu druk.

— *Ekstrakt z ksiąg moralnych Wielkiego Goo-da, Filozofa indyjskiego, dany wyznawcom jego jako życiowa reguła* — czytał zdziwiony.

Tymczasem pułkownik pochylając się blisko ku Tekli Grozmaniowej, niemal do samych jej ust — szeptał gorąco, natarczywie:

— Mogę mieć jakąś nadzieję pewną?

Lecz zanim pani Tekla ochłonęła z wrażenia tak nieoczekiwanego, nim nawet pojęła, co do niej mówi, stanął między nimi Kossakowski:

— Konspiracja? — pytał ukazując broszurę.

— Nie! — twardo, bez namysłu odpalił Jasiński. — Wiedz waść i przyjmij, że miłuję panią Teklę nad życie!...

I dopiero teraz połapał się w okrutnej omyłce. Kossakowskiemu wypadł z rąk na podłogę katechizm konspiracji patriotycznej, *Ekstrakt z ksiąg moralnych Wielkiego Gooda, Filozofa indyjskiego*. Skłonił się głęboko, głęboko zmieszanej pani domu, spojrział na pułkownika strasznymi, krwawymi oczyma i wyszedł z salonu — komiczny w swojej sztywnej powadze.

Jasiński machinalnie podjął z ziemi swoją broszurę, rzucił się do rąk Tekluni, zrozpaczony, spokorniały, i jął całować je bez pamięci.

Odjechał dobrze już po dwunastej.

CHERCHEZ LA FEMME

Muzyka była wyborna. Grała kapela wojskowa dońskiego pułku Kirejewa złożona z 40 instrumentów. Lube romansowym sercom dźwięki menuetów i kadrylów, kontredansów i anglezów wypełniały wszystkie izby antokolskiej oberży. Tańcowano zapamiętałe już od godziny — zabawa musowała jak perliste wino w kielichu. Coraz to jeszcze napływali nowi goście, panowie i damy. Młodzież — dworna i strojna.

Pani koniuszyna Grabowska, aranżerka dzisiejszego wieczoru, wydawanego z racji urodzin przyjaciółki — Wołodkowiczowej, starościny mińskiej, stała u wejścia w wieńcu dam niebylejakich, córek i żon obywatelów co najprzedniejszych Księstwa. Suknię miała na sobie przeźroczystą, podpinaną modą grecką, z Francji dopiero co przez markizę Lullie do Warszawy, a ze stolicy do Wilna przyniesioną, wdziwaną bez koszuli; obnażone nóżki — pierścieniami okryte. Po-

dobnie odziane były panie koniuszynę otaczające, wdzięczne w tym stroju stan natury przywodzącym: Michałowa Ogińska, podskarbina litewska, baronówna Heiking, pani Morykoniowa i szczególną urodą, niczym kwiat róży w królewskich ogrodach, olśniewająca heroina dnia, iskrząca się klejnotami w wysoko spiętych włosach Wołodkowiczowa Józefowa. Na ustach starościny, w kształt małego serduszka wyciętych, igrał wesoło uśmieszek figlarny, wabliwy, dla którego niejeden z kawalerów głowę rad by stracił. I nie tylko głowę, lecz i majątność.

Koniuszyna, niby to opędzając się od młodzieży natrętnie jej nadskakującej i o jednego choćby walca modnego błagającej ze łzami niemal w oczach, witała przybywających, wypatrując znamienitszych gości. Właśnie drzwi się otwarły szeroko i między nisko zgięte głowy lokajów wszedł generał Mikołaj Dmitrjewicz Arseniew, zięć generał-gubernatora Tutołmina, a za nim tuż rój adiutantów. Szli lśnić orderami na kapiących od złota paradnych mundurach — dworni, strojni, pełni kawalerskiego animuszu i uroczystej zarazem powagi. Generał — we fraku, w jedwabnych pończochach i lakierowanych trzewikach, woniejący paryską perfumą.

Panie pochyliły się głęboko, ale najgłębiej chyba baronówna Heiking, całą obfitością wdzięków zginając się naprzód, a rękę lewą wyciągając jakby w chęci obejmowania witanego za kolana lub poniżej. Tylko starościna mińska stała ledwie co poruszona, lekkim skinieniem główki, jak wyrzeżanej w kamei, witała wytwornego oficera. Oczy jej jeno, mgiełką jakowąś melancholijną dotąd osłonię, zapłonęły z nagle jak ognie bengalskie na iluminacjach...

Mikołaj Dmitrjewicz z gracją światowego koneksa całował końce wyciągniętych do siebie paluszków pań, Wołodkowiczowej — gorąco, mocno przyciskając do ust. Pozdrowiał damy rzucając na prawo i lewo komplementy w gładkiej, jakby toczonej z najśłodszych dźwięków francuszczyźnie, rozdawał uśmiechy, panów witał z daleka protekcyjnym, dobrotliwym skinieniem przypudrowanego czoła.

— Jenerał ubrany jak do tańca, kiedy jego nieprzyjaciół tak blisko się znajduje — śmiał się do Jasińskiego w kącie przyległej izby podpułkownik Antoni Guszowski.

Jasiński krótkim jak błysk stali spojrzeniem skarcił żartownisia, po czym serdecznie, po przy-

jacielsku poklepał Guszковского po ramieniu. Szedł witać Arseniewa.

Tymczasem w izbach antokolskiej oberży aż huczało od uciechy, miłosnych poszeptów, towarzyskich rozmów.

Major Bagaut prowadził do sztagara Teresę z Potockich Szymonową Kossakowską, delikatnie otaczając ramieniem wiotką kibić hetmanowej. Pułkownik Jazykow nie odstępował panny Heiking. Jan Nepomucen Kossakowski, biskup wileński, z filigranową filiżaneczką z sewskiej porcelany na dłoni, przechadzał się ciekawie po izbach, raz po raz maczając usta w porcelanowym cacku — przystawał tu i tam, końcem języka smakowicie zlizywał kropelki płynu z grubyh warg i dalej odbywał swój pasterski spacer wśród swawolnych owieczek. Zaglądał głęboko w oczy paradującym jak i on parom, nadśluchiwał rozmów.

— ...wśród tych nieszczęśliwych przestępstw i nieustannego targania się na własność osobistą każdego, odważył się nawet powstać jawnie i zuchwale przeciw wierze chrześcijańskiej, na której obronę prawowierny nasz naród wszystko zawsze poświęcał — dobiegło uszu eminencji.

Rad się był już odwrócić w tamtą stronę, nie-

mały interes znajdując w materii zasłyszanej rozmowy, aliści właśnie jak w sam raz zabiegła mu drogę jedna z onych nimf greckich, marszałkowa Szwykowska, i jeła przymilnie dopytywać, czemu to ksiądz biskup samotnie spaceruje — tak przymilnie, że ksiązę Kościoła wrychle zapomniał o srogich turbacjach wiary chrześcijańskiej i doznanych przez nią świeżo uciskach od paryskich jakubinów.

Przybył major Tuczkow. I zaraz pokornie się sumitując odwoływał na stronę wielce rozdrażnionego tym jenerała. Pólszeptem, omal do samych uszu, coś tam przedkładał długo Arseniewowi, ale ten roześmiał się tylko w głos, wzruszył wzgardliwie ramionami i klepiąc na pożegnanie zaaferowanego majora po orderach, szedł natychmiast z powrotem do pani Wołodkowiczowej. Znów był jak przedtem uśmiechnięty, rozradowany, szczęśliwy.

Tuczkow biegł teraz do Jazykowa, lecz ten ani słyszeć nie chciał o niczym, asystując powolnej mu dość baronównie.

Wreszcie dopadł samotnie wspartego o ścianę pułkownika Reboka, szefa pskowskiego pułku piechoty.

Przechadzający się akurat tamtędy biskup wi-

leński, ciężko wsparty na łabędzio-śnieżnym ramieniu marszałkowej, zatrzymał się obok oficerów.

Tuczkow gorączkowo meldował pułkownikowi, że czynią się w mieście sekretne przygotowania do rzezi, że niektóre domy pozajmowane na kwatery dla wojsk imperatorowej czyjaś nieznana ręka pooznaczała tajemniczymi literami NB i RZ, że na wrotach domu, gdzie on sam, major, stoi, wymalowano smołą zagadkową cyfrę „14“.

— Człek pewien nazwiskiem Gordon, faktor, złożył mi donos — kończył poufny raport.

— Bzdurstwo! — parsknął Rebok i ujmując lekko za łokieć kolegę, wiódł go do stołu, gdzie lokaje w mundurach województwa napelniali kielichy opalizującym w świetle gęsto rozwieszonych kandelabrow burgundem.

— *À la votre!* — zwrócił się do majora.

Słuchali, co mówiono opodal przy stole:

— Francuzi, co w swoim pojęciu nazywali demokracją, posunęli teraz aż do zniszczenia miast sławniejszych. Lion do tego czasu rujnują i obalają w nim domy; posunęli się aż do wytępienia nie tylko religii katolickiej i chrześcijańskiej, ale nadto do wytępienia teizmu. Nie przypuszczają oni więcej Boga ani czci, którą mu ludzie odda-

wali. Kościoły ich są poświęcone nowego gatunku bałwochwalstwu. Kościół Św. Genowefy obrócony na Panteon...

— *Pust' budiet!... Czort s nimi!* — wtrącił się nieoczekiwanie Rebok, który od dłuższego czasu wypijał kieliszek za kieliszkiem. — *A wy, Nikołaj Fiodorowicz, poczemu wy takoj grustnyj?*

I słuchał dalej, spoglądając półprzytomnymi, zdziwionymi oczyma na wciąż nasepionego Tuczkowa.

— Konfiskaty, pożyczki przymuszane, zamykanie w więzieniu szlachty, umieszczanie bez braku najbogatszych z uboższymi w szeregach wojskowych, ustanowienie, aby tylko jeden i jednego gatunku chleb był we Francji całej, wszystko podoba się pospólstwu i bardziej mu w oczy bije jak konstytucja, której dotąd egzekucji nie masz...

— *Canaille!* — warknął teraz ni stąd, ni zowąd milczący dotychczas major i wyciągnął rękę po podany mu przez Reboka kieliszek. — *Wasze zdorowie!...* — skłonił się i wypił.

Jasiński prowadził rozmowę z Arseniewem, bałwił damy, był w znakomitym humorze, usidlał wdziękiem i kawalerską fantazją.

— Waść, mości pułkowniku, ponad miarę od

fortuny obdarowany! — wabiąco zaczepiała pułkownika inżynierów Grabowska.

— Ech! — machnął ręką Jasiński przybierając niby to żaloszny wyraz lic.

Fortuna ludźmi przypadkowo włada,
Ślepo swych darów miarkując podziały,
Sama w pałacach wszystkim rządzi zdrada,
Niewinnych zbrodzień ciemieży zuchwały,
Lud rad czci tego i na stopniach widzi,
Którym się brzydzi...

Urwał. Koniuszyna skrzywiła kraszone wargi.

— Fe! fe! fe!... — groziła paluszkciem. — Waćpan jest z tych... no, francuskich duchów!...

Pułkownik uśmiechnął się i wzruszył tylko gwałtownie ramionami na znak opozycji.

— Mości pułkowniku! — krygowała się dalej przymilnie — proszę teraz coś takiego, no...

— *Cherchez la femme! cherchez la femme!* — odgadywał zachęcając Jasińskiego Arseniew.

Jasiński wciąż milczał. Objęły go teraz obie z Wołodkowiczową za szyję i nie wypuszczały z uścisków różowych, węzowych ramion.

Boże! jeżeli z twej Opatrzności
Do szczęścia jestem wybrany,
Nie pragnę tronów ani wielkości,
Niech tylko będę kochany!

— westchnął tak boleśnie, że wszyscy wybuchnęli szerokim, jasnym śmiechem. Śmiech wznosił się i spadał kaskadami. Arseniew wołał: „Brawo!“ Pani starościna mińska, zapominając o wszystkim z uciechy, raptem rzuciła się piersiami na pierś pułkownikowi i gorąco, serdecznie, w same usta ucałowała Jasińskiego. Po czym zaraz opamiętawszy się ujęła pod ramię ni to serio, ni to dla zabawy jeno nasrożonego generała, kłoniąc wysoko spięte nad głową włosy na złoto Arseniewowskich orderów.

Nadszedł biskup ze Szwykowską, marszałkową.

— Słyszaleś waść, ekscelencjo, co tam u stołu plotą? Niesłychane! A nuż się, powiadają, Francuzom uda?!... — zwrócił się do Arseniewa.

Pani Wołodkowiczowa Józefowa, wciąż przywarta miłośnie do ramienia generała, parsknęła jak kotka.

— Mości pułkowniku! — skierowała prowokacyjne wejrzenie na zajętego koniuszyną Jasińskiego. — Co byś robił, gdyby w Wilnie wybuchła rewolucja?...

— Najpierw schwytałbym pana generała! — odpalił, nie wiele się zastanawiając, obcesowo Jasiński.

Kossakowski się zmieszał. Marszałkowa przy-

bladła. Damy otaczające jak gdyby kwiecistym kręgiem Arseniewa jeły głośno pisać z niepohamowanej uciechy. Arseniew przypatrywał się bacznie pułkownikowi inżynierów, niezdecydowany. Po chwili wyciągnął przed siebie pulchne, wypielegnowane ręce i po raz drugi dał brawo rezolutnemu kawalerowi.

Zaśmiano się znów pospólnie, wzięto się żartować i dalej zabawiać damy, biskup ciągnął towarzysztwo do stołu, gdzie na nowo służba wносиła dymiące na srebrnych tacach filiżanki, ale generał zdawał się odtąd nie spuszczać oczu z zapalczywego junaka, lubo nie przestawał topić wejrzenia w rozżarzonych żrenicach starościny.

Daleko już po północy opuszczający antokolską oberżę biskup wileński napotkał u drzwi przybywającego dopiero na tańczącą kawę majora Duhamela. Zatrzymał go i śmiejąc się zagadał doń żartem:

— Jedź, majorze, gdy masz jechać, do Warszawy, bo wszystko mi się zdaje, że nas tej nocy wyduszą...

— I mnie się tak zdaje — odparł całkiem niezartobliwie Duhamel — ale cóż mam robić, kiedy hetman marudzi, wysyła mnie od dni kilku, a listów jeszcze nie napisał.

Żegnał uniżenie jego eminencję biskupa i szedł markotny, skąd płynęły skoczne dźwięki kapeli dońskiego pułku. W drodze, mijając kilku wychodzących oficerów zajętych ożywioną rozmową, dosłyszał tylko, jak major Sobecki z 7 regimentu mówił do Guszkowskiego:

— Próżniak, zabaw tylko i miłostek pilnujący...

Zaraz potem dostrzegł Arseniewa.

Jenerał szedł przez środek największej z sal, wiodąc pod ramię starościnę Wołodkowiczową, i coś tam z daleka nakazywał tambur-majorowi. Dyrygent skłonił się nisko, ruchem głowy dał znak, że rozumie, co do niego mówią, i odwrócił się do muzykantów, wznosząc batutę. Buchnęły gorące, zawadiackie dźwięki muzyki...

Tuż za plecami Arseniewa szedł pułkownik Korpusu Inżynierów Jasiński z ironicznym, jałowitym uśmiechem na wykrzywionych ustach, przyciskając do boku ramię koniuszyny Grabowskiej.

Zaczął się polonez...

IDŹMY ZA PRZYKŁADEM FRANCUZÓW

Ekstrakt z ksiąg moralnych Wielkiego Gooda, Filozofa indyjskiego — patriotyczne vademecum konspiracyjnej działalności, opracowane przez pułkownika inżynierów Jakuba Jasińskiego — zrobił swoje.

„Istnienie i działalność buntowników w Polsce — pisał 10 kwietnia 1794 r. do Zubowa generał-gubernator Tutołmin — niewypowiedziany ma wpływ na usposobienie miejscowych mieszkańców, z których rzadko kto inaczej od nich myśli...”

„Jestem zupełnie pewny — wtórował mu w liście do Igelströma hetman litewski, Kossakowski — że rewolta małej garści ludzi, a nawet całego narodu przeciw tak potężnemu mocarstwu to atom... lecz odosobniony nawet oddział może rozszerzyć zarazę w całym kraju.”

I zapewniał dalej, że zgromi i zgniecie buntowników... jeśli tylko na czas uzyska pomoc wojsk najjaśniejszej pani, imperatorowej Katarzyny.

Posypały się areszty wśród spiskowców w Wilnie: uwięziono Michała Brzostowskiego, starostę puńskiego, ks. prałata Ksawerego Bohusza, Michała Radziszewskiego, adwokata Ignacego Grabowskiego, marszałka Sołtana, pisarza nowogródzkiego, Adama Wierzeyskiego, Michała Dziekońskiego, majora Spensbergera, porucznika Benedykta Kołłataja...

Ścigany nakazem aresztowania, Jasiński, w przebraniu kominiarza przekradając się do miasta z Antokolu, gdzie się skrył, w porę przestrzeżony, rozpatrywał z oficerami 7 pułku piechoty ostatnie detale spiskowych przygotowań.

Dłużej już nie było na co czekać:

Narodzie! — Czas nie ufać w żadne zaręczenia,
W tobie samym jest zakład zguby lub zbawienia.
Nie dbaj na to, żeś w ciężkie kajdany się dostał,
Gdy lud rzekł: „Chcę być wolnym“ — zawsze wolnym zostałeś!...

— wzywał twardo.

Oto już dwa narody, godne siebie dusze,
Łączą serca braterskie na wieczne sojusze:
Wnet dadzą światu poznać przez dzielne zapędy,
Co może światło prawdy, a co złość i błędy.

.

Idźcie, mężni młodzieńce, pełni świętej cnoty,
Mścić się naszych ucisków i naszej sromoty.

Idźcie, Ojczyzna żąda, by wasz miecz wygładził
Razem tego, co naszedł, i tego, co zdradził.

.

A ty, co na nas czekasz, Ojczyzno strapiona,
Wiedz, że wnet nie masz dzieci lub jesteś zbawiona!...

W nocy na 24 kwietnia o wpół do pierwszej rozległ się jak grom wiosenny huk działa z arsenału i wśród cichych dotąd ulic miasta padły pierwsze wystrzały.

Trzy dni przedtem, w sobotę wieczorem, skończył z oddziałem Chlewiński do Janowa, gdzie z okazji świąt Wielkanocy gościł we dworze u swego brata kasztelana Szymon Kossakowski. Rapt się nie udał. Czuyny hetman — jak podaje dziejopis — przez ogród zbiegł do wsi, wpadł do chłopskiej chaty, pochwycił konia i dostał się do sąsiedniego dworu jakiegoś przyjaciela, skąd mu dano powóz do Wilna.

— Pamiętajcie, że krew wasza będzie się rynsztokami lała! — ostro zagroził po powrocie podkomendnym i co rychlej, wielce zaniepokojony, pośpieszył do jenerała Arseniewa, który kwatrował w pałacu Paca na Zamkowej...

Arseniew wydrwił tchórzostwo Kossakowskiego i odprawił go do domu. Jak się okazało — lekomyślnie...

Teraz spiskowi pośpieszyli do mieszkania zdrajcy w pałacu Pociejów.

Tymczasem w mieście walczoneo zajądł. Huk wystrzałów mieszał się z przeraźliwym graniem wszystkich dzwonów wileńskich kościołów. Głuchy, stłumiony warkot bębnow towarzyszył bezustannie okrzykom:

— Do broni! Do broni!...

Gromady coraz to większe wynurzały się z ciemnych uliczek i zaułków, dworków i kamienic, biegnąc co tchu do arsenału, gdzie rozdzielano jeszcze broń i naboje, bądź też wprost łącząc się z walczącymi pod murami domów, w ogrodach i dziedzińcach. Wrzawa wznosiła się piekielna i łoskot.

Już ratusz i odwach główny dostały się w ręce powstańców. Już Arseniew, zdybany na Antokolu u pani Wołodkowiczowej, Jazykow, Rebok, dowódca pskowskiego pułku piechoty, i inni oficerowie imperatorowej siedzieli w arsenale — ujęci. Jeden major artylerii Tuczkow, przyjąwszy ostrzeżenie faktora Gordona, uszedł i zaraz jął z Pohulanki bombardować miasto. Pękały granaty powiększając zamieszanie i grozę owej nocy. Tu i ówdzie — na Śnipiskach, na

Trockim Przedmieściu — poczęły strzelać z dachów domostw ogniste języki.

Jasiński, na białym koniu, sztywno wyprostowany w siodle, groźny w krwawym odbłasku smolnych pochodni, surowy i zarazem rozradowany, przejeżdżał ulicami, zagrzewając do boju swoich, siejąc przestrach między nieprzyjacielskich żołnierzy, biorących go ponoć śród nocy za świętego Jerzego.

Serce pęczyło mu triumfem.

— Armaty, chorągwie, sztandary, amunicja, magazyny, kasa, wszystko się dostało w ręce nasze — przyjmował meldunki.

Kossakowski, usłyszawszy w pałacu Pocijów na Dominikańskiej oddalone zrazu wystrzały, zdjęty trwogą, nakazał stojącym na warcie 19 karabinierom zawrzeć wejścia i zająć stanowiska w oknach, żądając, by bronili się do upadłego. Sam, w szlafroku, z pistoletami w garściach, dygocąc na całym ciele, biegał jak oszalały po izbach. Nie znajdując się tu wszelako bezpiecznym, po schodach wiodących na strych wdrapał się aż na dach i skryty za kominem, czekał z rozpaczą końca rozruchu.

Tu go dopadli porucznicy: Gawłasiński, Kleczkowski, Achmatowicz i Michałowski.

Kossakowski — blady śmiertelnie, z twarzą jak płótno, z rozszerzonymi przerażeniem źrenicami, wsparł się o belkę stropu i dysząc okrutnie, charknął na widok oficerów:

— To bunt!...

Na to zapalczywy Michałowski bez słowa pełną dłońią prasał go w policzek.

Hetman skurczył się, zmałał. Teraz miał pokorne, uległe wejrzenie batożonego psa.

Aresztowanego, jak stał — w onym szlafroku — z trudem zawleczono na postronku aż za zamkową bramę i osadzono gdzie innych, w cekhauzie.

Jeszcze raz na nowo odezwały się zza rzeki gęste wystrzały karabinowe — salwa za salwą: to podpułkownik Lewiz, stojący na konsystencji o cztery godziny marszu od Wilna, posłyszawszy rumor artyleryjski w mieście, przyszedł forsownym marszem w sukurs zamkniętej w potrzasku komendzie Arseniewa i starał się połączyć z Tuczkowem, stojącym na Pohulance. Wilia przeszkodziła. Sznurowy promu już przedtem odcięto, więc poniechał zamysłu. Wrychle odstąpił za nim i major Tuczkow.

W blaskach wschodzącego nad miastem słońca, złocącego kolumny ratusza, porzuconą w bezła-

dzie broń i tam i sam poniewierające się na bruku kaszkiety narwskich i pskowskich piechurów, pisarz Jerzy Białopiotrowicz ze stopni — wobec nieprzebranego ludzkiego mrowia — odczytywał akt powstania, podpisany przez 2238 osób przytomnych wydarzeniom ubiegłej nocy:

— „Obywatele prowincji Wielkiego Księstwa Litewskiego i mieszkańce miasta wolnego Wilna, z uwielbieniem najwyższej Opatrzności doczekawszy się szczęśliwego momentu powstania narodu z przemocy i ucisków, którymi nas obcych sąsiadów wprowadzone wojska zdradą i dumną ambicją małej części niegodnych imienia polskiego rodaków obarczały...”

Cisza była jak makiem posiał i tylko wiatrswawolnik porywał i unosił słowa:

— „...w jednymże celu odzyskania wolności i równości obywatelskiej jako też wszystkich korzyści i zamiarów, które w sobie akt krakowski w roku teraźniejszym, 1794, m-ca marca 24 zawarty ustanawia, akt najsolenniejszy... z ofiarą życia i majątków dla wspólnej nas samych i Ojczyźnie naszej obrony, deklarując każdego jej, i kto nie jest z nami, naszym jest nieprzyjacielem, a biorąc za hasło śmierć albo zwycięstwo... — akt niniejszy uchwalamy...”

I szli ławą do kościoła Św. Jana.

Jasiński tymczasem — nic, że bez snu, że utrudzony — nie ustawał w robocie: kuł insurekcyjne żelazo, póki gorące. Wydawał rozkazy. Inspirował. Przyjmował meldunki:

— Chlewiński?...

— Zrazu się opierał. Powiadał, że powstanie jest rzeczą niepodobną, że w obecnej chwili byłoby to rozdwojeniem narodu, a może najskuteczniejszym dla imperatorowej pretekstem zagarnięcia reszty Rzeczypospolitej, że najlepiej czekać na wypadki ciągle się w Europie komplikujące, że jeśli się w Koronie okaże powstanie skuteczne, to dość będzie czasu do powstania i na Litwie...

— I?... — podniósł zasępienie wejrzenie.

— Po mocnych i gruntownych przełożeniach uległ i akt w Szawlach podpisał.

— Pułkownik Baranowski?...

— Rzekł, że nie tylko nie przyłączy się do powstania, ale poczuwa się do obowiązku przytłumienia takowego wszędzie, gdzie ono wybuchnie...

— Aresztować! — uderzył pięścią w stół Jasiński. — Co ze Sztejetynem?

— Z wielką ochotą i wesołością poddał się Giedroyciowi z całą komendą... To szwagrowie!...

Pułkownik się roześmiał.

— Rosyjskim oficerom w cekhauzie — przypominał — żeby nic nie brakło... Stół wygodny... do obiadu i kolacji kawa, herbata, kto co zechce... pościel ochędóżna, bielizna na odmiannę... Wina kilka butelek! — dorzucił. — Dla jenerała — przyzwoite wygody!...

Na Radzie Najwyższej Rządowej Jasiński nawiązywał o najrychlejsze ustanowienie sądu kryminalnego, którego obowiązkiem będzie sądzić odtąd zdrajców ojczyzny, jej powstaniu przeciwnych, radą albo spiskiem jakim grożących, i tych, którzy ojczyźnie swojej *ex crimine perduellionis* już zawinili.

Uchwalono przydając na ostre żądanie pułkownika, iż sąd ma być krótki i jeśliby gwałtowna wymagała potrzeba, w ciągu 24 godzin oskarżenie, dowody i dekret dokonać się powinny, a spod dekretu inaczej się nie wychodzi, tylko albo przez zwolnienie z naganą skarżącego, albo śmierć winnego przez szubienicę...

Powołano też Deputację Opatrzności, Deputację Tajną dla Spraw Sekretnych, Deputację Bezpieczeństwa Publicznego, która by baczną miała najściślejszą, aby nic naprzeciw powstaniu ojczy-

zny nie tylko nie czyniono, lecz nawet nie mówiono, i Deputację Skarbu.

„Nie oszczędzajcie majątków i życia, gdy idzie o zachowanie droższej nad to oboje wolności — wołał Uniwersał do Województw i Powiatów Wielkiego Księstwa Litewskiego i Miast Wolnych — przemówcie łaskawym głosem natury do ludu, który tyłą dręczony uciskami, żywiąc chlebem od własnej gęby oderwanym nieprzyjaciela swojego, w ostatniej nędzy i rozpaczycy waszego tylko podobno oczekuje rozkazu...”

Jasiński triumfował.

Następnego już dnia sądzono Szymona Kossakowskiego, dekretując, jak się tego pułkownik twardo domagał, śmierć przez powieszenie.

Thumy wyległy na plac przed ratuszem i od rana stały, by patrzeć, jak ustawiano szubienicę przy latarni w kształcie paryskiego latarniowego sznura. Czekano też do czwartej po południu, aż ozwał się głuchy, ponury warkot bębnow od ulicy Zamkowej.

Szedł oddział piechoty 7 regimentu błyszcząc stałą bagnetów. Za infanterią toczyła się powoli po bruku niebieska karoca w białym zaprzęgu, otoczona szwadronem jazdy brygady kowieńskiej.

Thum zastygł w ciekawym oczekiwaniu. Ten

i ów poznawał pojazd, że był własnością pułkownika Jasińskiego. Ktoś oderwał się od cizby biec do karety. Jezdni przysłaniali widok...

W karecie, zeszytniały, nieruchomy jak kukła, siedział hetman — w tym samym żółtym nankinowym szlafroku podbitym białymi barankami, w którym go zdybano na Dominikańskiej, szary, spopielaciały.

Jasiński, Niesiołowski, wojewoda, chorąży Tyzenhauz wyjechali naprzeciw.

Posępny orszak stanął. Zmilkły werble.

— Mości panowie! — zwrócił się z kamienym wejrzeniem Jasiński do otoczenia. — Dopełni się tu akcja, o której nikomu rezonować nie wolno, i czy ona się będzie podobała — cedził słowa — lub nie, każdy powinien milczeć, a kto by głos swój podniósł, będzie natychmiast na tej szubienicy powieszony...

Szył wzrokiem jeszcze przez chwilę, aż zapadło śmiertelne milczenie w całym rynku.

Teraz wojsko uformowało czworobok. Jasiński z oficerami stanął na odwachu. Prezentowano broń.

Gaspar Elsner, adwokat sądów wileńskich, od wczoraj instygator nowego trybunału, wolno, do-

bitnie, by go wszyscy mogli dosłyszeć, odczytywał z konia krótki dekret.

Do karety wszedł spowiednik...

Czekano niezbyt długo. Znów ponuro zagrały bębny. Wyprowadzano skazańca.

Szedł wysoki, sztywny, jak na szczudłach, wodząc spojrzeniem po skrajach rynku. Coś jął mówić. Rumor werbli zgłuszył jego słowa.

Podprowadzono hetmana pod rusztowanie...

Zimny dreszcz przeleciał przez zgromadzony tłum. Z pobliskiej wieży kościoła Św. Kazimierza popłynął posępny jęk dzwonów i chmury kawk zerwały się z gałęzi drzew za murami świątyni.

Ktoś w zbiegowisku krzyknął: „*Vivat!*“

Jasiński powoli opuścił oczy i obracając się do stojącego opodal Chadźkiewicza, rzucił z pozoru chłodno:

— To już... Śpiesz teraz nie ociągając się do Warszawy. I powiedz tam, coś tu widział.

Chadźkiewicz skłonił się w milczeniu i zaraz wołał na luzaków.

Zmierzch zapadał fioletowy. Pospólstwo wśród gromkich okrzyków wylewało się powoli, powoli z ratuszowego placu w ulice, uliczki i wąskie zaułki miasta, rozpływało się w mrocznych opa-

rach wiosennego wieczoru. Po rzemieślniczych gospodach, po kamieniczkach wileńskich mieszczan, po służebnych izbach w pałacach i dworach na Antokolu, na Łukiszkach, na Zwierzyńcu, na Pohulance, w niskich, zadymionych i ciemnych izdebkach rybackich chat nad Wilią i Wilenką, w chłopskich smrodliwych chałupach za Śnipiszkami długo, długo, do późnych nocnych godzin, huczało jeszcze jak w pszczelich barciach od ożywionych, podnieconych rozmów...

— Daj Boże! — wzdychano serdecznie, układając się na spoczynek.

Rozprawiano też i u stołów po rozległych komnatach wspartych na kolumnach dworów braci-szlachty, posesjonatów, i w salonach; tu głośno, zapalczywie, ówdzie półszepem, skrycie, z niepokojem:

— „U Francuzów pospółstwo jest trzecim stanem, według mnie pospółstwo powinno by się nazywać najpierwszym stanem albo wyraźniej mówiąc, zupełnym narodem...” Tak kanonik krakowski ksiądz Jezierski powiada!

— No, a co Staszic wypisywał?!... Że ten stan, który towarzystwu daje żywność, ludzi i podatki, nad wszystkie inne być przeniesiony powinien. Jemu się najprędza obrona, pierwszy szacunek

należy — powiada. Próżniaczym stan szlachecki zwie po prostu... Libertyn!...

— Taki to jest skutek tej innowacji, nieograniczonej wolności, która pod pretekstem utrzymania praw człowieka depce najświętsze ustawy, do osobistej każdego własności sięga i bez żadnego względu jednemu zabiera i ogałaca go ze wszystkiego dlatego tylko, że ma więcej od drugiego... Już tu, zacni obywatele, nie tylko o was samych, ale o wasze dzieci idzie; już tu wszelkimi siłami i sposobami powinniście niszczyć ten jad...

Zawierano wrota i okiennice, zasuwano skoble i przekręcano klucze w zamkach. Noc wietrzna i chmurna, która przysłała po dniu kwietniowym, jasnym, insurekcyjna noc, usypiała nadzieje i radości, troski i gniewy, konwentykle i spiski.

Jasiński nie przespał też i tej nocy.

Pracował do samego rana: pisał, kreślił plany, robił jakieś notaty... O świcie był już na ratuszu, gdzie Komisja Indagacyjna Deputacji Bezpieczeństwa Publicznego badała osoby podejrzane — podporucznika Ignacego Dobożyńskiego i pułkownika Kadłubickiego, pozostających w związkach ze straconym dopiero co magnatem, jurgielnikiem imperatorowej, zaraz potem sługi i domo-

wników hetmana, wśród nich Teresę z Potockich żonę Kossakowskiego, gromadę miejskich obwieśiów oskarżonych o rabunek onej nocy pełnej trwogi i zamieszania, wreszcie podejrzanych o szpiegostwo...

Badano także aresztowanych żołnierzy i oficerów. Pułkownik baczył pilnie na wszystko, niczego nie zaniedbywał: najmniejszego nawet drobiazgu. W rewolucjach nie ma rzeczy błahych.

6 maja osadzono pod kluczem Ignacego Szwykowskiego, zaprzedanego stronnika targowickiej konfederacji i jej wileńskiego marszałka, sekretarza Szwykowskiego — Kononowicza, oraz konsyliarzy — Heikinga i Piotrowskiego, Załuskiego, konsyliarza konfederacji wilkomirskiej, pisarza Kossakowskiego, szefa Gielguda i na koniec Mustafę Baranowskiego, ściganego przez pułkownika, szefa siódmego pułku lekkiej kawalerii w Wilkowyszkach.

14 maja na placu Ratuszowym u Zamkowej ulicy, na początku bram zwanych Imbarami, u węgła domu kupca Krzyżanowskiego znów stanęła szubienica: powieszono Szwykowskiego.

Żelazną, bezlitosną ręką oczyszczano ojczyznę z wyrodných jej synów.

W komendzie placu pułkownik Jakub Jasiński

przyjmował wciąż nowe akcesa oficerów do powstania: zgłosił się podskarbi litewski Michał Ogiński niechając pierwotnej myśli o ucieczce za granicę, zgłosili się oboźny Aleksander Pociej, plac-major Wilna, Paweł Radziszewski, Jan Weysenhoff, Tadeusz Tyszkiewicz, sekretarz koronny Antoni Granowski.

Stanęli, własnowolnie oddając się pod komendę młodego naczelnika, niedawni jego szefowie: marszałek sejmowy i niegdyś jenerał Kazimierz Sapieha oraz kasztelan miński, jenerał-lejtenant Szymon Zabiełło. Przychodzili, ofiarowywali swe służby, bez znaku nieukontentowania brali teraz skromne szarże: jeden — kapitana artylerii, drugi — adiutanta pułkownika.

Meldowały się coraz to nadciągające zewsząd z okolic mniejsze i większe komendy — jenerała Giedroycia, pułkowników Rymińskiego i Meyena, brygadiera Sulistrowskiego, Eydziatowicza majora, Niesiołowskiego...

Pływały ofiary w dobru wszelakim i gotowiźnie na potrzeby krajowe. Ustanowiono „dla ugruntowania odzyskanej wolności i z niej wypływających najświętszych prawideł, a z ludzkością i prawem natury połączonych maksym“, podatek składkowy dla wojsk Rzeczypospolitej.

Dnia 3 maja Rada Najwyższa na powszechne życzenie obywateli oddała generalną komendę siły zbrojnej narodowej wojska litewskiego pułkownikowi Korpusu Inżynierów W. Ks. L. Jakubowi Jasińskiemu, dla wchodzenia zaś w plany i wszystkie operacje, dla łatwiejszego i prędszego przez raporta z Radą znoszenia się jako też dla obserwacji wszelkich zarządzeń — JW. Józefa Niesiołowskiego, wojewodę nowogródzkiego, Józefa Kociella, pułkownika, i Romualda Giedroycia, jenerał-majora, z Najwyższej Rady obranych kolegów, dodała i wyznaczyła...

Tu i tam powoli zrazu i ostrożnie wciskać się jąła „umiarkowana“ jaśniewielmożność do urzędów i wojska.

„Ostrzegam Was, godni obywatele — następnego dnia apelował w odezwie Jasiński — czas już zrzucić miękkość serca, którą zawsze tak się kraj nasz chlubił: ścigajcie zdrajców, jeśli jakich widzicie, sądźcie i zabijajcie wszystkich, co nie wpisani pod registr generałów powiatowych po-każą się na ziemi waszej. Są to zbójcy, nie obrońce Ojczyzny, nie czekajcie na miecz sprawiedliwości, często chybny, a zawsze późny; w waszej jest mocy zbawić Ojczyznę, byleście chcieli. Chciejcie! albo i Wy w jej gruzach będziecie zagrzebani...”

Mróz przeszedł po kościach temu i owemu z czytających one pismo naczelnika litewskiej insurekcji.

Teraz dopiero pośpieszył pułkownik inżynierów na Wielką pytać o zdrowie piękną panią Teklę Grozmaniową, wesoło podśpiewując na miękkich poduszkach niebieskiej karocy:

Stare winko, żonka młoda!...

ODEZWA

RADA LITEWSKA POD NACZELNICTWEM TADEUSZA KOŚCIUSZKI

Żołnierze Rosyanie, z postaci człowieka za ludzi od nas znani, srogiej dzikich komendantów poddani władzy, znamy was za braci, bliźnich i litujemy się waszej doli, że wzdychając do wolności mieć i kosztować jej pod barbarzyńskim rządem nie możecie. Znajdujecie wy w umyśle Polaka ludzkości względy i skoro namyślicie się, że tyran stan wasz niemal z bydlęcym stanem równa, a zechcecie sobie doradzić, znajdziecie pomoc i rzetelne braterstwo dla was i pokoleń waszych. Niesiecie wy teraz ogień i klęski najokropniejsze na ludzi chrześcijan, wam niewinnych, którzy was z ludzkością i łagodnością żywili w domach swych zapracowanym chlebem, od własnej go urywając gęby. Lecz nie wam, nie wam, Żołdaci, przypisuje to tchnący sprawiedliwością Polak, ale owym to okrutnym, ciemnym duszom, rzetelnej czci wyobrażenia i kawalerskiej sławy nie mającym oficerom i komendantom waszym,

którzy nie idą za przykładem innych uczciwych komendantów nam znanych, z orężem w ręku powinność z azardem pełniących, bez spustoszenia, morderstw, rabunków, lecz którzy unikając rozprawy nie mogą dotąd nasycić drapieżnej chuci przez łupiestwa, kradzieże, łotrostwa, rozboje i pożogi, a zamiast męstwa i waleczności ogień na mieszkańców rzucać i krew niewinną bezbronnym wylewać wam rozkazują z dopełnieniem obmierzłych naturze i Bogu a samej nawet dzicy obrzydłych zbrodni.

Na tych to, na tych Tuczkowów etc., etc. i innych dywizji jego lub podobnych takim niecnym i imienia ludzi niegodnych dzikich komendantów i oficerów waszych wymierzona jest pałająca zemsta żołnierza polskiego i każdego mieszkańca w całym okręgu ziemi polskiej, a ta w późne pokolenia ze krwią przelana zostanie. Wam, wam, Żołdaci, zmuszonym do pełnienia zbrodni przeciw ludzkości i chrześcijaństwu, przebaczy ludzkość Polaka, nie odmawiając żądającym schronienia i względów na wolnej ziemi polskiej. Ale niechaj się wasi komendanci dzicy nie spodziewają takież w Polaku duszy, kiedy los zdarzy, który bez pochyby sprawiedliwa pomsta Nieba sprawi, aby wpadli w ręce jego — litości i względów nie znaj-

dą, chyba w udziale sromoty i takiej, jakiej warci są, śmierci.

Pomnijcie na tę odezwę, rzeczeni oficerowie, okrucieństwem dzikim tchnący, że wasze obejście się niehumanitarne, barbarzyńskim ledwo znane wiekom między dziczą, jakie czynicie z mieszkańcami i majątkiem ziemi polskiej, wymierza los i godziny braciom waszym, którzy są w ręku naszym, a drżycie, jeżeli sami wpadniecie w moc tych, których wiedzie przeciwko wam hasło: umrzeć albo zwyciężyć! a z czasem przekonać, że słaby tron tyrana, który się opiera na stosie milionowych trupów, a utrzymuje się od dzikich hord ślepych niewolników...”

Pani Wołodkowiczowa Józefowa, starościna mińska, obracała w rękach szarą, bibulastą kartę z wytłoczonymi na niej literami polskimi i rosyjskimi bukwami, krzywiąc piękne, maleńkie usteczka:

— Jasińskiego to, widać zaraz, robota!... Mołochu się dzikiego użala, a na oficerów nastaje, lubo wiedzą wszyscy, iż to zacni wszystko i dwornego obejścia kawalerowie!...

I pobiegła myślami za — nie wiedzieć dla niej

czemu — więzionym w cekhauzie generałem Arseniewem.

— Ach! Mikołaj!... — westchnęła głęboko i przeciągnęła się, stając przed zwierciadłem, w lubym wyprężeniu pod staniczkiem drobnych piersi.

POD POLANAMI

Działa stały wyrychtowane i załadowane. Kanonierzy z zapalonymi lontami — u dział.

Niżej, o parę stają przed baterią, rozpościerała się piaszczysta, goła dolina, tu i ówdzie tylko krzewami jałowcu i wiotkimi brzoźkami, po wyrębie lasu zostawionymi, z rzadka porosła. W prawo był strumień niewielki i łączka, za strumieniem ubogie poletka ledwie co od ziemi odrośniętej tatarki i owsa, opodal zaś wioska niemała, gęsto stłoczona, niskimi słomianymi strzechami wrastająca w skraj daleko, daleko, jak okiem sięgnąć, rozciągniętego lasu.

Na tę to drogę i na tę wioskę rozkazał Jasiński wymierzyć srogie lufy armat.

Sam, uzbrojony w długą rurę perspektywy, stał obok baterii i nie odrywając ani na chwilę od oczu cudackiego instrumentu, rozglądał się po okolicy, wygodnie wsparty w cieniu o gruby pień sosny.

Mimo wczesnej jeszcze pory dnia żar lał się z nieba niemiłosierny. Żołnierze tak dla ukrycia się przed obserwacją ze strony nieprzyjaciela jak i dla okrutnego upału leżeli w obfitym podszyciu lasu na wzgórzach wyznaczonych przez pułkownika. Tuż na lewo od armat przywarł do ziemi 7 regiment Buławy Polnej Litewskiej pod Stefanem Grabowskim. Dalej na sąsiednich pagórkach pułkownik Meyen z 4 regimentem czekał w pogotowiu. Nieco w dole między stanowiskami obu dowódców kłębiło się niesfornie tysiąc żołnierzy pospolitego ruszenia z szlachty, mieśczan, a nade wszystko z chłopstwa, zbrojnych w piki i kosy. Na tych Jasiński nieustannie pozie-rał posyłając coraz któregoś z adiutantów do komenderującego powstańcami Sulistrowskiego, by miał większe baczenie na subordynację w szere-gach.

6 regiment pod szefem Niesiołowskim stał w odwodzie z tyłu za baterią.

Było tego razem dwa tysiące liniowego żołnie-rza i coś koło tysiąca onego rekruta z ochotników.

Dobrze już po południu dojrzał Jasiński przez szkła lunety niezwykajne poruszenie w pospo-licie o tej porze zajętej obiadowaniem wiosce. Chłopi i wyrostki pośpiesznie wypędzali bydło

z obór i gnali je kijami do pobliskiego lasu; baby, jak na pożar, wynosiły tobołki przed chałupy, zarzucały je sobie na plecy i ciągnąc uwieszone u kiecek dzieciaki, dreptały żwawo za porykującą żywiną; jakaś starowina targała za sznur opierającą się krowę. Jałowica wryła szeroko rozstawione przednie racice w piach wiejskiej ulicy i podnosząc wysoko w górę łeb, ciągnęła powróż wraz z kobietą do tyłu ku zagrodzie. Wreszcie, nie wiedzieć czemu, raptem się rozmyśliwszy ruszyła z kopyta przed siebie, wlokąc u szyi niedołężną gospozię.

W trzy pacierze wioska jak gdyby zamarła na nowo, ale tym razem nie na długo.

Teraz pułkownik wyprostował się rezygnując z wygodnego oparcia. Wyteżył całą siłę żrenic. Już i kanonierzy poruszyli się u dział.

U wylotu drogi w dolinę, na skrajach zagajników w prawo od wsi, na włościańskich zagonach, u łączki ukazały się oczom obserwatora równe, wyprostowane szeregi jegerskiej piechoty. Odblask majowego słońca bijący od blach na wysokich czakach jegrów raził oczy, kłuł boleśnie.

Jasiński odjął perspektywę i wskazując nią tam, skąd wychodziły już nad rzeczkę tłumy lśniących sztykami rot, wysoko uniósł do góry lewą, swobo-

dną dłoń. Kanonierzy pochylili się nad działami. Cisza zawisła w rozedrganym od upału powietrzu taka, że zasłyszany raptem głos kukułki biorącej się właśnie do swoich wróżb: ku, ku! wydał się wszystkim jak uderzenie topora w najbliższe drzewo. W tym samym momencie wzniesione ramię pułkownika opadło niby ścięta gałąź — i całą senną dotąd dolinę wstrząsnął piorunowy ryk wszystkich dwunastu na raz armat baterii, dwukrotnym jeszcze echem powtórzony przez ściany lasów.

Jasiński szybko podniósł szkła do oczu. We wsi jakby się zagotowało: siwy, gęsty tuman wzbił się nad traktem między chałupami, nad obejściami polanowskich włościan.

Znów podniosło się i opadło ramię komenderującego. Zadymiły gardziele luf i wszystkie — ile ich tam było — działa z łoskotem odskoczyły do tyłu, jakby przerażone gromem, który z siebie wydały.

Wież już płonęła. Coraz to wznosiło się i coraz to opadało niezmordowane ramię — coraz to nowe, coraz to nowe języki ognia wystrzelały ze słomianych dachów domostw, obór i stajni. Jegrzy, którzy brali się już przesadzać wąski strumień, słysząc trzask pękających za plecami granatów

zmieszali się, poczęli poglądać za siebie i niezdecydowani, bezradnie zatrzymali się na łączce... Równocześnie wzdłuż półmilowej linii skraju lasu w prawo od Polanowa poleciało długie, przeciągłe „huraaa!...” i z płomieni i dymów wioski, spoza masy drzew ciemnego boru jęli wyskakiwać zrazu pojedynczy strzelcy, a potem całe rotty, kompanie i bataliony, prac szeroką ławą ku rzece. Zarazem gdzieś od poletek tatarki i młodej runi owsa poleciały ze świstem kartacze na wysunięte w dole pozycje kosynierów.

Poczęła się obustronna, wściekła, mordercza kanonada.

Już ten i ów artyleryjski pocisk przeciwnika, przelatując nad głowami kanonierów Jasińskiego, padał z tyłu między drzewami i rozpękiwał się tuż, tuż z mrozącym krew hałasem, już temu i owemu wyskakiwała dusza na ramię, ale pułkownik potrząśnięciem ściśniętej twardo pięści wnet przywodził do przytomności najmniej obytych z diabelskim koncertem. Kułak robił swoje. Działobitnia bezprzestannie miotła pociski za pociskami.

Jasiński wciąż na nowo zaglądał w oko perspektywy: co najmniej jedna czwarta jegerskich batalionów przesadziwszy rzeczkę docierała już do połowy żółtej, piaszczystej doliny. Od stanowisk

4 regimentu ozwała się na to flankowa palba pojedynczych muszkietów. Wszelako kule zapalczywych strzelców pułkownika Meyena jeszcze nie donosiły i baczny na wszystko Jasiński słał natychmiast konnego z ordynansem, żeby regiment do czasu wstrzymał ogień...

— Proch jeno psują! — rzucił za odjeżdżającym adiutantem. I obserwował dalej plac boju.

Wioska się dopalała. Z hukiem waliły się sterzące rozpaczliwie ku niebu kominy. Poprzez osmalone przez pożar i ogołocone z liści jabłunki rzadkich chłopskich sadów widać było teraz wysunięte przed lasem nieprzyjacielskie baterie. Jasiński drgnął niespokojnie: było tego więcej, niż rachował. Nie mógł wiedzieć, że ciągnącemu na stolicę Litwy pułkownikowi Diejewowi przyszły z pomocą, łącząc się w przeszło trzytysięczny korpus, oddziały Kirejewa i Lewiza.

Nakazał, aby połowę dział wyrzuchowano na działobitnię Diejewa. Pozostałe obrócił przeciw zalanej już przez bataliony jęgrów dolinie.

Granaty poczęły wyrzucać w górę złociste fontanny piachu, tu i tam obalając nadbiegających, zawzięta teraz już palba 4 i 7 regimentu razila gdzieśniedzie pociskami, ale akurat właśnie dwie celne bomby wystrzelone przez artylerzystów

z tamtej strony strumienia eksplodowały nie opodal sposepniałego od kwadransa Jasińskiego i dwa polskie działa zamilkły.

Pułkownik przygryzł wargi.

Nie było rady, jak tylko wszystkie armaty obrócić na pozycję działobitni przeciwnika. Z kolei zakotłowało się na zagonach tatarki i owsa. I zarazem pogalopowali adiutanci do Sulistrowskiego, do Grabowskiego, do Meyena.

Pierwszy poderwał się z ziemi 7 regiment. Szli bez jednego okrzyku, wyciągniętymi szeregami, pochylając nisko bagnety, oficerowie z gołymi pałaszami w garściach. Grabowski wśród nich... Zaraz potem ruszyli ostro zbrojni w kosy i piki ochotnicy dodając sobie animuszu wołaniem:

— Jezus, Maryja!... Jezus, Maryja!... Bij, zabij!...

Jasiński się uśmiechnął. Teraz już przez cały czas nie spuszczał oczu z kosynierów.

Jeszcze przed długą linią idących do ataku zaświstały z flanki, zadzwoniły jak rojące się pszczoły kule strzelców Meyena — i bagnet dźwięknął o bagnet, ze zgrzytem zwarły się pałasze z pałaszami. Po małej chwili nie było już nic widać wśród przeraźliwej kurzawy, tylko gwałtowny

migot stali w blaskach powoli kloniącego się ku zachodowi słońca...

Już zaczęła się łamać równa do tej pory linia walki, już próbowały salwować się ucieczką z pola pojedyncze grupki jęgrów, kiedy nowe „ura! ura!” od strumienia przechyliło znów szalę na rzecz uważnego pułkownika Diejewa. Ale Meyen wiedział, czemu zwleka z wypełnieniem rozkazu swego dowódcy. Teraz dopiero rzucił przez zęby świszczące, krótkie „naprzód!...” I ze skrzydła runął na karki triumfującym już jegrom. Zagotowało się jak w garnku. Długi wąż pyłu w dolinie, rozbłyskujący wciąż srebrną i na przemian złotą łuską szabel, kos, szpad, bagnetów, blach na coraz to lecących z łbów kaszkietach, wziął wnet się skręcać i zwijać, skracać w lewo tak gwałtownie, że strwożony nie na żarty Diejew zdecydował rzucić do walki Kozaków.

Zadudniła ziemia pod tętentem tysiąca kopyt. Ledwie mignęli błyskiem szabel nad strumieniem i nowe obłoki kurzawy rzucili w piekielny hałas polanowskiej doliny.

Jasiński drgnął po raz wtóry. Widział najwyraźniej niepokojący, zygzakowaty ruch w gromadach ścierających się z jegrami kosynierów — i nie minęło kilka pacierzy, jak cała ta wielosetna

chmara najróżnorodniej odzianych i uzbrojonych wolontariuszy w panice rzuciła się do tyłu, rozpierchając się po żółtej, rozległej przestrzeni jak stada szczygłów, szpaków i trznadli. Od lasu, naprzeciw opierającym się mimo to jeszcze regimentom Grabowskiego i Meyena, szły wciąż nowe je-gerskie rotyny...

— Szósty regiment! — rzucił krótko za siebie do stojącego tuż porucznika Granowskiego.

Nie dalej jak po kwadransie szedł z wydartym pierwszemu z brzegu żołnierzowi karabinem obok szefa regimentu Niesiołowskiego ratować zagrożoną wiktoryę.

Za późno!

Już pokaźna część regularnych żołnierzy brygady umykała z placu w ślad za niesforemym rekrutem, już Kozacy dopadali zbiegów i płazując ich szablami, z konia chwyтали niewolnika, już jęgrzy łamali zaciekły opór 4 i 7 regimentu. Już ranny pchnięciem pałasza w lewe ramię Grabowski ledwie się opędział od osaczających go zewsząd ostrych jak szydła sztyków żołnierzy Lewiza.

Brawurowy atak piechurów nieustraszonego Niesiołowskiego znów poprawił szanse Polaków.

Bili się ranni i zdrowi, utrudzeni i świeżo wprowadzeni na plac, ścierali się wręcz — piers

o pierś; nieraz, gdy podbity ciosem od spodu oręż wypadał z drętwiących na moment garści, rzucał się na siebie z pazurami, długo jeszcze szamocąc jeden drugiego. Pot ściekał strugami z czoła, gryzący kurz zatykał nosy i gardziele, piasek trzeszczał w zębach.

Jasiński nie ustawał w rozpaczliwych wysiłkach przechyleń szali na swoją stronę. Zagrzewał słowem i przykładem, zachęcał uśmiechami i klął szpetnie — robił, co mógł. Na darmo.

Zmierzch się już poczynął i wietrzyk chłodny ciągnął od łąki, strumienia i boru... Zapał stygł po obu stronach.

Po sześciu godzinach zawziętych, zaciętych, upartych zmagañ walka wygasła.

Ze stratą 54 zabitych i tyluż prawie oddanych nieprzyjacielowi jeńców, do tego 3 działa, przyszło się wycofać.

Uszedł też z pola mężny pułkownik Diejew pozostawiając 174 trupy i uwożąc traktem na Smorgonie 327 rannych.

Tej nocy Jasiński znów długo, długo nie mógł zasnąć wlokąc się dobrze wyresorowaną bryką, powoli, krok za krokiem, po litewskich piachach, eskortowany przez pół szwadronu do Wilna. Mrok

był, mgły snuły się nad wilgotnymi łąkami i jeziorami wśród lasów i świat tajemniczał w tym mroku.

— Że też waćpan, mości pułkownika — ozwał się naraz milczący wciąż obok Jasińskiego Antoni Granowski — nie mógł się strzymać z nakazaniem ognia, aże ona kukułka nie skończy kukać?!

Pułkownik popatrzył przeciągle, z zaciekawieniem na adiutanta.

— Pleć, pleciugo!... — pokiwał z żalością głową nad uznaniem sekretarza koronnego dla gminnych przesądów i na nowo popadł w swoją od kilku godzin trwającą posępną zadumę.

Nie mógł w myślach przebaczyć kosynierom.

JEZYKI, JEZYKI, JEZYKI

Co?... Co mówią? — dusił poręcz krzesła tak, iż zdawało się, że sok puści.

— Że na majątności ich dybiesz, włościanom już je wprzód za uczestnictwo w powstaniu sekretnie przyrzekłszy, że Rada Litewska odeszła od aktu konfederacji krakowskiej, Francję sobie za wzór biorąc... Ogiński opowiada, iż go skłaniał do myśli, że jeśli nie wyróżnie się całej szlachty, Polska nie może być ocalona... Mówią, że w tobie zawiść ku jednej władzy szuka osobliwie despotycznego władania, żeś im na gardle siadł...

Jenerał cały szczerwieniał.

— Żem im na gardle siadł, powiadasz?!

— Nie ja, jeno tamci!

— Tamci?... Kto? Kto?... — ciskał spod ostrościągniętych brwi piorunami purpurowy Jasiński. — Podatki ustanowione dla wojska przestali wnosić, na włościan je rozkładając!... Sąd subordynacyjny dla sądenia nieposłuszeństwa i oporu

komendzie od akt puchnie!... Na gardle im siadłem?!... Damy wyższej klasy szańce sypią? Abramowiczową Barbarę z Kocieliów waćpan znasz?! Rotmistrzowa!... Tfu!

Splunął.

— Sapieha... — generał zdusił głos. — Najwyższy Naczelnik Księstwo Litewskie baczności jego poleca! Deputacja Tajna wyraźnie mu z korpusem ku Grodnu podążać nakazuje i albo je brać i trzymać, albo choć odwrotu nieprzyjacielowi nie dawać, Prusaków do Niemna nie puszczając... I co?!... Nic.

Końcem buta odrzucił w kąt stojące mu na zawadzie krzesło.

— Cycjanow — kipiąc gniewem, ciągnął dalej — kontrybucji sześć tysięcy czerwonych złotych zgarnął, na zamek wpadł i kasę skarbu litewskiego zabrał, naładował bryk kilkanaście pieniędzy, sprzętami i bronią i uszedł... Dobrze jeszcze, że za radą von Kleista — znasz go waść, major w polskiej służbie księcia Wirtemberskiego, baron! — nie poszedł i miasta nie zbombardował... Na gardle im siadłem!...

Chadźkiewicz lustrował jak najbaczniej zmarszczki żywo biegające po czole nieustającemu przechadzać się tam i sam po izbie generałowi.

— Na gardle im siadłem... Włóścianie panów swych nienawidzą, jak tego już liczne fakta dowiodły, dlatego nietrudno ich, nadto protekcją zachęconych, będzie mieć nieprzyjacielowi po swojej stronie... Żołnierz obdarty, zgłodniały, nieraz i bosi, a panowie oficerowie więcej, jak czas wymaga, starannie się ubierają... Wozów amunicyjnych brak, ale u Chlewińskiego w obozie co dnia uciecha — wiele oficjerek w wystawnych dość pojazdach!

Urwał. Siadł przysuwając krzesło do Chadźkiewicza.

— Irytacja mnie kiedyś zadusi... Coś o Komisji Brzeskiej gadał? Że co?

— Przeraziły nas druki wileńskie, pisała ponoć do Kościuszki, zdają się one osobną stanowić władzę, osobne pisać dla posłuszeństwa prawidła...

— Ehe! — przerwał mu Jasiński. — Papieru to oni się tam zbyt nie trwożą ani nawet osobnego na Litwie władzy stanowienia, lecz majętności przyszłego po szczęśliwym insurekcji zwycięstwie naruszenia się ulękli... Piki włościańskie ich straszą. Ot, co!

— Nie wiem, tak ponoć pisali. I jeszcze — Chadźkiewicz wydał wargi — niby, że... no, nie

rozumiemy, żeby to być miało skutkiem szkodliwego dla ojczyzny zamysłu, nie myślimy, żeby namietność człeka miała się wmieszać do mitrężenia środków na ratunek całej ludzkości zażytych.

— Fiu! fiu! fiu! — zagwizdał jenerał. — Namietność człeka!... To Kocięł, deputowany od Rady Wielkiego Księstwa do obozu Najwyższego Naczelnika, jaśnie podobnoć rzecz przedstawiał, żeś duch francuski, terroru jeno chwalcą, żeś demagog i ku zadowoleniu własnej, nie poza tym, ambicji działał, i do tego Naczelnikowi wielce nieprzychylny... Toż samo i Wysogierd tam prawił... Wiem to, wiem... Chlewiński jenerał, targowickiej konfederacji dopiero co oddany stronnik, do uczestnictwa w rewolucji gwałtem ledwie przymuszony, takóż, myślę, sądzi, a co najmniej mówi... Mam ci ja tu list jego do Prozora, 26 maja z obozu w Gawii pisany, na użytek publiczny... Wielce to ciekawe pismo!

„Widziałem w Radzie, jak na mnie patrzano, bo człowiek każdy pocziwy — uważaj, uważaj waść jeno pocziwego! — musi mieć prześladowanie, a nie czując się do złego myślenia, ani dbam, wiem, jacy ludzie są w Radzie, prócz kilku osób nieinteresowanych i pocziwych... — słuchaj waść dalej — dla własnego tylko interesu wleźli

do Rady. Inni podkupili się ofiarami, aby byli bli-
scy w wiadomości układów, z których już jeden
uciekł. Ci są poczciwi, a ten, który najpierwszy
uczynił związek, stanął na czele wojska, z którym
wojsko dobrą wiarą poszło i który zanimował oby-
watelów do łączenia się, ma być podejrzany!...“

Diabeł mszę odprawuje i ogonem dzwoni! —
przerwał na chwilę. — Są tu i uciechniejsze je-
szcze *bonmot'y* i deklaracje...

„Będę sam na Radzie — powiada — wytknę
wszystkich palcem, niech wiszę, kiedy źle myślę,
lecz kto zdradę knuje, musi także wisieć. Bywało
to w Paryżu, że dobrych obywatelów o zdradę po-
sądzano, więc i tu tak się dzieje, aby zdrajce mieli
wolne pole. Proszę — uważaj waść! — mego listu
przed nikim nie taić, niech powszechność wie, co
myślę i jak myślę. Na większą jeszcze zdradę rzu-
cili byli kość między mną a Jasińskim komendan-
tem, podesłali mi list bezimienny, chcieli nas po-
różnić. Niechże powszechność wie — i tu sama
esencja, słuchaj, Ignacy! — że Jasiński i ja je-
steśmy bracia...”

Obaj, Chadźkiewicz i generał, zanosili się od
śmiechu.

— „...jesteśmy bracia i jednomyślni synowie
Ojczyzny i nie chcą żadnej innej cechy nosić,

jak tylko imiona dobrych obywatelów. Co nam Bóg i sumienie ku dobru Ojczyzny dyktować będzie, tymi krokami pójdziemy, i jeszcze raz mówię, że czy to od nieprzyjaciela, czy z własnych rąk ziomków, za Ojczyznę i powstanie narodu słodko umrę...”

Chadźkiewicz słuchał z wielką uwagą, nie przerywając, wszelako gdy do onej słodkiego umiarnia ochoty u Chlewińskiego przyszło, więcej nie wytrzymał.

— Obwieść! — syknął.

— Jeszcze nie — zawyrokował Jasiński — ale zdałoby się!...

Wszedł Granowski, oficer ordynansowy jenerała. Meldował się od progu i witał Chadźkiewicza.

— Z czym przychodzisz? — wyciągnął serdecznie rękę do oficera Jasiński.

— Butów par 87 z komisariatu wojskowego przysłano — raportował — całe dobrych. Kasper Korsak małą komendę nieprzyjacielską pod Mikołajowem zniósł i niewolnika spośród rozbitych karabinierów chwycił.

— To wszystko? — pytał jednako rad i z trzewików, i z Korsaka Jasiński.

— Nie. Na instrukcje, o których waszmość, panie jenerale, wczoraj mówił, czekam...

— A no!... — zwrócił się do Chadźkiewicza jenerał. — Wybacz, Ignacy...

Chadźkiewicz wstawał, żegnał się utyskując na ubóstwo gospód w Lidzie, na brak kucharza i obfitość robactwa po oficerskich kwaterach.

— Bacz waść raczej na języki ludzkie, miast na robactwo... Nikt jeszcze dotąd od pluskiew nie zginął i nie tylu zacnych kawalerów od nieprzyjacielskich kartaczów padło, ilu od języków!... — doleciało go w sieni.

Granowski czekał, wciąż stojąc. Jenerał skinieniem prosił adiutanta siadać, a sam wziął się kończyć instrukcje.

„...Ma być — pisał pośpiesznie — każdemu dany ordynans podpisem generała powiatowego stwierdzony, aby w ciągu najdalej dni dziesięciu zbierał tyle ludu zbrojnego ze szlachty i miast, ile może, a to na koniach z szablą, pistoletem najmniej jednym i piką, wzywając do tego wszystkich dziedziców, arendarzy, zastawników, większych i mniejszych, na koniec bez różnicy wszystkich ludzi zdrowych i silnych...

Na zawołanie tych rotmistrzów ktokolwiek bez

oczywistych dowodów albo obłożnej choroby, albo zgrzybiałego wieku, albo małoletności, którą do lat 18 rozciągać należy, natychmiast nie stawił się, jego wszelka w domu znaleziona broń, żywność i konie, przez tychże rotmistrzów i setników za rewersem zabrana, ma być rozdana na ochotników do obrony Ojczyzny zaciągających się; sam pod strażą przystawiony do obozu mego dla sądu, w którym głowa na zemstę narodu, sprzęt wszelki i majątek nieruchomy, jako niegodnego syna Ojczyzny, zabrany i na rzecz nadgrody prawym jego obrońcom obrócony będzie...

Po tych ciągłych nieszczęściach byłeś przymuszony, obywatelu, dobyć oręża na obronę reszty mizernej i haniebnej egzystencji twojej; już teraz nazad go wkładać do pochwy ani przystoi, ani podobna...

...stracić już nic nie możesz, boś stracił kraj, sławę i majątek. Nieprzyjaciół ziemi twojej wziąć z sobą nie może. Jeśli ci spali dom drewniany i słomą kryty, to jest rzecz, którą na nowo z łupu na nim zabranego wystawić wnet potrafisz. A będzie ci potem tym miłszy, że wolny mieszkać w nim będziesz...

Bądź ludzkim z tymi, którzy ci nic nie zrobili złego, ale wywieraj zemstę na prześladowców

twoich. Powolność Polaka zgubiła nasz Naród. Rozpacz jedna podźwignąć go może.“

Dmuchnął na papier i odłożył arkusz. Sięgnął po drugi.

„Instrukcja dla wkraczających w kordon rosyjski“ — postawił tytuł. Zastanawiał się długo.

— Zawrzyj waść okno! — zwrócił się do cierpliwie czekającego oficera. Turkot toczących się po bruku wozów i srogie woźniców krzyki mieszały mu myśli... Teraz znów powędrowało pióro po papierze — powoli, z namysłem.

Po godzinie kończył:

„...6. W kraju swojego kordonu wsie i chłopów jak najlepiej, z ludzkością traktować; szlachty tej tylko majątek rabunkowi podpada, którzy w sądzie rewolucyjnym są potępieni, i tych, co opornie od wsiadania na koń wzbraniają się. 7. Za wejściem w kordon przeszłego zaboru dobra wszelkie wolne są na rabunek szlachty rosyjskiej i wojskowych, którzy nie są rodem Polacy. 8. Wszelkie składy i dobra cesarskiego skarbu jakiegokolwiek tytułu też są na rabunek wolne. 9. Zabicie bezbronnego człeka, a tym bardziej niewinnego wieśniaka, jak komendanci śmiercią karać są winni podkomendnych, tak równie sąd

subordynacji na nich samych tej surowości używać będzie...”

Przesunął raz jeszcze uważnie spojrzeniem po długich rządkach równego, drobnego pisma, pośpiesznie dodał kilka jeszcze zdań i zgarniając do kupy arkusiki, bez słowa podał je Granowskiemu. Oficer odszedł.

Teraz Jasiński odemknął okno i połową ciała wychylił się w ogród.

Po krótkim do południa deszczu był złoty, pogodny dzień późnej wiosny. Z rozświergotanego ptasimi głosami sadu płynęły zmieszane wonie centofolii, nagrzaney słońcem trawy i ostatnich kiści przekwitającego jaśminu. W pośrodku wy-cyrklowanego tuż pod samym oknem, mieniącego się w oczach dziesiątkiem gorących barw rabatu całą gromadą kotłowały się zaciekle naburmuszone, srodze o coś tam na siebie zawzięte wróble. Odęte, z nastroszonymi piórami tarzały się w grządkach gęsto posianych bratków, zajadłe szcypiwszy się wzajem dziobami i pazurami, nie zwracając najmniejszej uwagi na wpatzonego w nie generała. Jasiński zachichotał zdławionym przemocą śmiechem, cicho, na palcach, odstąpił od okna, sięgnął po stojący na stole kałamarz i bez namysłu wyrznął w zacierzewione stado.

Ptaki, rażone nieoczekiwaniem wymierzonym w nie pociskiem, porwały się natychmiast, sypiąc gęsto pierzem, do niezgrabnego lotu — i rozpierzchnione, uszły w gąszcze jaśminowego żywopłotu nie ustając i stamtąd drzeć się niemiłosiernie...

— Ech! — machnął ręką zniecierpliwiony Jasiński. — Trzaskajcie sobie dziobami, ile chcecie...

Wziął z kołka kapelusz i poszedł na kwaterę Chadźkiewicza dojrzeć, zali go robactwo nie pożarło.

W ogrodzie spoczywający na ławce pod gęstym cieniem nawisłych gałęzi włoskiego orzecha pękał z uciechy Tadeusz Tyszkiewicz, jeden z oficerów ordynansowych generała.

LISTY, LISTY, LISTY

Obywatelu generale! — pisał 12 maja Kołłątaj do Jasińskiego z obozu pod Połańcem. — W przygotowaniu i uskutecznieniu insurekcji w Wilnie okazałeś, ile przejęty jesteś sprawą narodowej wolności, przez co zasłużyłeś na szacunek wszystkich poczciwych Polaków, a na wdzięczność Ojczyzny. Zachodzą jednak takie jeszcze okoliczności, którym zarządzenie wyciąga obywatelstwa Twego. Akt wileński czyni rozdział od aktów wszystkich województw i zrywa jedność w organizacji władz rządowych przez czas powstania trwać mających. To złe prędkiego wyciąga lekarstwa. Pisałem o tym do obywatela Tyzenhauza, pisał sam Naczelnik do utworzonej Rady w Wilnie, pisałby i do Ciebie osobno, gdyby mu czas, w którym szykuje wojsko do bitwy, nie przeszkodził. Proszony od Naczelnika, wyręczam Go w tej odezwie i obliguję Cię na miłość Ojczyzny, abyś z Tyzenhauzem skutecznie się tym zaprzął, żeby akt wileński prostym był tylko akcesem

do aktu krakowskiego, przyjętego już dzisiaj w całej Polsce i w niektórych powiatach litewskich. Odważyliśmy się na rzecz wielką; wy szczególnie, wojskowi, jużście dla niej krew leli i można powiedzieć, że powstanie wojska utorowało drogę powstaniu obywatelów; ale jeśli nie będzie jedności w rządzie, która by tą machiną kierowała, skończy się na tym, że co odwaga i rozpacz zaczęła, tego roztropność do szczęśliwego kresu doprowadzić nie potrafiła...”

„Obywatelu i Kolego mój szanowny! — pisał 8 maja Zakrzewski, prezydent Warszawy, do Tyzenhauza. — Równe powody równe skutki sprawdzają. Jak ożywieni cnotą i gorliwością, zagrzani męstwem i walecznością rodaka waszego a Naczelnika siły zbrojnej narodowej, potrafiliśmy w stolicy kraju najsromotniejszej zniewagi i gwałtu zerwać pęta, tak cieszymy się, iż równy zapal, równe skutki i równie nieprzyjaciela Ojczyzny naszej w stolicy swojej pokonać zdołaliście. Nierozdzielnie więc uwielbiamy to Opatrzności dzieło nad sobą, nierozdzielnie Boga prosimy, iż jak pobłogosławił początkom powstania naszego, równie nam w dalszych ażeby przewodniczył zamiarach. Wszystkiemu temu nieuchybnie

pomyślny nastąpi skutek, jeżeli gdy nas jedne powody do jednych w początkach samych doprowadziły skutków, jednych środków używać będziemy. Nie bez uczucia żalu, Szanowny mój Kolego, Tobie się wynurzam. Czytałem akt powstania i stosownie do aktu waszego urządzenia, gdy w nich tego nie znajduję, co we wszystkich, a nawet w wielu litewskich województwach, ziemiach i powiatach w duchu i treści aktu krakowskiego przyjęte zostało, widzę przeto otwartą drogę do tysiącznych intryg i emulacji między ubiegającymi się do urzędów naczelniczych, które zamiast jednaczyć, rozróżniać Was mogą. Naczelnik naszego powstania jest jeden w narodzie, który posiadając wszystkie cnoty republikanina wyzuty jest z wszelakich chęci egoizmu. Mąż ten, przepędziwszy wiek swój w rzemiośle wojennym, pokazał dowodami, iż umie być obrońcą całości kraju i swobód naszych, w nim szczególniejsza nadzieja nasza. Prowincja koronna, wierna celom i chęciom Najwyższego Naczelnika powstania naszego i przekonana, iż związek jak najściślejszy siły narodowej pod jego zwierzchnictwem jedynie nas zbawić może, skoro tylko na odgłos jego sławy i męstwa w szczególnych swoich siedliskach nieprzyjaciela pokonała, wszystkie swoje siły i ma-

jątki zaraz pod jego poddała urządzenie. Wielu obywateli z prowincji litewskiej uznali tę samą potrzebę, którzy chlubni mieć za rodaka tego męża, który naród podupadły dźwiga; w Bielsku pod komendą tymczasową Sapiehy i w Żmudzi całkowicie akt krakowski przyjęli i pod naczelnictwo swego ziomka się poddali, jeden tylko akt wileński, lubo również w czystym duchu patriotycznym uformowany, zdaje się wskazywać zamiar oddzielnego zwierzchnictwa, co jako nie odpowiada związkom politycznym, jednemu Kościuszce tylko wiadomym, i potrzebie narodowej, tak też łatwo Ciebie, Szanowny Kolego, przeświadczyć potrafi, że akt wileński, w pierwszych momentach zapалу udziałany, w tym defekcie swoim sprostowany być powinien...”

„Obywatelu i Szanowny mój Kolego! — pisał 13 maja Tyzenhauz, prezydent Wilna, do Zakrzewskiego. — Jako nam ucisk powszechny do szlachetnej w obu narodach przewodniczył rozpacz, jako nam jednego Boga wszechmocna do początkowych zwycięstw dopomogła prawica, tak równymi powodowani przyczynami, i w pierwiastkach powstania, i w ciągu działań jedną drogą i do jednego celu z Wami dążyć pragniemy.

Hasło naczelnictwa cnotliwego Kościuszki i hasło przez niego wydane śmierci lub zwycięstwa objęły w ogóle całym serca wszystkich mieszkańców prowincji litewskiej. Akt powstania naszego, w Wilnie ogłoszony, jeżeli w czym zdaje się być odmiennym od tego, który w Krakowie stanął, różnica takowa nie w celach i zamiarach, lecz w tym tylko zachodzi, iż akt krakowski szczególnym był i pierwszym jednego województwa, wystawiony do naśladowania innym województwom koronnym. Akt zaś litewski stał się wraz aktem ogólnym całej Litwy. Przyczynę tej różnicy niech usprawiedliwią przed Wami te okoliczności, które nami powodowały do utworzenia onego na ogół całej prowincji; przewidywaliśmy albowiem z troskliwością, iż gdyby akt powstania wziął na siebie tytuł jednego tylko województwa wileńskiego, nie mogąc *directe* obowiązywać innych województw, zostawiłby im drogę i potrzebę do tworzenia osobnych aktów i sądów kryminalnych; a tak i z przeciągu czasu, i z niejednostajności dzieła lękać się nam należało, iżby zamiast powszechnego zapалу, który chęć i siłę jednego narodu w jednym momencie ożywiać i jednostajnie poruszać powinien, nie utworzył się jakowy bezład sprzecznych między sobą cząstek, dobru powszechnemu szkodliwy;

zwłaszcza gdy i mała wówczas liczba wojska litewskiego bojaźliwych obywatelów zastanawiać zdolną była i nieżyczliwi Ojczyźnie ludzie z powodów osobistych bruździć mogli i na koniec odległość przewodniczej obu narodów Naczelnika głowy nie obiecywała tak powszechnego jak w Koronie powstania. Z tych przyczyn wtrąciliśmy, iż tak rzekę, razem i w jednymże momencie całą prowincję w potrzebę porwania się do broni, aby widząc się być rzuconą na przestwór ogólnej rewolucji, całej swojej siły wraz dobyć przymuszoną została. Skutek za Bożą pomocą odpowiedział układom naszym i dziś nie ma już prawie powiatu ani obywatela, który by w jednym z nami bronięcia Ojczyzny nie zostawał zapale. Rada zaś nasza Narodowa, zewsząd wybranymi i tu przysłanymi reprezentantami zasilona, składa zupełne ciało całej prowincji pod najwyższym naczelnictwem danego nam od Opatrzności Tadeusza Kościuszki. Będziecie odtąd widzieli we wszystkich ogłoszeniach Rady Litewskiej i wszelkich władz tytuł tego szanownego Naczelnika...

Co się zaś tyczy wojska i jego komendy oraz nastąpionych dotąd wojennych czynności, następujące w ogóle przesyłam Ci doniesienia:

Trzy korpusy składają wojsko nasze liniowe

pod trzema generałami: Jasińskim, Chlewińskim i Franciszkiem Sapiehą, z których dwaj pierwsi zawsze czynni pod zwierzchnością podległej naczelnictwu Kościuszki Rady Narodowej Litewskiej, prześladując nieprzyjaciela onego ku granicom, od stolicy litewskiej odpierają, ułatwiając przez to dzielną czynność Rady i uzbrojenie w stolicy i w prowincji; atoli gdy szczupłość wojska liniowego nie pozwala bez niebezpieczeństwa dziełić go na wszystkie strony, nieprzyjaciół w liczbie od 4 do 5 tysięcy z 30 z górą armatami cofa się od Grodna ku Nowogródkowi pustosząc rabunkiem i pożogą opuszczane od siebie kraje i, coraz obfitszy w łupy na mieszkańcach zabrane, uwikłany i obciążony niezmiernym taborem, podaje zręczność atakować siebie z pożytkiem dla nas, byleby kolumna pod komendą Sapiehy do operacji wojska litewskiego i do układów Rady Litewskiej czynami stosować się chciała. Lud nasz rolniczy, cały uzbrojony w dzidy, kosy i siekiery, wszędzie nieprzyjacielowi szkodzi, przystępu do miast i wsiów ile możności broni, jeńców łapie i byłby może nieraz decydował ostatni cios nieprzyjaciółom, gdyby od dostatecznej liczby wojska liniowego mógł być wsparty i dobrze prowadzony...

Jeszcze raz upewniam Cię, Szanowny Obywatelu, iż naród nasz, Rada nasza, wszystkie deputacje, komendanci wojsk i wojska — wszystko to jest pod naczelnictwem i zupełną podległością Naczelnika Najwyższego, Tadeusza Kościuszki, w dowód czego jest zamiarem Rady Litewskiej wysłać wraz z tejże Rady dwóch reprezentantów, jednego do Warszawy, a drugiego do Naczelnika Tadeusza Kościuszki, aby tym sposobem niejakiś połączenie, a przynajmniej komunikacja obu narodów z Naczelnikiem upewnioną została. Proszę więc Ciebie, Szanowny Kolego, aby odtąd rozkazy i urządzenia Najwyższego Naczelnika nas dochodzić mogły, gdyż my, po Bogu, Jemu ufamy i pod jego się rządy poddajemy; niech pewnym będzie ufności, powolności i posłuszeństwa naszego, niech wie, że życie i krew nasza, i majątki nasze na skinienie jego zupełnie poświęcone będą; niech wie, że Litwa z Koroną jednomyślnie zawsze dotrwa i że w sobie samej jednomyślna, żadnemu podejściu miejsca nie da, żadnej intrygi nie dopuści się i pozory onej, jeżeliby jakie znalazły się, wysledzi, Naczelnikowi doniesie i zniszczy, względu na żadne osoby nie dopuści się, a stale, śmiało, gorliwie, pracowicie i wiernie do dobra publicznego dążąc, wszystko, co Najwyż-

szy Naczelnik rozkaże, dopełni; jeśliby na koniec Najwyższy Naczelnik widział potrzebę usunięcia jakichkolwiek osób, wszystko to za wolą Jego dopełni się...”

UMIARKOWANA JAŚNIEWIELMOŻNOŚĆ

Kwatera główna była w Oszmianie.

Tędy ciągnął Jasiński z armią litewską, aby obejść Mińsk i zadać nieprzyjacielowi cios od tyłu. Plan był dobry i prosty: wtargnąć na Białoruś, nadać tamtejszym chłopom wolność i pociągnąć tym do insurekcyjnych szeregów, walczących z despotyzmem imperatorowej, jakie dwanaście tysięcy ludzi, rozstrzelić siły przeciwnika, podnieść ducha armii i społeczeństwa.

Tu, w Oszmianie, kiedy generał dręczył się losami wyprawy wysłanych przedtem pod Michałem Ogińskim oddziałów, otrzymał tymczasem pismo od Deputacji Tajnej wileńskiej, datowane dnia 8 czerwca:

„Dla Boga — niepokoiła się Deputacja — pókiż pozwolą Sapieże tyle czynić zamieszania, pókiż generał Chlewiński to w jedną, to w drugą będzie się pochylał stronę! Na cóż wojsko, jeśli usuwać się zawsze od nieprzyjaciela, dać na łup

i spustoszenie większą część kraju będzie to chwalebny systema i znajomością wojskowości; gdyby te powiaty i województwa, gdzie teraz Chlewiński i chwasty, i szyszki widzi, były bronione, widziałby w nich obfitość wszystkiego i chętne dla obrony swojej. Dla Boga, czemu obywatel Sulistrowski nie śpieszy położyć końca tym niesfornościom, czemu odwleka, wszak sam widzi, że w zgubę kraj tym pograży, jeśli miękkości względów użyje. Te to względy nieszczęsne początkiem są tego nieszczęścia, które przewidzieć można, a które cnotliwe i bezinteresowne serca w rozpacz o przyszłym losie Ojczyzny wprowadzają. Cóż za przyczyna do korpusu tak szczupłego wojska, jak jest litewskie, tylu natworzyć generałów od siebie oddzielnych, jeden drugiemu nie podległych...”

Dał do przeczytania tę „ekspedycję” Deputacji Tajnej Granowskiemu.

Adiutant pokiwał żałośnie głową.

— Nieumiejętność, brak energii, ambicje... Ot, co! — machnął ręką.

— Nie, nie — zaprzeczył gorąco generał — nie ambicje to jeno i nie sama nieumiejętność. Nie nieumiejętność, ale prosta zdrada — dodał twardo.

I jeszcze dwakroć powtórzył:

— Zdrada. Zdrada.

Granowski ciężko opuścił głowę.

— Posłuchaj jeno! — ciągnął Jasiński. — Insurekcja nasza rewolucję społeczeńską w zanadrzu chowa. Lud, dotąd ponad miarę uciskany, panów swych z duszy nienawidzący, jeśliby go w broń opatrzyć, nieprzyjaciela kraju łącno z granic wymiecie i Ojczyźnie wolność przyniesie, ale... ale i dla siebie jej wnet zażąda. Ot, w czym rzecz! Oto, czego się szlachta gruntowa i panowie lekają, przed czym i co zasobniejsze mieszczaństwo się trwoży!...

Stąd umiarkowanie — czerwieniał z gniewu — stąd i to, co waćpan brakiem energii zowie... Stąd kunktatorstwo, stąd miękkość i one względy, stąd rejterada jako jedyny systemat zbawienia w wojskowości!...

Podniósł się z krzesła i jął tam i z powrotem gwałtownie przechadzać się po kwaterze.

— Mówią, że akt nasz wileński cały obłądny, że zgubnym odstrychnieniem jest od powszechnego narodu poruszenia przeciw ojczyzny grabieżcom. Sam Najwyższy Naczelnik Radzie Litewskiej nie ufa, ludzi związkami podejrzanych w Litwie widzi!...

Adiutant z coraz to żywszym podnieceniem

spoglądał na rozdrażnionego jenerała, ten zaś, aż dygocący widocznie od wzburzenia, rąbał bezlitosną prawdę oszołomionemu sekretarzowi koronemu:

— Ślepy nie widzi, kto rzeczywiście ojczyznę gubi, komu ona utratę mocy i pohańbienie swoje winna!... Nie podoba się Rada i akt wileński nie dlatego, że rząd osobny stanowią, ale dla tych czterech słów w akcie: „Idźmy za przykładem Francuzów!...” Ot, co!... Tego się panowie szlachta, arystokraci i mieszczenie grubszy, co na indygenat, na klejnotu szlacheckiego kupno czekają, bracia-posesjonaci, przelekli... Ludu powszechnego obruszenia, jako to już gdzie indziej było, boją się, majętności utraty boją się, dzia-dowskich sakiew albo i konopnego sznura się przelekli...

Zaśmiał się.

— Zanotuj to sobie waszmość w pamięci — podszedł do Granowskiego — zanotuj sobie dobrze: Jest zmowa despotów na świecie!... I prze-frymarczą panowie Rzeczypospolitej suwerenność, jeśli ich za gardziele nie ujmiesz... Za zachowanie włości przekupczą!...

Opadł ciężko na fotel pod ścianą, znużony. Grube krople potu gęsto zrosiły mu czoło.

— Ja jestem na zdrowiu zupełnie zniszczony. Głuchnę i nogi drżą pode mną... — dorzucił spokojniej.

Granowski z wyrazem szczerej troski w dobrych, przyjaznych oczach popatrzył na generała: rzeczywiście, blady był i zmizerowany. Nieprzespane noce, uciążliwe pochody, nawał robót, a zwłaszcza zgryzoty, które go w ostatnich dniach coraz to częściej obsiadały, przygniotły Jasińskiego. Oczy mu zapadły w głąb, żarząc się niezdrowym, niepokojącym blaskiem.

— Wiem ci ja — zaczął z jakowymś niby żalem, z melancholią w głosie, jak gdyby odgadując współczującą myśl Granowskiego — wiem ci ja, że mi Kociell pułkownik u Najwyższego Naczelnika buty szyje, i nie tylko on! Że wielu z tych, co jeszcze sześć tygodni temu byli mi życzliwi, odwrócili się...

Granowski próbował protestować. Jasiński, klepiąc go przyjaźnie po ramieniu, przerwał:

— Daj waćpan pokój!... Jaśniewielmożność w obozie Naczelnika spiskuje — zgrzytnął twarde — intrygami mnie oplata. Wiem to, wiem... Nie chcę już dłużej komendy.

Zamilkli teraz obaj.

Od niedalekich łąnów żytnich, od pól gryki, so-

snowych zagajów i świeżych sianokosów płynął przez otwarte na oścież okna słodki zapach późnej litewskiej wiosny — zdrowy, krzepiący. W ogrodzie za domem, w trawie pod krzewami berberysu, muzykowały koniki polne odgrywając swój codzienny przedwieczorny koncert. Gdzieś od pobliskich stawów basował im głęboki rechot żab.

Na przekór bolesnym ludzkim sprawom dokoła w naturze panował wielki spokój, nic nie zakłócało odwiecznej harmonii, nie jątrzyło młodych serc.

Granowski wstał i zabierał się do wyjścia.

— Zostań, zjemy coś razem — zapraszał Jasiński — pogwarzyśmy o czym innym... Nie do snu mi dzisiaj!...

Jeszcze nie skończył, gdy na podjeździe ostro zaturkotały koła. Granowski wyrzwał przez okno.

— Ogiński!...

Jasiński drgnął niespokojnie i zaraz ruszyli obaj, jenerał i adiutant, jednako pełni obawy, do drzwi.

Złe przeczucie nie zawiodło, niestety.

Przybyli wkrótce gromadką na kwaterę jenerała oficerowie jego sztabu w zafrasowanym skupieniu wysłuchali niewesołej relacji kolegi...

— Straciłem w tej rozprawie — kończył mel-

dunek Ogiński — wszystkie bagaże zabrane w Iwieńcu, kasę moją, wynoszącą 7000 dukatów w złocie, wiele kosztownych należących do mnie przedmiotów i wszystkie moje papiery. Dwunastu ludzi z kawalerii, około dwudziestu ochotników, dwudziestu pięciu strzelców i wszystkich ludzi z mej służby zabito...

Jasiński słuchał bacznie, w milczeniu, o nic nie pytając, i tylko ukośnym wejrzeniem nie ustawał świdrować niefortunnego dowódcę.

— Mielśmy — ciągnął tamten, raz po raz urywając, jakby mu oddechu brakło — wiele trudności w znalezieniu drogi poprzecznej, która by nas poprowadziła ku stanowisku naszej armii. Trzeba było przedzierać się przez lasy, w dodatku most zepsuty na Berezynie przez osiem godzin pochód zatrzymał... W rejteradzie z Wiszniewa dopadł nas pułk generała Zubowa, do tego znaczny oddział Kozaków i blisko trzy tysiące ludzi z korpusu Knorringa. Dwustu konnych, com ich miał, gdy ich zaatakowano, popłoch między strzelców wnieśli, którzy zaraz w rozsypkę poszli... Czterech oficerów mi wzięto, w tej liczbie kapitana Suchodolskiego, nadto jedną armatkę, no i łupy... Wymknąwszy się zaczepce korpusu Knorringa, byliśmy niepokojeni kilka godzin przez silne patrole kor-

pusu Cycjanowa. Na koniec po zapadnięciu nocy udało nam się połączyć z awangardą naszej armii w Krewie...

Skończył.

Cisza zapadła przygnębiająca. Jeden tylko podpułkownik Grabowski próbował się odezwać, życzliwie, po przyjacielsku wyrzucając Ogińskiemu zbytnią śmiałość poczynań... Nikt poza nim nie zabierał głosu.

W półuchylonych, niskich drzwiach izby stanął bez słowa Maciej, sługa jenerała, wyprostowany, poważny.

Jasiński, chmurny, z przygasłym spojrzeniem i obwisłymi ciężko ramionami, nieruchomo dotąd przywarty do krzesła, dźwignął się jak gdyby z trudem. Wstał.

— Pozwólcie waszmość panowie do sąsiedniej komnaty! — głosem suchym, bezbarwnym zapraszał zebranych oficerów. — Będziemy radzić...

Tej nocy też nie spał.

BYŁEŚ WINNY, ŻEŚ ORYGINALNY

Siedział, piękny i posępny.

Bębnił palcami — tram, ta, ta, tam!... tram, ta, ta, tam!... — po desce prostego sosnowego stołu pokrytego stosami szpargałów, zatrzymując z pozoru puste spojrzenie na rozpostartym pośrodku piśmie Najwyższego Naczelnika... Pobok, zwinęty w rulon, poniewierał się patent z nominacją na generała-lejtenanta...

O! jak mi ciężko wspomnieć podobne koleje — błąkały się, niby rozpierzchnione po łąkach stada, niesforne myśli.

Miesiąc srebrny, duży stał w oknie. Jak kiedyś, kiedyś.

Oj, posedłem ja do miasta,
przywoziłem ci spódnickę...

— zagrało skądś w uszach. Uśmiechnął się gorzko, melancholijnie, ze szczyptą wzdorliwego pobłażania dla własnego rozjątżenia.

Kujawy!...

Hm! Siostry?... Nade wszystko młodsza, Anna. Jakież ona miała oczy! Ach! jakie oczy!... I Maria. Teraz za wojewodziecem sieradzkim. Phi! phi!... — jenerałowa, szambelanowa! Anna — za Michałem, Dąbska grafini! Pani na Kościelcu i Lubrańcu. Gdzież nam do nich?! Bracia — wszystko w służbie. Siostry — teraz pod Prusakiem...

Tam, ta, ta, tam, tramtam, tam!... tam, ta, ta, tam, tramtam, tam!... — coraz to twardziej, coraz to zawzięciej.

Potem była Szkoła Rycerska — korpus kadetów:

— Czy wiesz waćpan, jakiego zgromadzenia będziesz miał honor być członkiem?

— Wiem, że to zgromadzenie jest ojczyzny kosztem utrzymywane na to, żeby w nim hodować obywatelów zdatnych do jej usług.

— Przez co będziesz się waćpan starał stać się godnym zaszczytu być ojczyzny wychowawcą?

— Przez aplikację w nabywaniu wiadomości, które bym mógł na jej usługi poświęcić, i wrażając sobie ustawicznie w umysł, że krwią, życiem i wszelkimi siłami służyć jej powinienem.

— Czy czujesz waćpan prawdziwą ochotę i czy szczerze masz przedsięwzięcie wypełnić te wszy-

stkie kondycje, pod którymi jesteś do tego zacnego zgromadzenia przypuszczonym?

— Mam...

Potem mundur nowicjusza: suknia granatowa bez wyłogów i kołnierza pąsowego, kamizelka i spodnie białe, złote guziki. Mundur drugi — krótki, czerwony, z kołnierzykiem białym...

Boże, jakież to ucieszne, jakie ucieszne!...

Hm! Potem?... Potem: przypasuję waszmość pana do tego oręża... Książe Adam, komendant. Wicekomendant Moszyński Fryderyk Józef, Radoński, Jerowski, Wodziński, John Lind, Maisonneuve, Frankowski, ksiądz Jakub Dziewanowski, dyrektor duchowny, Ciszewski, de la Lande, Gottschalck, Nikuta, Dubois, Konderski, Pfleiderer... plątały się nazwiska przełożonych, brygadierów, podbrygadierów, profesorów. No, i Turski!... Wojciech Turski. Jakże!...

„Czas, aby panowie za karetę poszli, a lokaje do karet wsiedli“ — przypomniał sobie.

Tabela drugiej brygady z r. 1775: sprawowanie chwałebne, aplikacja dobra.

Eeech!...

Potem było już nie całkiem tak... No! — przeciął, oderwał rękę od stołu, strzepnął palcami w powietrzu i zaśmiał się po urwiszowsku:

He! he!... Pfleiderer szelma!...

No, i abszyt. Taaak...

„Mam tu do oddania waszmość panu dymisję...”

Zwinał się raptem jak przypieczony żelazem i końcami palców znów jął bębnić po rozpostartym przed sobą arkuszu:

Tram, ta, ta, tam, tam!... tram, ta, ta, tam, tam!...

„Mam tu do oddania waszmość panu dymisję od korpusu kadetów; pamiętaj waćpan o tym zawsze, żeś miał zaszczyt w nim się znajdować; zakąły mu żadnej nie czyni przez postęпки niegodziwe albo wątpliwe; czyni mu honor...”

„...Wyznaję i zaciągam na cały wiek życia obowiązek wdzięczności korpusowi kadetów za odebraną w nim edukację; przyrzekam, że ile sił moich, w każdym stanie, który bym mógł obrać... starać się będę pokazać godnym zaszczytu, który mi był pozwolony hodowania się w tym zgromadzeniu, przez pilność na moje postęпки w prywatnym i urzędowym życiu; i na jakimkolwiek duchownym, cywilnym czy żołnierskim urzędzie, choćby najwyższym...”

Podparł brodę złożonymi jedna na drugą rękami i kołysząc ramiona trząsł głową.

Potem... Potem — oficerem był w Szkole. Pod-

brygadier IV brygady. Wtedy to dla uciechy znów zajrzał do Tabeli brygady z 1774 r.:

„Szarża: Kadet. Jak stary: 11¹/₂ roku. Zrost: 4 stopy, 3 cale, 2 sztrychy. Nazwisko, religia: Jakub Jasiński, katolik. Skąd: Z Poznańskiego. Jak dawno w Korpusie: od 8 paźdz. 1773 r. Gdzie przedtem: Nie był w żadnej służbie. Jakie umie języki: polski, łaciński, niemiecki, francuski. Jak się sprawuje do służby pańskiej tudzież do nauk się aplikuje: Dobrze. Uwaga: Dostaje podług regulamentu J. K. M. należytość.“

Ha! ha! ha! ha!...

Rzucił stanowisko w korpusie kadetów... Cemu?

Warszawa!...

Młodego wieku miłe przypomnienie!
Pieszczoto, niebios najdroższy udziale!
O, jak mi czule sprawujesz wrażenie,
Ile kroć tobą bawić się ośmielę!
Inakszym ogniem dowcip był zajęty.
Inszy duch zmysłom poruszenie dawał,
Wtedy człek wesół jak ów grzesznik święty
Siedemkroć na dzień upadał, powstawał:
Już to niestety dziś nie te obrazy;
Chociaż się padnie, to nie siedem razy!

O, gdyby wtedy litościwe bogi
Chciały mi zesłać jaką czarownicę,
Co by mi dała poznać szczęścia drogi,
Gdzie prawa rozkosz, a gdzie jej granice...

W rozpylonym świetle srebrnej nocy jak żywa stanęła mu przed oczyma wiotka postać pani Tekli.

„Mam tu do oddania waszmość panu dymisję...”

Jasiński się otrząsnął... Porwał się z zydła i szerokim, gwałtownym ruchem rozwarłej dłoni odgarnął na bok natarczywy, złowieszczy papier. Siadł na nowo.

Jak różnić miłość od niebaczonej chęci,
Jak mniej używać, a więcej kosztować —
Ileż złych wspomnień zesłoby z pamięci,
Ile kroć mógłbym dziś sobie winszować!

. : : :

Boże, jeśliś co przed Tobą zasłużył,
Wróć mi lat dziesięć...

Taak!... W 79 otrzymał rangę gefrajtera — to już piętnaście!... W 83 był na sztamliście oficerów korpusu. W 84?...

Wróć mi lat dziesięć, wiem, jak bym ich użył!...

Jak to było?

— Aaaach! — przeciągnął się, aż zatrzeszczały guziki munduru.

No, nie!... Nie przeczy. Ale przecież także i pracował: uczył się, czytał niemało pisarzy — nowych i starożytnych, swoich i obcych, francuskich zwłaszcza, modnych; dziejopisów, filozofów i poetów. Gromadził też książki i naukowe

przybory, instrumenta wszelakie, mapy, plany. Sam pisał wiersze... Doznał już nawet, co to blade uśmiechy sławy!... Hm...

Czy warto?

Już odtąd, Muzy, nie wdam się z wami,
Niech będzie, kto chce, poetą;
Za papier, com go zbazgrał wierszami,
Już bym był jeździł karetką...

Była też guwernerka u Potockich: Piotr Potocki, starosta szczerzecki, gorący patriota, i pani Krystyna, jego małżonka, córka Joachima Potockiego, podczaszego litewskiego, rozgłośnego niegdyś barskiego konfederata, Jan i Feliks — wychowankowie...

Niechże im fortuna dobrotliwa łaskawie sprzyja za wszystko dobre doznane w ich pocziwym domu!...

U nich widywał niemało znamienitych naówczas postaci, w ich właśnie domu zdobył protekcję korpuśnego swego kolegi Kazimierza Nestora Sapiehy, który mu drzwi do warszawskich salonów otworzył; przyjacielskimi więzami złączył się aż poza zgon z Józefem Lipińskim, przez Lipińskiego poznał Ignacego i Stanisława Potockich, księdza Hugona Kołłątaja...

Czasy szły osobliwe, niepospolite. Po gospo-

dach, po kaffenhauzach stolicy już wrzało od gorących politycznych dyskursów — osobiwie u imci Dziarkowskiego i u Metki:

— Kto na sejmikach uczy obywatela zdrady, podstępów, podłości, gwałtu?

— Panowie.

— Kto niewinną szlachtę, najpocziwiej i najszczerzej ojczyźnie życzącą, oszukuje, przekupuje i rozpaja?

— Panowie.

— Kto od wieków sprawiał, że nieczynną była władza prawodawcza, rwał sejmy?

— Panowie.

— Kto sądowe magistratury zamienił w targowisko sprawiedliwości albo w plac pijaństwa, przekupstwa, przemocy?

— Panowie.

— Kto koronę przedawał?

— Panowie.

— Kto koronę kupował?

— Panowie.

— Kto przedawał Polaków?...

Tam to kłuła się owa śmiała myśl, którą potem Stanisław Staszic prosto wyraził: „Z samych panów zguba Polaków.“

Przypominał teraz karuzel z okazji uroczystego

festu dla uczczenia Jana III i ustawiony w Łazienkach posąg króla, ściągającego wodze dzianetowi, gdy ten Turka tratuje, i potem teatr na wodzie, i kantatę. Śpiewał rolę Korydona pasterza jakowys Kaczkowski, Amaryllę kreowała — Jasińska!... Nie znał, kto by była... Erofile, Agatyssy, Caphalidy, Parmenony, Elianny, rycerzów małżonki, pasterki...

Wszystko to — dla budzenia patriotycznych uniesień. Warszawa kipiała uciechą.

Na drugi dzień — przypominał dalej — czyjaś anonimowa ręka przylepiła do posągu takowy dystrych:

Sto tysięcy — karuzel? Ja bym dwakroćłożył,
Żeby Stanisław umarł, a Jan III ożył.

Ci i owi poszeptywali, że wierszyk jego był właśnie pióra. Nikt nie mógł wiedzieć, jak tam w rzeczy było, ale tak gadali...

Ech!... rozgadywano przecież w krąg, że i z wolnomularzami się znosi.

A jeżeli nawet był frankmasonem — to co?

Co wyznawało wolnomularstwo owoczesne?

Wolność od wszelkiego rodzaju przesądów i uprzedzeń. Miłość porządku i wolności. Ścisłe wypełnianie obowiązków. Wyrozumiałość i przychyłność dla wszystkich ludzi bez różnicy. Wolne

i swobodne używanie darów przyrodzenia bez nadwężenia szczęścia drugih. Uznawanie w każdym człowieku równej godności bez względu na religię, stan lub miejsce urodzenia. Godność i przystojność w postępowaniu. Zupełna i najwyższa w każdym czynie bezinteresowność...

Rozgadywano, że pismami odrodnych francuskich filozofów Woltera i Russa ekscytowany, nie tylko duchownych i klasztory, co było modą, jawnie wyszydza, ale i na samą wiarę świętą katolicką nastaje, z religii kpinkuje, że społeczne urzędnictwa wszelakie odwieczne ma za nic, że za „Pamiętnikiem Historyczno-Politycznym“ powtarza, iż prawa narodów są w ziemi zasiane, a tyrani mogą rośliny nogami tratować, nasienie jednak trwa w ziemi i puszcza znowu pędy na wiosnę.

Czasu sejmu pamiętnego usiłowaniami ojczyzny podźwignięcia czytał bez miary, rozpatrywał się w onych pismach i pisemkach, broszurach i księgach u Grölla i Dufoura, u Zawadzkiego, u OO. Pijarów, w Drukarni Wolnej Jana Potockiego, w Typografii Komisji Edukacji Narodowej tłoczonych.

Polak jestem, od przodków wolną wziąłem duszę,
Myślę, mówię i czynię, jak znam, nie jak muszę.

Niejednemu spośród naonczas co zapalczywszych umysłów wielce przypadają do smaku i do gustu te jego słowa i owa dewiza sławna *Vitam impendere vero!* Życie poświęcić dla prawdy!

W początku 89 roku wrócił do służby. Jechał w randze podpułkownika z kapitanem inżynierów Michałem Sokolnickim do Wilna dla uformowania tam Korpusu Inżynierów W. Ks. Litewskiego na wzór takiegoż z dawna już istniejącego w Warszawie. Jechał z niemałym ukontentowaniem, rad ze sposobności poznajomienia się z nowymi ludźmi, doznania nowych wrażeń — ustawnie głodny życia, a szczególnie w szczerej chęci służenia wszystkimi siłami i talentem pohańbionej ojczyźnie.

Miła postaci ojczyzny,
Jakżeś czułym sercom droga!
Dla ciebie rany ni blizny,
Ani śmierć sama nie sroga!..

— powracał jak echem ech odbity we własnym wierszu hymn Szkoły Rycerskiej, skomponowany przez ks. biskupa warmińskiego, Ignacego Kraświckiego: owo sławne „Święta miłości kochanej ojczyzny...”

Zmierzył sobie także puste, jałowe życie salonów stolicy, bawialnie dam, rauty, festy, pikniki, karuzele, bezwstyd płochego dworu, zniewieściałość

królewskich oficerów, na teatrum, po zabawach, redutach, hecach ustawnie poszukujących środków zdobycia i dźwigania pogrążonej w toni Rzeczypospolitej.

Szefem Korpusu Inżynierów Wielkiego Księstwa Litewskiego nominalnie był generał artylerii litewskiej, książę Kazimierz Sapieha. Ten dla nadmiaru innych zajęć, jako marszałek konfederacji na sejmie warszawskim czynny, mało bardzo mógł sprawom korpusu poświęcać uwagi. Właściwe naczelnictwo przypadło więc za protekcją tegoż Sapiehy Jasińskiemu i wraz z onym honorem — zatrudnień huk.

Mimo to wszystko i teraz bywał w Warszawie dość częstym gościem, a to dla stałego znoszenia się z patriotami skupionymi przy Kołłątajowi i obserwacji politycznych wypadków. Spory stronnictw, dysputy sejmowe, prace klubów, mowy i treść gazet z najżywszym śledził podnieceniem. Wulkan Kuźnicy Kołłątajowskiej — Franciszek Salezy Jezierski, Wincenty Szczurowski, Mirosławscy, Antoni Trębicki, Dmochowski, Dębowski, Maruszewski, Konopka — to byli teraz ludzie budzący w nim coraz to rosnący dla siebie interes: przyjaciele ludu.

„Tak tedy otworzył się nowy widok dla Europy

przez ten sejm francuski, który bardzo ważny będzie nie tylko dla samej Francji, ale też dla całej Europy, a to dla nowej formy rządu, nowego porządku i nowej potęgi, nowej influencji, którą od-tąd mieć będzie Francja w interesach Europy; naj-bardziej ważnym będzie ten sejm dla przykładu w różnych politycznych okolicznościach i rozrządzeniach, których zapewne inne kraje nie omiesz-kają naśladować“ — zgadzał się z „Pamiętni-kiem Historyczno-Polityczno-Ekonomicznym“.

Znał Deklarację Praw Człowieka i Obywatela. Czytał Kołłątaja *Prawo polityczne narodu polskie-go, czyli układ rządu Rzeczypospolitej*.

Sam był czynny. Po każdym powrocie ze sto-licy podejmował na nowo z wciąż rosnącą gwał-townością agitację wśród swego otoczenia na rzecz nowych pojęć społecznych i politycznych. Pro-pagował wśród kolegów, zwłaszcza młodszych ofi-cerów, i wśród zażywających w Wielkim Księ-stwie szacunku co wykształceńszych obywateli nowe teorie i hasła wyrastające z rozumnej woli stronników wielkiej reformy, patriotów pragną-cych dźwignąć z upadku walącą się Rzeczpospo-litą.

Nowe, rewolucyjne doktryny coraz to obfitszym strumieniem napływające wraz z potężnymi echa-

mi paryskich wydarzeń do stolicy Polski dawały mu do ręki środki do przekonania niezdecydowanych.

Nie zaniedbywał też i Muz: składał poważne poemata i żartobliwe, satyryczne, a nieraz i całę nieprzystojne wierszyki — ot tak, uciesze gwoli!... Lubił też poświęcać czas na samotne spacer, godzinami ponoć przesiadywał na dumaniach w prastarych rozwalinach Antokolu, które ulubioną były niemal jego codzienną przechadzką...

Więc i co?

Ustawę majową, przyjmowaną przez jednych wśród entuzjastycznych wiwatów i nieustającego uniesienia, przez drugich zgrzytaniem zębów, powitał — ma prawo rzec — radośnie, ale i z powściągliwością. Nie spełniła jego wielkich nadziei.

Cóż dała konstytucja ludowi? Wyzwoliłaż go z haniebnego poddaństwa, z wiekowych ucisków? Uczyniłaż go, jakby trzeba było, narodem — dla ufundowania Rzeczypospolitej potęgi?

Lud jako i przedtem pozostawał bez praw — głodny, bosy, brudny i ciemny, jako i przed ustawą — w praktyce skazany na łaskę i niełaskę humorów dziedzica, na trud darmochoy na pańskim, na swawolę włóдаря, arendarza i w końcu na

cztery deski i płytki dół na piaszczystej grzędce za wsią, na wydmuchu...

Tyle że wpisywali się teraz do ksiąg miejskich wileńskich i marszałek litewski, jenerał artylerii Sapieha, wraz z posłami, i urzędnicy wojewódzcy, komisarze cywilno-wojskowi tudzież oficerowie Korpusów Artylerii i Inżynierii.

Mogli teraz już bez ujmy dla piastowanych godności podskarbiach, łowczych, podczaszych, starostów, podkomorzych, marszałków, sekretarzy, oboźnych, wojskich — śmiesznych i anachronicznych najczęściej tytułów — i bez pohańbienia szlacheckiego klejnotu tykać się łokcia i wagi, imać się przemysłów, fundować manufaktury i fabryki porcelany, znajdując w tym nowe źródła pomnażania swych fortun...

Tak czy owak, był to milowy krok naprzód po gościńcu wiodącym do zrównania stanów, którego domagał się obóz reformy w Polsce, postępowanie na drodze do utwierdzenia praw człowieka, ukazanej przez Sieyèsa w broszurze *Co to jest stan trzeci?*

Wpisał się więc do ksiąg miejskich na wileńskim ratuszu i jakubin podpułkownik Korpusu Inżynierów Wielkiego Księstwa Litewskiego Jakub Jasiński — z ochotą, manifestacyjnie.

Potem zaraz delegowała go Komisja Skarbowa

Litewska, przydając mu do towarzystwa kapitana artylerii Szymona Górskiego, do obserwacji i doskonałego poznania budowy kanału łączącego Muchawiec z Piną.

Teraz przypominał sobie, jak nad onym kanałem któregoś dnia o słońca zachodzie, kiedy od mnogości komarów w izbie wysiedzieć nie było można, wyszedł przed dom i stanął u ogniska, które włościanie przy tutejszych robotach zatrudnieni rozłożyli dla chłódów wieczornych i natręctwa owadów. Wdał się w rozmowę. O, jak dobrze spamiętał, co mu jeden starszy naonczas rzekł:

— Jak bywamy w kościele napiwszy się z organistą, to nam zawsze czyta, że po całym świecie teraz wolność nastała, że człowiek człowiekowi równy, że chłop, szlachcic, mieszczanin wszyscy żyją za pan brat, że gdzieś daleko, nie pamiętam, powiedział, że już samego króla nie słuchają i bunt podnieśli...

A może to u Jezierskiego Jacka czytałem? — przeleciało błyskiem przez głowę.

„...nędzne życie pół roku plewami, a pół roku głodem utrzymujemy; nie mieszkamy, tylko w okopciałych budach, nie odziewamy się, tylko łatami, nie wyżebrzemy, tylko od lichwy zasiewu,

nie orzemy, tylko słabym bez dobrego karmu sprzężajem, nie zbieramy, tylko po dniach na pańskim, na naszym ukradkiem i z ról od nawozów wyplenionych; nie młócimy, tylko na opłatę lichwiarzom, na zdzierstwo dworom... Nie masz dla nas ojczyzny, bo nie mamy własności lub w ustawicznych pracach..."

Nocna godzina mieszała galopujące myśli.

— Nie, nie!... dobrze pamiętał, że on włościanin kubek w kubek coś podobnego nad owym rzek rozlewiskiem u ognia prawił. I księżyc był taki sam ogromny jak dzisiaj... Tylko czucia nie tak rozjątrzone.

Co potem?... Co potem?...

Potem — pamięta — w styczniu 1792 r. był w stolicy. Brał na zamku z własnych jego królewskiej mości rąk — jeszcze dzisiaj widzi te ręce, białe, delikatne, jak kobiece — patent na pułkownikostwo w Korpusie Inżynierów W. Ks. Litewskiego. Potem — nie ma co wspominać... Następnego dnia jechał na konsystencję do Wilna.

Potem była Targowica.

Tram, ta, ta, tam, tam!... tram, tam, tam! — zabębnił po stole.

Spisek szelm, intrygi, knowania, konwentykle, sekretne zjazdy, znoszenia się z dworami, z am-

basadorami potencji, z Bułhakowem, z Potiemkinem, z imperatorową — i wyknuli:

„Nieprzywykli do kajdan, które konstytucja 3 maja na nas włożyła, a równo niewolę kładnąc ze śmiercią, protestujemy, konfederujemy się...”

Szczesny Potocki, Fr. Ksawery Branicki, Seweryn Rzewuski, Antoni Czetwertyński, Jerzy Wielhorski, Adam Moszczeński, Złotnicki, Zagórski, Suchorzewski — hetmani, kasztelanowie, chorążowie... powstałi bronić złotej wolności uciśkania narodu, uciekając się z ufnością do wielkiej Katarzyny i jej wojsk. Przeciw narodowi.

„Mój kochany Szczesny! — pisał cynik Potocki do syna, jak i on Szczesnogo. — Bardzo kontent jestem, że tak myślisz, tak czujesz dla Rzeczypospolitej naszej szlacheckiej, jak twój ojciec, jak dziadowie i naddziadowie myśleli. Republikanom, którzy Rzeczpospolitą zachować pragną, i wady nawet rządowe, a tym bardziej prawa kardynalne, na których budowa Rzeczypospolitej stoi, szanować i czcić należy. Moda do prawodawstwa nie służy. Nie nie szkodzi krajowi, gdy z Paryża przyjdzie nowy krój szat, nowy sposób trefienia włosów, bo ta odmiana krawców i perukaczów się tyczy, ale aby wzruszyć rządowe krajów zasady, dla-

tego że sawant francuski bez doświadczenia (jakiego więcej w urzędowych sprawach mieć trzeba niż w innych na świecie rzeczach) metafizyczne państwo urządza i ich odwieczne znosi prawa i zwyczaje, byłoby szaleństwem, byłoby nawet zbrodnią...”

Rozrzucano ów list generała artylerii w tysiącnych kopiach między szlachtą, braćmi-posesjonatami, straszono ją widmem anarchii, wzywano do obrony zagrożonych swobód...

Poszedł bronić zagrożonej wolności i pułkownik inżynierów Jakub Jasiński — stanął twardo w obronie majowej ustawy przeciw szelmom, zdrajcom, gnębiicielom ludu, jurgielnikom carcy, sprzedawczykom ojczyzny.

Wspominał teraz owe kokardy na balu przez municypalność miasta Wilna w rocznicę uchwalenia konstytucji wyprawianym — i on napis na białych wstęgach: „Albo szyja, albo Konstytucja!”

Szedł dawać szyję za Konstytucję.

Bił się pod Mirem, w Brześciu, łącząc znajomość sztuki z odwagą i pilnością; „równie w tym razie jak zawsze przez dyspozycje swoje do woj-ska naszego z pomocą jak dla siebie z honorem był czynnym.” Służył świętej sprawie miłości oj-

czyzny, jak kiedyś ślubował — krwią, potem, wszystkimi siłami, umiejętnościami, talentem.

„Wtenczas to nasi żołnierze — pisał Józef Sułkowski — dali dowody tej nieczym nie ustrażonej odwagi, jaka znamionować ich zwykła w każdym zdarzeniu, w którym dowódcy umieją utrzymać ich w karbach powinności; wytrzymali oni przez ciąg trzech kwadransy cały ogień artylerii nieprzyjacielskiej bez możności odpierania ich swymi strzałami, gdyż nasze trzyfuntowe kule nie sięgały połowy nawet drogi, a nasi waleczni żołnierze patrzyli spokojnym okiem, jak osiemset przeszło ich towarzyszy ginęło w szeregach, nie myśląc ani chwili o podaniu tyłu nieprzyjacielowi ani nawet o obróceniu się poza siebie...”

Tak było w rozprawie pod wsią Załuże, o milę od Mira. Tak bywało i gdzie indziej — pod Zelwą, pod Grannem, w Brześciu. Ci żołnierze — to żołnierze regimentów piechoty, włościanie.

Gorzej w korpusach kawalerii narodowej — tu z największym zgorszeniem okazał się właściwy szlachcie duch niesubordynacji. Nie dość, że strojne szwadrony po większej części pierzchały z placu, ale też w ucieczce swojej przez fałszywe o klęsce naszej relacje wielkie wrażenie postrachu w obywatelach czyniły.

Wodzowie — Kostka Potocki, Sulistrowski, Chlewiński, Zabiello czy nawet osobiście waleczni Bielak i Judycki potracili głowy.

Wojska imperatorowej stanęły pod Warszawą. Król, co niedawno na teatrze zasłyszawszy ze sceny słowa aktora kreującego rolę Jana Kazimierza: „W potrzebie stanę na czele narodu mego“, wołał z łoża: „Stanę i wystawię się“, teraz, zapominając, że na konstytucję przysięgał, zgłosił akces do generalnej konfederacji w Targowicy uczynionej — wraz z całym wojskiem. Tymczasem wojsko tam i sam wołało przez usta swoich nie wyzbytych nieraz honoru dowódców: „Damy się wyróżnać, ale broni nie złożymy, zginiem z głodu!“ — I często ani słyszeć nie chciało o zawartym już zawieszeniu działań.

Zabiello generał, przeciwiając się teraz królowi, wzywał dostrzegłszy nastroje armii:

„Ratuj ją, najjaśniejszy panie, od wstydu i hańby!“

Na darmo. Zbrakło żelaznej pięści, która by uderzyła w tchórzów i zdrajców, zamajaczyła im przed oczyma paryskim widmem szubienicy.

Waliła się budowla starej Rzeczypospolitej. Wyciągały się zewsząd chciwe, drapieżne pazury po

gotowy łup. Podstępny król pruski zabierał się już sięgać po Gdańsk i Toruń...

Ci, co wczoraj jeszcze zapewniali o swoim gorącym patriotyzmie i bezwzględnym oddaniu sprawie majowej ustawy, tłumnie dzisiaj zgłaszali akcesu do zradzieckiej konfederacji, ufnie składając swe losy w ręce wielkodusznej imperatorowej. Najsrożej skompromitowani patriotyzmem działacze sejmu czteroletniego, wrogowie targowicz, twórcy konstytucji — Kołłątaj, Małachowski, Potocey Ignacy i Stanisław, oglądali się za ucieczką z kraju... Exulanci!...

W Litwie triumfowali Kossakowscy.

Jasiński w końcu lipca, zniechęcony, nie mogąc ścierpieć nieporządku, który widział, odłączył się, zdał komendę Sokolnickiemu i jechał żywo do stolicy, gdzie trzydziestego pierwszego złożył szefowi kancelarii wojskowej, generał-lejtenantowi Gorzeńskiemu, tej treści notę:

„Gdy przez ogłoszone armistycjum w wojsku naszym, oficerowie Korpusu Inżynierów przestają być czynnymi przy swoich kolumnach, upraszam JWPana Dobrodzieja, żeby mi było wolno przywołać ich wszystkich tu, do Warszawy, tak dla pomiarkowania szkód przez wojnę poniesio-

nych jak dla opatrzenia i przysposobienia każdego do dalszej służby.“

Doszły go tu jeszcze i na moment podnieciły jakoweś słuchy o próbach zrewoltowania przez Sułkowskiego podkomendnych Szymona Zabiełły, o projektach *coup de main* decydującego o losie ojczyzny... A potem szły tylko wieści o gremialnym składaniu podań o dymisję — żeby nie widzieć własnego poniżenia.

Pułkownik inżynierów, odznaczony za kampanię złotym krzyżem orderu *virtuti militari*, polityczny uczeń Kołłątaja — Jakub Jasiński nie uszedł za swoim mistrzem za granicę, nie prosił o abszyt z wojska...

Teraz dopiero:

„Mam tu do oddania waćpanu dymisję...”

I zaraz potem: tram, ta, ta, ta, ta, tam, tam, tam!... tram, ta, ta, ta, ta, tam, tam, tam!...

Czemu naonczas nie ujął się ambicją? Czemu się nie uląkł, kiedy po haniebnym sukcesie Szczęsnych, Kossakowskich, Branickich, nie zwlekając, jęto się z całą zaciekłością ścigać i tępić jakubinów?

Nie. Poszedł w służbę hetmana Szymona Kossakowskiego, oddał się pod rozkazy komenderu-

jącego wojskiem litewskim z łaski generalnej konfederacji jenerała Józefa Zabielly.

Czemu?...

O, jak mi ciężko wspomnieć podobne koleje,
Gdy sam szedłem przez troski, bojaźni, nadzieje...

Księżyc dawno usunął się zza okna — i mrok
w izbie, nie rozsrebrzany już więcej, zgęstniał.

...Bóg jeden policzy,
Niem doznał zmartwienia, nieszczęść i goryczy!
Wszystkie niewinne czyny, przysługi, życzenia,
Cnoty nawet opaczne miały tłumaczenia.
Aż po różnych kolejach trudów i zgryzoty
Wszystko razem rzuciłem oprócz jednej cnoty...

Drzwi do izby leciutko skrzypnęły. I jenerał
ocknął się nagle, przerywając długi rachunek życia. Obrócił się, skąd doleciało go owe skrzypienie, i poprzez ciemności dojrzał w półuchylonych podwojach zwichrzoną czuprynę Macieja, lśniące jak u kota źrenice i dobrotliwy uśmiech życzliwości rozlany na licach chłopaka. Ostatniego może i nawet nie dostrzegł, tylko się go domyślił.

— Idź już spać! — miękko, z jakowąś ciepłą, kujawską nutą w głosie, rzekł do chłopca. — Nie wywczasujesz się przecie!

Drzwi się z powrotem zamknęły — cicho, bez najmniejszego nawet szelestu...

O świcie, w szarym jeszcze świetle wstającego dnia, Jasiński pisał list do Kościuszki:

„Generale Naczelniku! Wtenczas, kiedy znużony tysiącznymi przykrościami, a najbardziej smutnym widokiem przyszłości (który odwrócić już mi moc zatamowana), o abszyt do Ciebie pisałem, wszystko mi pochlebiało nadzieją, że mi go przyslesz z tą zaletą, której sądziłem mieć prawo pretendowania. Inaczej się Tobie zdało i wolałeś mnie umartwić poddając pod komendę kogo innego. Jest to dla mnie cios smutny, ale nie jest nic, czego bym się nie spodziewał — kapeluszu Twemu podległy będę, ale niech Twój kapelusz zrobi szczęście mego kraju; lecz i Ty chciej zrobić podobną ofiarę miłości własnej, a słuchaj prawdy, którą Ci powiem. Zdrada tak jest koło Ciebie jak zazdrość i intryga przeciw mnie. Ciebie sława Twoja od drobnych intryg zasłania, a ja muszę cierpieć, bom zrobił dwa wielkie kryminały. Najprzód, że nie będąc z rodu książęciem ufność kraju całego zyskać ważyłem się. Po wtóre, żem pierwszy pokazał, iż wielkiego szelmę równie jak małego złodzieja powiesić można. Pod komendę P. Wielhorskiego pójde i poszedłbym pod trębacza, kiedy to jest z wolą Twoją, ale słuchaj, co ci powiem, to jest prawda rzetelna:

1-mo. Udano przed Tobą, że Rada Litewska wszystko źle robi, bo Rada Litewska poczęła coraz bardziej być słuchaną i czynną, trzeba ją było obalić, inaczej zamach na Litwę byłby próżny. To zrobiłeś i doniosłem Ci, co za tym poszło. 2-do. Powiedzieli, że generałowie litewscy z sobą się nie zgadzają, że jest między nimi Duch partii, ambicja, etc. Że to wszystko jest, to pewna, ale obacz, skąd to pochodzi? Powiedziałeś nam znosić się z sobą, słowo w wojskowości wyklęte, które nas zgubiło. Gdybyś był powiedział jednemu: «rządź», a drugiemu: «słuchaj», «albo mi głowami odpowiecie za powodzenie wojny», nie byłoby intrygi, nie byłoby nieprzyjaciela w kraju. 3-tio. P. Wielhorski nie znajomy, nie świadom interesów ludzi, wojska, nie bywszy ani w początku, ani w ciągu rewolucji naszej, tym mniej będzie w stanie kończyć to, czego nie zaczynał, iż będzie miał sobie wrażenie, iż następuje na miejsce moje, który pomimo oczernienie przed Tobą zawsze zostanie w opinii niewinnym i zasłużonym. 4-to. Rewolucja Litewska jest Ci zapewne opisaną jako skutek zapału, gorliwości, i nic więcej, ale czas Ci pokaże, że jest długo medytowaną i prowadzoną porządnie. Na koniec cośkolwiek bądź, to pewna, że ci, co kraj zgubić pragną, wiedząc, że już na

czele obcego wojska wchodzić niebezpieczno, bo jest szubienica w kraju, usiłują Ciebie pobudzać do dysgustowania nas, nas wprowadzić w niecierpliwość, żebyśmy poszli precz z służby. Rząd ustawicznie odmieniać, żeby ufności wzajemnej nie było...

Jeżeli my miłości własnej teraz nie poświęcimy nawzajem, to wszyscy pewno zginiemy. Generale Naczelniku, nie gardź radą pocziwego człowieka, którego takim w czasie poznasz, a kiedy chcesz mieć pewność, że Litwa będzie bezpieczną i szczęśliwą, uczyn bez zwłoki to, co ci radzę:

1-mo. Komukolwiek oddasz komendę generalną, daj mu ją despotyczną, niech on Tobie głową i honorem odpowiada, ale drudzy niech mu odpowiadają. 2-do. O rządzie żadnym w rewolucji myśleć nie należy, będziemy układali porządne rozkłady władzów, jak nieprzyjaciela z granicy wypędzimy, teraz jedyny rząd powinien być wojskowy, a do zrobienia go porządnym powiedz jednemu z generałów, niech on bierze ogólną władzę siły krajowej; jej poruszenie, użycie, organizacją powierz jemu, niech wszelkie inne władze w Litwie będą jemu w pomocy, ale nie w uczestnictwie. Jemu w ogólnym terminie surowym ordynansem zaleć, iżby siła zbrojna użyta była bez uci-

sku i zniszczenia kraju, bez uszczerbku sprawiedliwości osobistej, bez nieładu; zdrowy rozum, poznanie stanu tutejszego rzeczy, a najbardziej cnota lepiej mu pokażą, co ma robić, niż rezolucje o sto mil przesyłane na przypadki od jednej godziny zawisłe — a u Ciebie niech będzie szubienica na niego. 3-tio. Ogrom taki interesów ciężki będzie do objęcia jednemu człowiekowi, rozkaż mu, aby od siebie wyznaczył drugiego pomocnika, który odpowiadając jemu za wszystko, dopilnuje:

1-mo, aby etat wojska stosowny do możliwości kraju i skarbu był ułożony; 2-do, wojsko to aby było wymusztrowane, odziane, dobrymi oficerami wypełnione, sprawiedliwość w awansach, która jedna podobno siłę wojskową stanowi, każdemu oddana; 3-tio. ten, co porządkuje, niech coraz nowej siły dodaje temu, co się bić będzie, skarb niech dostarcza pieniędzy, a tak pod jednym rządem gdy wszystko będzie, rządzący za wszystko będzie mógł odpowiedzieć, a Ty, Naczelniku, będziesz wnet wiedział, czego się z Litwy spodziewać. Przyszlij osoby, którym ufasz, żeby na kroki generała patrzyły, podług ich doniesienia pochwalisz albo powieszisz.

Żebyś Cię przekonał, że to, co piszę, nie jest bez fundamentu, oto posyłam Ci organizację dla

rzędu Litwy przysłaną z uwagami nad nią. Jeżeli je niesłusznymi znajdziesz, nazwij mnie złośliwym potwarcą i ukarz, lecz jeżeli są słuszne, zobaczysz, że ktoś tu jest w rządzie naszym albo nieświadomy, albo zdrajca. Ja już abszeytu nie żądam, aby kto nie powiedział, że przez urazę odchodzę, bo mi komendę n. [najwyższą] odebrano, będę i doboszem, kiedy każesz, tylko mi pozwól, żeby Ci pisał, co widzę i czuję, niech Ci się nie zdaje zapaloną głową; czternaście miesięcy milczałem i robiłem, żeby zasłużyć sobie na Twoje dobre świadectwo...”

Skończył.

— To byłoby już wszystko!...

Pozostały jeszcze tylko, jak zwyczajnie, słowa o szacunku i oddaniu i podpis.

Odłożył na bok pióro i rozpatrywał się wśród pieczęci na stole. Wybrał jedną, małą — i odcisnął na piśmie. W kręgu koła wytłoczonego na papierze listu czerniły się słowa: *Ma Patrie et mes amis.*

STATYSTA

Ksiądz minister przyjął sławnego generała w bibliotece.

Cisza tu panowała jak w klasztorze. Zza szczelnie zawartych okien od rynku żaden nie dobiegał odgłos, a każde słowo wypowiedziane w komnacie zdawało się zaraz wsiąkać w rozciągnięty na dębowej posadzce wzorzysty bucharski dywan. Złocąca się polskimi, niemieckimi, francuskimi, angielskimi tytułami na skórzanych grzbietach ciżba książek, stłoczonych wokoło po półkach i w szafach, tłumila do reszty każdą zuchwałą próbę podniesienia głosu.

Kołataj siedział w głębokim fotelu, lekko odchylony do tyłu, z na pół opuszczonymi powiekami. Na nogach miał miękkie domowe pantofle z granatowego safianu. Cierpiał na podagrę.

Rozmawiali od piętnastu minut.

Przez cały ten czas Jasiński kuśił się o wydobycie z wciąż niemal że milczącego księdza

coś więcej nad monosylaby, półsłówka lub co najwyżej grzecznościowe frazesy, bezskutecznie próbował rozżarzonymi żrenicami przebić zasłonę do połowy opuszczonych powiek członka Rady Najwyższej Narodowej. Na próżno.

Mogło się wydawać, że nic nie jest w mocy poruszyć znamienitego męża stanu.

Jenerał mówił teraz głosem coraz to bardziej wzburzonym, na przemian syconym płomieniami i goryczą, rzucił z ciemnych oczu błyskawice tam i sam po ścianach komnaty, ślizgał się palącymi wejrzeniami po uwieszonych nad szafami bibliotecznymi płótnach Canaletta, francuskich i angielskich kopersztychach, coraz przenosząc wejrzenie na słuchającego Kołłątaja.

Wracał uporczywie myślami do warszawskich wydarzeń z 8 maja i 27-28 czerwca, do wielkiego rewolucyjnego poruszenia plebsu.

Widmo szubienicy — jak przed dwoma tygodniami — zakołysało się za oknem biblioteki księdza radcy. Kołłątaj drgnął w fotelu — niewidocznie dla obserwatora.

— Jam nie zagrzewał do tego — mruknął pod nosem.

Jasiński zamilkł.

Siedzieli teraz naprzeciw siebie — każdy jakby

pograżony we własnych myślach: Kołłataj jak dotąd nieporuszony, jeszcze głębiej, zdawało się, zapadnięty między poduszki fotela, generał — chmurny, osowiały, wciąż jednak zapalczywie wodzący wzrokiem po sprzętach komnaty.

Przerwał milczenie z obowiązku gospodarza ksiądz radca.

— Bądź waść tak dobry!... — zwrócił się do gościa wskazując zarazem zapraszającym gestem kryształową paterę pełną krwistych wiśni na założonym obok papierami, rozległym mahoniowym stole.

— Przekonałem się, że Litwa serio odmiany twojej żądała, że Naczelnik, dogadzając życzeniom prowincji, musiał tam dać komendanta ze swego ramienia... — zaczął chłodno Kołłataj, kiedy niespokojny wzrok Jasińskiego zatrzymał się na chwilę na bogatym czeskim kryształe siejącym błyskami wspaniałego szlif w świetle rozpiętego nad nim jak pajak świecznika.

W tej samej chwili skrzypnęły przeciwległe drzwi, wiodące do sąsiedniej izby, i w progu stanął sekretarz księdza ministra. Szedł z listami do podpisu.

Wizyta była skończona.

Generał podniósł się z krzesła i brał się do odej-

ścia, nader uprzejmie, ze szczególną nawet serdecznością żegnany przez dostojnego gospodarza.

„Statysta!...“ — z rozgoryczeniem zaraz za drzwiami pomyślał Jasiński schodząc po krętych schodach domostwa. Dopiero migocący żółtymi światłkami okien staromiejski rynek ujął jakby generałowi brzemienia, z którym opuścił gabinet członka Najwyższej Rady.

Wieczór był parny, ciężki.

Rzucił raz jeszcze wzrokiem na rozświetlone szyby okien kamienicy Kołłątajowskiej. Zdawało mu się, że za jedną z nich dostrzegł ogromny cień postaci księdza ministra.

Wyprostował się i ruszył w Wąski Dunaj. Szedł pytać o aresztowanych, Konopkę i księdza Meiera.

Tegoż samego dnia, 13 lipca, późną nocą pisał Kołłątaj do Kościuszki:

„Poznanie nasze zaczęło się od tego, że on żądał po mnie, abym Ci przedłożył, iż chce wyjść ze służby Rzeczypospolitej. Perswadowałem mu, aby tego nie robił, i jak widzę, jest tylko miłość własna tego człowieka obrażoną; bardzo to delikatnie brać należy i koniecznie tego człowieka, jak miarkuję, ugłaskać, użyć z honorem, bo byłby niebezpieczny, a jednak dał dowody zasługi praw-

dziwej. Pomiarkuj, co mu mam odpowiedzieć, jeżeli jutro będzie chciał mojej konfidencji.“

Po napisaniu listu ksiądz szedł spać, długo jednak nie udawało mu się zasnąć.

Od wielu, wielu miesięcy po raz pierwszy gryzło go w pościeli zaniepokojone sumienie.

TROSKI I NADZIEJE

Szlachcic pewien kazał obatożyć chłopą, który coś mu tam skradł. Wieśniak poszedł ze skargą do władzy rewolucyjnej. Nakazano szlachcica aresztować i odesłać do Lipawy. Tam wprawdzie, czyjaś protekcją osłonięty, umknął się nieprzyjemności, lecz bat, którym wieśniaka obito, został publicznie na rynku spalony przez kata. Bardzo to nie w smak poszło szlachcie kurlandzkiej...

— Hm!...

Dobrze już było pod wieczór i mrok powoli wlażył z kątów izby. Nie zapalali jednak światła gawędząc w szarości zmierzchającego dnia.

— Krzywdę jenerałowi wszelako zdziałano wielką. I nie tylko. Co ważniejsze się być zdaje, nie tylko jemu!...

Przytakiwali swoim myślom, kiwając głowami:

— Nie tylko, nie tylko jemu...

— Czego nie powiadano!... Nawet, że pod Solami z umysłu tak rzecz prowadził, by do rejte-

radę z pola przyszło, byle Wielhorskiego kometanta skompromitować w Litwie, choć to fałsz wierutny... Brat jego Józef, kapitan strzelców, wonczas na placu pozostał. Zakrywającego ręką krew z rany i kolegów do waleczności wzywającego nieludzko dobito. Wiem o tym, bo po przegranej, mniemając pewnie, iż ranionego jeńcem wzięto, do generała Knorringa uprzejmie pisał, o względy dla brata prosząc, jeżeliby był raniony z przodu i niewolnikiem został. Przeciwnie, jeżeli uciekającym wzięty był, nie nie chciał o nim wiedzieć... Taki to on!

— Tak! taak!... Dzisiaj już nie to, co było... W Woronowie — w kwaterze głównej, jakem był, sztabsoficjerowie nasi przy stole obfitym, gra w karty gruba, a żołnierz przymiera głodem, konie bez obroku... W Wilnie u Morykoniów ksiądz biskup, Tyzenhauz, Jelski, Wołłowicz, Grabowski, Ogiński przy faraonie...

— Ksiądz biskup Kossakowski powiada, iż słyszał, jak Ogiński po niefortunnej na Białoruś wyprawie ze śmiechem mówił: „Wszyscy przyjaciele moi ledwie temu wierzą, żebym ja mógł być żołnierzem, mnie samego to zadziwia, co jednak dowodzi tylko, że Polak do wszystkiego jest zdolny!“

Zanieśli się śmiechem gorzkim, skwaśniałym.

— Stan skarbu litewskiego też politowania godny! I nie dziw. Sapięha, zrazu w ofiarności dla ojczyzny hojny bez miary, wnet jął przez palce patrzeć, jak w jego włościach rządcy rekruta i furazu odmawiają. Inni to samo. Szlachta-posesjonaci, oszczędzając własnych majątków, zrzucają na włościan ciężar, aby ci nakazaną od Rady kwotę 100 złotych składali dla każdego rekruta z 25 dymów do liniowego wojska przeznaczanego...

— Obowiązywała przecież Rada, aby zwrócone były nieprawnie z włościan ściągnięte pobory!

— Ehe!... Wydrzyjże teraz, włościaninie, wilkowi z paszczy!... Jasińskiego zabrakło...

— Dopóki Jasiński na Litwie dowodził, dzielność jego ożywiała umysły... Stoczył wiele bitew, nie bardzo, prawda, pomyślnych, ale zawsze bez znacznej straty. Plany Jasińskiego zanadto może były śmiałe, ale utrzymywały Litwinów w gorliwym poruszeniu i całej publiczności słodkie wystawiały nadzieje. Wielhorski nic lepszego nad ustępowanie nieprzyjacielowi wymyślić nie mógł. Samo tylko wyobrażenie rejterady miał dobre. Patrioci litewscy żalili się mocno i gońca za gońcem

do Naczelnika wyprawiali z żądaniem, aby innego dał im wodza...

— I cóż?... Nim Mokronowski na Litwę przybył, już Wilno padło!

— Wiadome waści, jako tam potem było? Magistrat, izba kupiecka i obywatele miasta 14 sierpnia w tymże samym — pomnisz waćpan? — kościele Św. Jana złożyli przysięgę, jako o akcji w dniu 23 kwietnia roku terażniejszego nastalej nie wiedzieli, sprawcami i pomocnikami onej nie byli — słuchajże waćpan! — a do następnych czynności przez wojska zbuntowane przynagleni zostali... jako wojska najjaśniejszej imperatorowej imości zawsze szanowali, i teraz z przyzwolonym uszanowaniem być przyrzekli... jako wszelkich czynności przeciwnych wyrzekając się, pod protekcję i obronę najjaśniejszej imperatorowej imości pani najmiłościwszej przy prawach, swobodach i prerogatywach — słuchaj, słuchaj waść jeno! — od najjaśniejszych królów polskich i wielkich książąt litewskich oraz przez sejm grodzieński — szelmy, hultaje! — w roku 1793 nadanych i służących, oddając się, wiernymi zawsze będą... 1076 mieszczan i obywatelów z Gottfriedem Hahnem jako prezydującym stosowny dokument podpisało!

— Widać z tego dzisiaj jasno, iż nie dość konopnego sznura wachali panowie posesjonaci w Litwie!...

— A jakoż go mieli wachać, jeśli magistratury wszelkie, deputacje, komisje i sądy sami niczym robactwo obsiedli?

— Chlewińskiego ponoć sądzić mają?...

— Eee!.. Kruk krukowi oka nie wykole. I cóż mu uczynią, skoro ten, co prawo najwyższe w rękę swoim trzyma, Naczelnik, serce ma dla szlachty miękkie?... Szelmy, zdrajcy, jurgieltnicy imperatorowej spokojnie na wolności chodzą, wczorajsi targowickiej konfederacji socjusze po najwyższe urzędy sięgają, a Konopka i Dembowski w więzieniu!... Że paru łotrów z dawna na szubienicę przeznaczonych śmieli obwiesić?!

— Wiadome wszystkim to waćpanom, mnie-mam, co Najwyższy Naczelnik po onych czerwcowych wydarzeniach w stolicy ogłosił, kiedy Czetwertyńskiego księcia i księdza biskupa Massalskiego stracono: „To, co się stało na dniu wczorajszym w Warszawie, nappełniło serce moje gorzczą i smutkiem...”

— Było i nad czym się użalać! — zarechotał Chadźkiewicz.

— „Czemuż winowajcy ukarani bez wyroku sądu?“ — pytał Naczelnik w odezwie.

— Bo sąd nierychliwy na magnatów! — znów przerwał cytację zapalczywy Jasińskiego powiernik.

— Słuchaj waćpan jeno: „Czemu zgwałcona praw powaga i świętość?... I toż to jest czynem ludu, który podniósł oręż, ażeby sobie wolność porządną, panowanie prawa i szczęście, z nich tylko wypłynąć mogące, przywrócił? Obywatele! zastanówcie się, skryte i złośliwe duchy obłąkały was...“

— Tra, la, la, la, la!... Praw powaga i świętość! Dla onej to, sądzę, praw powagi i świętości Jasiński od naczelnej komendy w Litwie odsunięty... Skryty i złośliwy, francuski duch, o zrównanie stanów wojujący!... Ha! ha! ha!...

Parskał ustawnym śmiechem.

— Tak!.. tak!... — zaczął po dłuższej chwili, chmurniejąc. — Cóż wszelako będzie, jeśli Francja przegra?

— Nie przegra, nie! — zareplikował gorąco tamten. — Na straszną rzecz odważyli się despoci, bo na prowadzenie wojny z ludem. Jeżeli Francja przegra, despoci przytłumią zapal jednego tylko narodu. Idee prześladowane jeszcze bardziej się

będą rozkrzewiać w sercach ludzkich... Lecz jeśli przegrają z Francją, wszystek lud wygra i przezwane zostaną więzy całej Europy!

— Możemyż rachować dzisiaj na Francję?!... Rząd francuski nie udzieli ani szeląga, nie wyśle ani jednego żołnierza dla podtrzymania rewolucji, której celem byłoby utrzymanie arystokracji lub królewskości, która pod tytułem rewolucji byłaby tylko zmianą rządu, nie opartego na zasadach stanowiących podwalinę konstytucji iście republikańskiej... Nie odpowiedzieliż tak Barssowi, który od wielu tygodni próżno kołata u Komitecie Ocalenia Publicznego o wsparcie polskiej rewolucji? Nie ufają snadź narodowi naszemu.

— I nie bez racji, póki narodem w Rzeczpospolitej sto tysięcy szlachty jeno, póki w rewolucyjnej kadzi targowiczanie i stronnicy umiarkowanych fakkji mącą... Sam Najwyższy Naczelnik, choć republikaninem się mieni i szczerze ludowi sprzyja, wszelako nawet najmniejszego porównania insurekcji z poruszeniem paryskiego ludu jawnie się lęka... Nie ufają i ufać nie mogą. Waćpan to wiesz dobrze i pojmujesz. Wolność, całość i niepodległość jeno na pieczęciach insurekcji, a nam trzeba i równości się dobijać... Ot, w czym rzecz się zasadza!...

Umilkł i brał się do wyjścia. Było już zupełnie ciemno.

Chadźkiewicz zęgnął gościa zwracając się do sięgającego po przerzuconą przez poręcz opończę:

— Waćpan teraz już prosto do stolicy? Jakże się tam dostaniesz, skoro Warszawa przez Prusaków oblegana?

— Prawdać to, że pod miastem dwadzieścia pięć tysięcy żołnierza króla pruskiego stoi, że miasto pierścieniem takim osaczone, iż podług chępliwości pruskich oficerów i mysz się nie prześliźnie. Wszelako waszmość pan znasz, iż ja cale nie mysz. Jest sposób...

Wdziewał opończę powoli, jakby z długim rozmysłem, podnosząc wysoki kaptur i nasuwając go omal że na same oczy.

— Waszmość do jenerała wnet będziesz jechał? — odwrócił przedmiot rozmowy. — Nie znam, gdzie on teraz.

— Ma komendę nad wszystkimi korpusami wolontariuszów, kantonistów i strzelców tak nad granicą w Księstwie jako też i tych, które w kraje nieprzyjacielskie weszły... tudzież nad korpusami Zielińskiego i Karwowskiego. Nadnarwiańska dywizja.

— Rzec nie w tym. Powiedz waść jenerałowi,

skoro go tylko najdziesz — uważaj waszmość! —
skoro go tylko najdziesz... że go czekamy. Zapamiętaj waść, że go czekamy. W Warszawie.

Potrząsnął rękę Chadźkiewiczowi i wychodząc, jeszcze dorzucił:

— W Warszawie!

NADNARWIAŃSKA DYWIZJA

Jenerał kwaterował ze sztabem we dworze. Szwadron jazdy do towarzystwa stał na folwarku, oddział z 240 samych zbrojnych w piki włóścian — we wsi.

Jasiński wstał od stołu i jeszcze raz przebiegł oczyma dopiero co pośpiesznie skreślony list do plac-komendanta zagarniętej stolicy litewskiej:

„...Dowiaduję się, żeś WPan kazał zrabować mój dom. Racz się zapytać oficerów swoich, czy u nas w taki z nimi obchodzono się sposób. Mam honor zapewnić go, że bez biblioteki, meblów i ekwipażów można bardzo być szczęśliwym nie będąc niewolnikiem. Tego mi tylko żal, że przegrał zakład z jednym kolegą moim, utrzymując niepodobieństwo podobnego postępuku, w moich oczach nie jest nawet barbarzyńskim, podłym jest, i kto z nas na nim traci więcej, niech każdy osądzi. Pewny jestem, że łatwo WP. było zrabować mnie, bom niczego nie kazał przechować. Między

sprzętami moimi znajdującymi się w ręku jego rekomenduję mu nad wszystko karetę niebiesko lakierowaną. Nosi ona wybornie, jeździł w niej już jeden generał... który lubił łupiestwo. W nadziei, że wojskowych tylko łupić będziesz, jestem etc..."

Podpis. Surowy, prosty — jak drzewo szubienicy dla Szymona Kossakowskiego.

Wyszedł przed ganek. Był odświeżony, wypoczęty, czuł się znakomicie. Ubiegłej nocy spał jak nigdy.

Było niedzielne przedpołudnie, raczej nawet wczesny poranek. Od kilkunastu dni panowała niemiłosierna susza — i w trawie nie lśniła ni jedna kropelka rosy. Liście drzew ocieniających dom zwieszały się smutno, poskręcane w trąbki. Ptaki w ogrodzie milczały posępnie, posiadawszy na gałązkach — sztywne, z nastroszonymi piórami.

Pod nawisłymi gałęziami drzew, uginających się pod ciężarem dojrzewającego owocu, leniwie krzątał się chłop z dwiema wielkimi stągwiemi i bez pośpiechu, obojętnie wylewał strugi wody pod pnie. Młody był czy posunięty już w latach — zrazu generał nie umiał rozeznaczyć: brudny, zarośnięty, z odkrytą na słońcu gęstwiną zmierzwio-

nych, pozlepianych w strąki kudłów, w koszuli feno i portkach z grubego lnianego płótna, pozawijanych wysoko pod kolana i jak on sam odrażająco umazanych, dreptał boso, ukazując coraz spośród chwastów łopianu i pokrzywy cienkie, długie nożyska pooblepiane przyschniętymi grudami gnoju i błota.

Jasiński skinął na chłopą. Chłop nieufnie, spode łba popatrzył najpierw na strojnego oficera, po czym powoli odstawił puste już konwie i jeszcze wolniej jął się zbliżać do Jasińskiego. Teraz dopiero, patrząc mu z uśmiechem prosto w chmurną, apatycznie bezmyślną i wychudłą twarz, generał zauważył, że wieśniak nie mógł mieć więcej niż trzydzieści lat.

— Jak wam? — pytał chłopą.

Chłop milczał.

— Jak wam, pytam — powtórzył. — Jak was zwa?

Chłop popatrzył na generała niepewnie; powiódł szeroko rozwartymi, przygasłymi oczami po kurtce z obszlegami, po jasnych spodniach, po długich lśniących butach oficera.

— Dyżma — mruknął spuszczać zaraz nisko skołtuniony kark.

— Słuchaj, Dyżma — utkwiał Jasiński wejrze-

nie w zakłopotanego ogrodnika — jakiś ty do bitki?

Indagowany ani drgnął.

— Byłby z ciebie dobry żołnierz!...

Wieśniak spoglądał teraz z kolei jakimś na poły ciekawym, na poły kpiącym wzrokiem na wciąż uśmiechniętego przyjaźnie generała.

— Eee!... — tyle tylko zaledwie dosłyszał Jasiński.

— Byłby z ciebie dobry żołnierz! — powtórzył twardo i głośno.

Chłop podniósł głowę, rozprostował się — szerniało od słońca policzki rozciągnęły się gwałtownie w oblakany jakby uśmiechu... Nagle skurczył się, zwinął i twarz wykrzywiła mu się w bolesny grymas. Wyciągniętym ramieniem wskazywał na ganek.

Na ganku, w prześwieconym słońcem cieniu płaskiego daszku, wsparty lewą dłonią o drewnianą bieloną kolumnę, stał szlachcic odświeżnie *antiquo modo* odziany w żupan jasnokremowy przepasany pasem szerokim, litym, w butach palonych. Łeb miał wysoko podgolony, twarz szeroka, mięsista, na policzkach mocno zaróżowiona.

— Dziedzic!... — wargi wieśniakowi zadrżały i pobladły na płótno.

— Tuś, hultaju! — gromkim echem odbiło się o ganek. — Sto bizunów każe wsypać!...

Jasiński zwrócił głowę na dźwięk głosu zapezrzonego szlachcica, który już szedł ze schodków witać w niskich pokłonach znamienitego gościa.

— Fawor to dla mnie, fawor nie byle jaki... — rozpoczynał wyszukaną orację, kiedy raptem jenerał odwrócił się plecami do gospodarza. Szlachcic zmieszał się i urwał w pół zdania.

Chłopa już nie było, jak gdyby go wiatr zdmuchnął.

— Witam miłościwego pana, mego dobrodzieja! — zwrócił się teraz Jasiński drwiąco do szlachcica, zielony z gniewu.

— Szelma! — stygnął tymczasem powoli tamten. — Co dzień mu powiadam: *labor suprema voluptas!*... I widzisz asińdziej huncfota! Dobrych porządków w Rzeczypospolitej gwałcicieliów dzisiaj tylu, że *conservare* nam trzeba *quidquid sacrorum* jeszcze dało się salwować...

— Dobry żołnierz byłby... — wracał głośnie do swojej pierwiastkowej myśli jenerał, jakby zapomniawszy całkiem o gospodarzu.

Ten popatrzył zdumionymi oczyma na oficera i odpalił prosto z mostu:

— Jeno mu *virtutem* najmiłościwszy stwórca,

pan nasz dobrotliwy, nie dał, jako że to rzemiosło *exclusive* rycerskiemu stanowi przystoi!

— Cóż, kiedy szlachta powiada, iż nad dni dziesięć służyć nie powinna, a zatrzymać ich nie można, bo mocniejsi... — roześmiał się Jasiński.

— Żniwa! — z powagą przytwierdził ów *vir nobilis antiqui moris virtutisque cultor* i snadź coś sobie przypomniawszy odmienił materię rozmowy. — Imość z polewką czeka, wielki fawor dla naszego...

Ale i tym razem także nie było mu dane dokończyć wygładzonego w myślach frazesu, bo oto przed jenerałem stanął człek nowy, w kurtce i pantalonach z płótna szarego, zielonymi tasiemkami obszytych, w kapeluszu okrągłym z kokardą narodową; na pendencie czarnym przez ramię miał pałasz prosty, nieozdobny, u boku torbę zwaną w Litwie torbą wolności.

Sięgnął do onej torby i dobył z niej plik duży papierów, wręczając je jenerałowi. Skłonił się po żołniersku i odszedł.

Jasiński, nie patrząc już wcale na skonfundowanego szlachcica, obrócił się na pięcie i długimi, szybkimi krokami pomaszerował przez ganek i sień na swoją kwaterę... Przeglądał z uwagą piśma, czytał:

„Komisja Porządkowa w Mereczu donosi, takowej to odezwie przez agentów króla pruskiego podsyłanej przeciwiając się, jako jest wszystkim znana. Toż komisja preńska.

«Poddani dotychczas Polski na granicy uwiadomili JWGubernatora naszego, że duchowni, szlachta i wszyscy władzę mający tak są nierozsądni, że swojej już dogorywającej konfederacji i po wszystkich kątach kryjącej się komisji preńskiej jeszcze respektują, nakładając ciężary poddanym, które tym nieszczęśliwym zgubą być musi. JWGubernator kazał mnie księżom, szlachtom i wszystkim władzę mającym donieść, że jeżeli więcej buntownikom niż rozumowi i sprawiedliwości podlegać zechcą — w mocy jego wszystkich pogranicznych chłopów zbuntować i szlachtę, duchowieństwo i każdego przełożonego tyraństwa ich wolności polecić. Każdy chłop polski protegowany przez żołnierzy naszych chętnie przystąpi do zguby pana swego, który dotychczas był jego tyranem. Ze wszystkich stron poddani Polski naszej protekcji proszą i skoro się JWGubernator dowie, że szlachta i duchowni poddanym rekrutów lub inne ciężary konfederacji dodawać każą, natychmiast ogłosim chłopom wszystkim, gdyby panów swoich aresztowanych do Prus przysta-

wili, a ich majątek na opłacenie szkody swojej między sobą rozdzielili. Szpiegi nasze doniosą nam wszystkich tych, którzy konfederatom cokolwiek dostarczać będą. JWGubernator nasz widząc, że jego powolność i litość polskim szlachtom jest szkodliwa, tych sposobów użyje, które pewnie szczęśliwość poddanych ugruntuja.

Datt w Sztabie Gubernatorskiej Komisji Wojskowej w Stołupianach 1794 r. Augusta 27. Gen.-adj. J. Schachmeier.»“

„Chytry jegomość król pruski!“ — pomyślał Jasiński. I rozjątrzona fantazja jąła przywozić na pamięć dziecinne lata na Kujawach, kiedy cokolwiek okrucieństwo nieprzyjaciela wymyślić może przykrości, wszystkiego ubogi lud tam od wojsk króla pruskiego doznał: zmarnowanie dobytku, batożenie i gwałt niewiast, łupież powszechna, głód i pożary, wydeptywanie zasiewów, wymuszany werbunek, kontrybucje — igrzysko dumnych i pastwa swawoli...

Rósł gniew.

„Zbiorę pod Grodno całą siłę — snuł desperackie plany — do której przyjdzie Giedroyć i Wawrzecki, koniecznie pod Grodno, nie gdzie indziej, bo tu jest wielki magazyn, który nas wy-

żywi choćby miesiąc, a gdzie indziej już i ziarna nie masz; tu jeszcze sprowadzę batalion strzelców od Łomży, a Ty, Naczelniku, raczysz przysłać ze trzy armaty 12-funtowe i ze sześć 8-funtowych. To wszystko podzielę na trzy dywizje równe, zabierzem z sobą lazaret i ruszę z dwoma najprzód do granicy pruskiej... Na granicy gdziekolwiek, między Augustowem i Wierzbołowem, w miasteczku ulokuję lazaret, założę plac na magazyny, na komisariat, fabryki... i to pod strażą trzeciej kolumny, a sam pójdę w kraj z dwiema i wszedłszy... będę się bił. Wezmę pozycje o mil dwie jedna od drugiej, okopię się i będę na kraj z fortecy wydawał rozkazy głaszcząc chłopą i mieszczanina. Z królewskich, duchownych i szlacheckich dóbr będę brał skóry, płótno, konie, wozy etc. i wszystko na tyły odsyłając będę wyrabiał w fabrykach. Jeżeliby tak zimę wytrzymać się dało, z nową trawą wejdziemy ubrani, wymusztrowani, wykarmieni...

Nie... Nie. Jeszcze nie wszystko stracone!"

Chwycił za pióro. Pisał:

„Naczelniku, moja rzecz jest słuchać, nie radzić, ale daruj, że ci robię to przełożenie: każ nam całą siłą iść w Prusy, ulżymy krajowi naszemu w żywności. Ja pieniędzy nie mam, a tam

zbierzemy, na koniec inne korzyści stąd widzieć mi się daje...”

Po godzinie szedł przeproszać imość, że wzgardził polewką piwną z serem. Szlachcic też się udo-bruchał. Pytał się generała, czyby mu rzecz potra-fił, kto był zacz ów diabeł wcielony, co szlachtę i panów w litewskiej stolicy zaprzysiągł wyróżnać i powywieszać...

— Asińdziej, widzieć się zdaje, człek bywały, *eo ipso* wiedzieć będziesz, kto on piekielnik!...

— Ja sam! — roześmiał się Jasiński.

Szlachcic nie uwierzył, mimo że generał się za-przysięgał. Obiadowali tak wśród przekomarzań prawie do zmierzchu.

Wieczorem deszcz zaczął padać i padał przez całą noc. Rano Jasiński odjeżdżał. Deszcz padał bez ustanku. Świat był szary, jakby zasnuty firan-kami ruchomych kropel, przejmował chłodem, odbierał wczorajsze nadzieje.

Przodem szedł szwadron jezdnych — połowa bez siodła. Błoto chlupało pod końskimi kopy-tami, ktoś nucił we mgle:

My Krakowiacy nosim guz u pasa,
Powiesim sobie króla i prymasa...

Dalej jechał generał rozwalistą bryką w trzy konie, pod płóciennym baldachem. Na końcu ma-

szerowali piechurzy niosąc osadzone na sztorc kosa i piki. Pochód włókł się powoli, brnąc w gęstym, lepkiem błocie Podlasia — w zupełnej omal ciszy, półsenny, kiedy od ganku dworu ozwał się ni stąd, ni zowąd podniesiony, wściekły głos konuszowego ziemianina:

— Tuś mi, szelmo!... Hultaju!... Sto bizunów zaraz ci każe...

Maszerujący w ostatniej czwórce — boso, w koszuli jeno i w portkach z grubego, lnianego płótna, wysoko pozawijanych pod kolana, z przewieszoną przez ramię torbą wolności — chłop nawet się nie obejrzał. Topił cienkie, długie nożyska w kałużach, grubiały twarde skorupy przyschnięte nad piętami, szedł...

Głos zaperzonego szlachcica rozpraszał się w gęstniejącej mgle.

PRZED KRATKAMI KONWENTU

Obywatele! przedstawiciele ludu francuskiego!

Obalać tyranię wszelkiego rodzaju, tyranię opinii i tyranię władzy, dawać jako podwalinę wolności opartej na zasadach równości rząd jak najbardziej demokratyczny, jaki kiedykolwiek pannał na świecie, przygotowywać światłem najwyższej filozofii rządu obyczajów prostych i prawd najwznioślejszych, zdolnych jedynie zapewnić i rozum, i trwałość Rzeczypospolitej...“ — czytał z zacięciem.

Przed oczyma stanął mu obraz ogromnej sali wypełnionej po brzegi. W krzesłach zasiadali uroczyście deputowani do Konwencji, przysłuchujący się uważnie słowom mówcy. Na galeriach tłoczył się tłum publiczności spośród paryskiego ludu — mężczyźni i kobiety. Stali wśród podnieconej ciszy, coraz to wychylając się za bariery dla doskonalszego obserwowania trzymającego przed kratkami mowę delegata Rady Najwyższej Naro-

dowej warszawskiej. Na miejscu prezydenta zasiadał nowy przewodniczący Zgromadzenia — Collot d'Herbois, literat, autor kilku miernych dramatów, wszelako w polityce i jako człowiek bardziej niżli jego poprzednik, Robespierre, dający się powodować uczuciom humanitaryzmu nie tylko w sprawach wewnętrznych Francji, lecz i wobec innych narodów. Siedział teraz za stołem, głęboko wsparty o poręcz fotela, i z teatralną powagą w brzydkich, niesympatycznych rysach słuchał mówcy.

Barss ciągnął swoją rzecz dalej:

„Przedstawiciele Rzeczypospolitej Francuskiej! Widzicie przed sobą Polaków prześladowanych przez całą Europę. Jedynie tylko ziemia francuska była dla nas gościnną, a ten jeden fakt świadczy, że wszędzie, gdzie jest wolność — tam rządzi cnota.

Osądźcie sami, jakimi są uczucia, w których imieniu stajemy przed wami, w chwili gdy dajecie zwrot nowy pochodowi rewolucyjnemu, w obliczu narodów świata całego!..“

Słuchano z uwagą. Tylko Taliem, zasiadający w gronie politycznych przyjaciół, między Merlinem de Thionville a Duhemem, na ławach lewicy, poziewał od czasu do czasu.

„Utraciły na zawsze ponętę — mówił Barss — owe wygórowane ambicje, przed którymi korzyły się wszystkie opinie: padli bożkowie na równi z królami. Jednostki będą odtąd niczym wobec Ojczyzny...”

Huragan oklasków zerwał się na galeriach.

„Oby ta straszliwa nauka mogła być słyszaną wszędzie, oby uświęciła u wszystkich narodów tę wielką zasadę, że należy służyć Ojczyźnie nie dla zdobycia sławy, lecz dla zadośćuczynienia obywatelowi obywatelskiemu...”

Cisza zaległa zgromadzenie. Tylko Lecointre szeptał coś do ucha wciąż wiercącemu się na ławie Montantowi.

„...Przyjrzyjcie się owemu królowi pruskiemu, który w roku 1792 z taką dumą prowadził przeciw Francji zastępy Fryderykowe. Na wiadomość o powstaniu Polaków przestraszył ogarnia go nad brzegami Renu. Porzuca zbrodniczy sojusz z królami i dla zachowania tego, co swymi dzielnicami nazywa, odstępuje od szalonego zamiaru podbić Rzeczypospolitą Francuską.”

Spojrzyjcie na imperatorową, rozsiewającą między emigrantów wszelkie skarby swoje, wszystkie swe legiony. Wszystkie jej myśli zwró-

cone są dziś przeciw Polsce. Dla jej utrzymania nie szczędzi ani złota, ani krwi ludów swoich.

Patrzcie na cesarza z jego satelitami, których falangi republikańskie pędzą przed sobą jak proch marny. I on łączy się sojuszem występnym przeciw Polsce, by zapewnić sobie zaczynające mu już brakować zasoby i pomścić swoją niemoc na wolności ludu francuskiego.

Jedność uczuć i czynów, nienawiść do wspólnych nieprzyjaciół, zwycięstwo sprawy wspólnej zbliżają i jednoczą ludy wolne...“

Sala trzęsła się aż od braw. Galeria mało że nie łamała barier — podniecona, rozdygotana, nieprzytomna z uniesienia.

— *Vive la Pologne!... Vive la Pologne!...*

Talien siedział wciąż milczący, odęty. Na moment tylko odwrócił się do Granéta i rzucił sucho:

— *Point de fonds à envoyer!...*

Talien dawał wyraz przekonaniu, że szkoda każdego franka Republiki dla podtrzymywania arystokratyzmu nad Wisłą.

„...Stawając przed kratkami waszymi, obywatele reprezentanci — kończył delegat generała Kościuszki — mieliśmy również na celu powinszo-

wać wam zwycięstw waszych, podziękować w imieniu narodu polskiego za wszystkie przykłady cnót, jakie mu dajecie; przysiąc wreszcie wobec was, że nie ścierpimy nigdy despotów wewnętrznych i że uczucia najczulsze braterstwa kojarzyć nas będą na zawsze z narodami idącymi za przykładem nienawiści, jaka ożywiać winna wszystkich, przeciw wspólnym nieprzyjaciółom...”

Szedł od mównicy a naprzeciw mu wstawał już Collot d'Herbois. Prezydent Zgromadzenia zbliżył się w namaszczonej, uroczystej pozie do Franciszka Barssa i ogarniając szeroko rozwartymi ramionami reprezentanta rewolucyjnej rzeczypospolitej, złożył na jego wysokim czole w imieniu ludu francuskiego braterski pocałunek...

Jasiński opuścił na kolana zmięte kartki papieru. Wszedł Tyszkiewicz, rozpromieniony, radosny, donosić jenerałowi o odstąpieniu Prusaków od Warszawy.

Jenerał podniósł na adiutanta spojrzenie wciąż jeszcze jakby nie z tego świata:

— Wzięte jest Kowno i w nim resztę składów naszych przepadło za Niemnem... Cała Żmudź w ręku nieprzyjaciela albo przynajmniej, co na je-

dno wypada, naszego żołnierza tam nie ma, zatem ten kraj nie nasz.

Z tej strony Niemna, w Prenach, spalony i wieziony magazyn, na jaki już drugi ciężko się zdobyć, tj. 30 000 kamieni siana, 15 000 kamieni sucharów, 4000 koszul, 1200 beczek owsa i wiele innych rzeczy. Podobny zabrany w Olicie, zatem w tych stronach trudno spodziewać się więcej zbioru. Całe pobraże Wilkowyszek do Augustowa od Prusaków ma zakaz pod grozą spalenia wsi całej nie dać nam ziarna, konia, koszuli, a co za rozkazem komisji już przygotowano, to częścią Prusacy zabrali, częścią sami chłopci, jedni pod groźbą, a inni pobuntowani, dawać nie chcą, zatem kraj ten cały, jak mapa pokazuje, jest dla nas niczym, bo go w tygodni dwa do reszty zjemy. Część Grodzieńskiego i Ejszyskiego nas nie wyżywi. Lidzkiego, co zostało, to już zniszczone... Austriacy Puławy biorą i Lublin, aż po Włodawę posty ich sięgają...

Pochylił ciężko głowę, zatroskany.

— Od Francuzów — dorzucił po przerwie — na nic czekać nie trzeba, chyba że...

Twarz jenerała, znużona dotąd i ściągnięta, stwardniała raptem w wyraz mściwej nienawiści — surowy, kamienny.

Tyszkiewicz pojał w lot myśl komendanta. Uśmiechnął się i chyląc głowę do uszu Jasińskiego, powiedział zniżonym głosem:

— Mówią, że księcia prymasa na jawnej zdradzie ujęto. Ponoć Najwyższy Naczelnik, powiadomiony o tym, sam pobiegł do króla jegomości na zamek... a Stanisław August posłał czy zaniósł bratu truciznę, by go od hańby ocalić...

Księżę prymas zwąchał linę,
Wolał proszek niż drabinę...

Teraz roześmieli się obaj śmiechem przykrym, drażniącym jak zgrzyt żelaza po szkłe.

— Trucizna ponoć była z apteki Wasilewskiego... Ciało w pałacu prymasowskim złożono na dole, w salonie pogrzebowo przybranym, na wysokich marach; kotary czarne i czerwone, kilku prałatów w głowach; koło katafalka wysokie lich-tarze, sześć czy osiem, z potężnymi, grubymi gro-mnicami, słabe światło dawały. Dienne było stłumione, ze dworu tylko przez drzwi wchodowe wpadało. Mary wysoko były podniesione pod su-fit. Cisza, ciekawych niewiele, stopnie wysokie. Ciało w kapę przyodziane... twarz przysłoniona...

Jasiński słuchał, słuchał, wpatrzony w opo-wiadającego — niby to z ciekawością, wszelako widać było, że odmiennymi myślami zajęty...

— A szkoda, że go nie obwiesili!.. — przerwał nagle adiutantowi, przypominając sobie zacięte rysy znudzonego na ławach Konwentu deputowanego Taliena.

— Szkoda... szkoda! Teraz już za późno...

Zastukał do drzwi Maciej i na wezwanie jenerała wchodził pytać, co by jenerał chciał widzieć na stole przy wieczerzy.

— Chińczyk i Anglik piją herbatę, Turczyn kawę, Włoch i Hiszpan czekoladę, Moskał gorzałkę, a Polak wszystko — przypomniał gdzieś od kogoś zasłyszany dowcip Jasiński.

Tyszkiewicz się roześmiał, sługa jenerała skłonił się zabawnie na znak, iż pojął myśl gościnnego gospodarza — trochę, jakby rozwieszona do tąd w powietrzu izby, pierzchła.

Byli przecież tacy młodzi.

Jasiński wesoło już brał za ramię lubianego wielce oficera i prowadził go do sąsiedniej jadalnej komnaty.

— Proś jeszcze porucznika Granowskiego! — wołał przez drzwi do Macieja.

KRUKI LECAJĄ PO PRAWEJ STRONIE

Teraz już bił grom za gromem.

Po krwawym, zaciętym boju pod Krupczycami generał Karol Sierakowski, na którego właśnie powszechna była obrońca uwaga, widział się być przymuszonym uchodzić na Brześć. Pod Brześciem doznał nowej porażki. Wnet na tym teatrze działań zamieszanie powstało straszliwe. Pierzchały strwożone szeregi. Sam Sierakowski najfatalniejszą przedsięwziął rejteradę — przez błota — a armat cztery, które miał przy sobie, zmuszony był zagwoździć i potopić. Nie bez znacznego uszczerbku, gdyż w tysiąc tylko piechoty i z szwadronem jazdy, przebrnął na koniec te przepaściste bagniska.

2645 ludzi stracono w zabitych i rannych.

Teatrum wojny do Prus przenieść też już nie było sposobu. Karwowski i Zieliński przeprowadzili się pod Ostrołęką dla przeniesienia insurekcji na tyły wojsk króla pruskiego, ale musieli odstąpić

od zamysłu z powodu nadejścia znacznych sił pod generałem Güntherem.

Jenerałowie nadto przyzwyczaili się do skwapliwych odwrotów. Zdemoralizowany tym, niepłatny, głodny i najczęściej bosi żołnierz rozpierzchał się teraz pod lada uderzeniem przeciwnika. Znużenie było między wojskiem takie, że kawaleria konie prowadziła, a piechota upadała.

Suworow szedł jak wichura. Już Fersen przeprawił się pod Tyrzynem przez Wisłę i śpieszył połączyć się z Suworowem.

Zbliżali się Prusacy...

Kościuszkowski zdecydował tedy pociągnąć na przeciw Fersenowi, by nie dopuścić do koncentracji sił nieprzyjaciela. 8 października stanął obozem pod Maciejowicami.

Tego dnia lało jak z cebra, przez co skwasiły się do reszty nastroje w oddziałach.

Ku wieczorowi deszcz przestał padać, wypogodziło się niebo. Żołnierze broń mokrą nabijali na nowo. Niemcewicz z Kniaziewiczem i Kamińskim przechadzali się przed obozem. Raptem odezwał się Kamiński dostrzegając dwa kruki lecące po prawej ręce:

— Czy pamiętasz Liwiusza? Kruki lecą po prawej stronie, zła to dla nas wróżba.

— Nie wierzę jej — odparł Niemcewicz — mam jakieś przeczucie, że się nam powiedzie...

Niestety! Przeczucia tym razem zawiodły Niemcewicza najokrutniej. Następny dzień przyniósł klęskę, jakiej dotąd równej nie było — nigdy dosyć nie opłakaną. Samych jeńców wzięto spośród Polaków 2070. Pobojuwisko usłane zostało trupami. Dwie chorągwie i wszystkie działa dostały się przeciwnikowi.

Najwyższy Naczelnik, pchnięty dwakroć powyżej biodra, wprzód jeszcze odniósłszy kontuzję od kuli w boku i cięcie w głowę, dopiero nad ranem przyszedł do przytomności — w ręku zwycięzcy.

— Ojczyzna ginie!... *Finis Poloniae!* — rozbrzmiało rozpaczliwie w stolicy.

20 października przybył do Warszawy Jasiński, kiedy już wśród stołecznych czerwieńców — nie bez słusznej przyczyny — przemyśliwano nad gwałtownymi środkami ratunku. Zaraz prawie po przyjeździe generał pośpieszył szukać przyjaciół. Zawiazało się właśnie za poduszczeniem Kołłątaja Zgromadzenie na Utrzymanie Rewolucji i Aktu Krakowskiego — i w onym to klubie hugonistów spodziewał się ich znaleźć...

Udał się tedy prosto do pałacu Radziwiłłowskiego na Krakowskie.

Trafił akurat na burzliwe obrady związkowców. Właśnie głos miał Zajączek, perorujący za natychmiastowym odsunięciem Wawrzeckiego od naczelnictwa siły zbrojnej, dopiero przed niewielu dniami przez Radę Najwyższą Narodową mu oddanego.

— Dość już systemu umiarkowania, który nic, jeno zdrajców płodzi! — wołał bijąc pięścią w stół. — Innego przewodnictwa w rewolucji trzeba...

Urwał spostrzegłszy w drzwiach Jasińskiego.

Pierwszy szedł witać sławnego generała prezydent Zgromadzenia... Piotr Grozmani.

Jasińskiemu na to spotkanie krew cała uciekła z policzków do serca gwałtownie teraz tłukącego się, ale się powściągnął, opanowując się żelaznym skupieniem woli. Zimno, lecz bez nieprzyjaźni wyciągnął rękę do szambelana.

Z kolei witał drugich klubistów.

Obrady inny przyjęły obrót. Powszechnie zainteresowanie otoczyło obecnie Jasińskiego. Jeden Zajączek jeno wydawał się być jakby nie całkiem rad ze zbytniego entuzjazmu wywołanego ukazaniem się kolegi.

Obywatel Grozmani tymczasem wykladał już przybyłemu przyczyny obioru przez Radę pocziwego, lecz powolnego i bez umiejętności chorążego brasławskiego, Tomasza Wawrzeckiego, na Naczelnika Siły Zbrojnej Narodowej — po Kościuszcze:

— Na Radzie przeważna większość, strwożona tym, że ktoś z nas ster może ująć, obstawała za systemem umiarkowania jako jedynie odpowiednim, w jej mniemaniu, do ocalenia ojczyzny, ponieważ mógł utrzymać jedność i zgodę między wszystkimi stanami. Przemawiali za tym i Zakrzewski prezydent imieniem miast, i nawet Potocki Ignacy...

— Opinii odmiany się ulękli... — wtrącił się do rozmowy ksiądz Meyer. — Opinii odmiany!...

— I majętności utraty — dorzucił z uśmiechem jenerał.

Obrady przeciągnęły się do późnej nocy. Ksiądz Meyer obstawał za jawnym terroryzmem, argumentując na rzecz stosowania bezwzględnych środków rządzenia i walki ze zdradą.

— Rewolucje — mówił — zjawiające się z przechodu jednej opinii do drugiej, zawsze krwawe być zwykły, ponieważ tych, co żyli z dawnej opinii, obchodzi ustanowienie nowej. Na-

tenczas nie jest to już sama walka opinii, ale jest to wojna ludzi. Wszyscy mędracy, królowie, ludy i magistraty mieszają się do walki i wszyscy się biją, póki nowa opinia zupełnego nie odniesie zwycięstwa...

Skończona raz opinia — ciągnął — już się więcej nie odnawia, ale się narody do innej zwracać zwykły. Harmaty, bagnety i czarne huzary nic nie pomogą. Thuszczą rzeknie do szlachty jak ów człowiek do Jowisza: Cóż to? Ty się gniewasz? więc masz złą sprawę...

— Racja!... racja!... — towarzyszyło gorącym wywodom księdza-jakubina.

Wszyscy się zgadzali, że trzeba plebejskiego ojczyźnie poruszenia dla wyciągnięcia jej z ostatecznej toni. Za bezwzględnością opowiedział się też i generał Jakub Jasiński.

Mówił długo, zapalczywie, ze złymi błyskami w oczach.

— W Polsce nie masz, jak tylko zdrajcy lub ludzie słabi i bez energii... — kończył żarliwe przemówienie przywołując dawne swoje słowa. — Ostrzegam was, obywatele, czas już ostatni rzucić miękkość serca!...

Nawała braw na dowód, że go pojęto, nie pozwoliła mu dopowiedzieć ostatecznej konkluzji.

Ustalono, że Klub Ufności, z czterdziestu członków się składający, dążyć będzie bez zwłoki do owdzielenia rządem, wojskiem i opinią publiczną, zachowując naczelny ster wydarzeniami, dwa zaś Kluby Posłuszeństwa zatrudnią się przede wszystkim formowaniem list proskrypcyjnych jako też wypełnianiem wszelakich rozkazów przełożenia Zgromadzenia. Jednomyslnie też postanowiono wystąpić do Rady Najwyższej Narodowej — jak się tego domagał Jasiński — o uzbrojenie wszystkich kupców, rzemieślników i pospólstwa w mieście.

Grozmani, odwołując na stronę Jasińskiego, poufnie go zapewniali, że wszystko to jeszcze nic, gdyż ks. Kołłątaj — zdecydowany wreszcie sam stanąć na czele ludu — dalsze jeszcze plany chowa w zanadrzu, których śpieszna realizacja wnet dostarczy Barssowi argumentów, iż polska rewolucja nie zamierza w niczym pozostać w tyle za Francją...

— Gdy nie wyłączywszy i samego pomazańca-jurgieltnika, niejedni da gardło zdrajca, Konwencja innymi popatrzy oczyma na insurekcję, najdzie sposób przyjęcia Polsce z sukursem...

Pozostała jeszcze jedna sprawa, główna: naj-

wyższego nad wojskiem naczelnictwa po zadecydowanym usunięciu niesposobnego do tej roli Wawrzeckiego.

Większość klubistów, uwiedziona żarem wystąpienia i urokami rewolucyjnej legendy wodza litewskiego powstania, wotowała głośno za Jasińskim. Jenerał Zajączek, któremu przedtem już sekretnie doniesiono, że Wawrzecki powziął był myśl odsunięcia się od bezpośredniej komendy nad wojskiem i zdania jej na niego, powstał chmurny z fotela i zabrał głos.

— Pora już późna — wnosił chytrze — i wszyscy Zgromadzenia uczestnicy utrudzeni. Doradzam materię ważną wyboru Najwyższego Naczelnika przełożyć na jutrzejsze się zejście obywateli klubów składających...

Rwetes się straszny podniósł wśród faksji Jasińskiego stronników. Przejrano natychmiast manewr. Poleciały przez salę okrzyki:

— Wotować!... wotować!... Nie masz czasu na przekładanie niczego do jutra, kiedy szyje pod mieczem wyciągnionym nieprzyjaciela... Już składać głosy!...

Prosił o słowo sam Jasiński. Cisza zaległa wśród zebranych, ciekawych, z czym wystąpi.

Obywatel prezydent Zgromadzenia, dotąd zaprzątnięty uciszaniem najzapalczywszych, obrócił się teraz słuchać kandydata z takim dla mówcy interesem, że ręka jego z wzniesionym do góry małym srebrnym dzwoneczkiem zawisała martwo w powietrzu — i tak na długo pozostała. Nadstawił też uszu ksiądz Meyer. Ale najciekawiej chyba poglądał na rywala generał Zajączek, poczerwieniały aż po korzonki włosów starganej czupryny. Ręce drżały mu niespokojnie na zeszywniałych, wysoko podniesionych kolanach.

— Obywatele! — zaczął Jasiński z pozoru oschle, z ledwie dosłyszalną ciepłą nutą melancholii w głosie. — Jeśli mój cichy talent na co się przyda, będę adiutantem, sekretarzem, sługą obranego tu przez was Najwyższego Naczelnika, ale niech sam nigdy już nie płacę więcej honorem intryg i nieobywatelstwa drugich... Wszystkim rozkazom się poddam waszym, obywatele, bom od początku rewolucji, co mówię! bom całe życie poświęcił ojczyźnie, uczynię wszystko, co potrzeba, ale sam komenderować nie chcę...

Teraz nie spuszczał oczu z Zajączka.

— Nie chcę, bo wiem, że stracę honor przez oczernianie, a ludzi przez zazdrość... Dajcie komendę, obywatele, godniejszemu.

Cisza uczyniła się taka, że wszyscy mogli dosłyszeć przyśpieszony, świszczący oddech Zajączka.

— Oddajcie naczelnictwo — cedził teraz słowa z wyraźnym wysiłkiem, powoli, jedno za drugim — takiemu, co mnie przewyższa umiejętnościami, talentem, walecznością, a nade wszystko, co by szczęśliwszy był ode mnie... Jest taki śród nas.

Skończył. I zaraz szedł uściskać ręce rywalowi. Był blady jak ściana... Zajączek powoli, powoli, z niepewnie zakwitającym na ustach uśmiechem, dźwigał do góry ciężką głowę.

Ozwały się na przemian gorące okrzyki uznania i protestu — zagotowało się na sali.

Rozeszli się dopiero o świtaniu, nie ostatecznie nie zadecydowawszy w kwestii kandydata na urząd Najwyższego Naczelnika. Grozmani i ks. Meyer pośpieszyli z Radziwiłłowskiego pałacu prosto do Kołłątaja — na rynek.

Jenerał Tomasz Wawrzecki, człowiek, który by — zdaniem Rady Najwyższej Narodowej — był miły partiom naród nasz, na nieszczęście, dzielącym, pozostał na stanowisku. Powołał jeno radę wojenną i zdając na nią i na Zajączka troskę o operacje, sam bezradnie patrzył na rozwój wypadków...

Odrzuciła też Rada Narodowa złożony przez generała Jasińskiego projekt uzbrojenia plebsu. Generałowie nie mogli uzgodnić opinii co do planu następnych poczynań i obrony zagrożonej już zewsząd stolicy. Intrzygi zatruwały serca i umysły.

26 października Suworow śmiało zaatakował i rozbił pod Kobyłką idącego w ariergardzie generała Meyena. Posłany Meyenowi z pomocą generał Byszewski dostał się do niewoli wraz z pułkownikiem Wolanem, z 1073 ludźmi, sztandarem i 9 armatami.

Dwutysięczny korpus Jerzego Grabowskiego został 1 listopada otoczony przez Prusaków w dolinie Narwi pod wsią Piankami i poddał się księciu Anhalt.

Nieprzyjaciel stał już u wrót Warszawy.

Jasiński chodził po tym narodowym przedpieklu umiarkowania, nieporadności, sporów, egoizmu, małoduszności, pospolitej zdrady, tchórzstwa i rozpacz — smutny, zatopiony w swoich myślach, pełen złowieszczych przywidzeń.

2 listopada spotkał Rajmunda Korsaka, którego poznał kiedyś w Grodnie i bardzo polubił. Towarzyszył mu teraz z obozu do miasta, bawił z nim przez dzień cały, był owego dnia osobiście

serdeczny, ujmujący. Kiedy późnym wieczorem zabierał się odjeżdżać, rzekł na pożegnanie:

— Jeszcze się zobaczymy, a jeśli by los zdarzył inaczej, pamiętaj o ojczyźnie i o tych, którzy za nią położą swe życie...

QUAM DULCE ET DECORUM...

Noc na czwartego była straszna. W całym mieście nikt nie spał. Warszawa, drętwiejąca z przerażenia, mroczna, bez ducha, ze ściśniętym sercem, czekała na ostatni akt posępnego dramatu.

W pałacu Borchów na Miodowej samotna pani Tekla dusiła się od powstrzymywanych ostatnim wysiłkiem łez. Zrozpaczona i bezradna, biegła między sprzętami po maleńkim pokoiku, kołując w ciemnościach jak ćma — urzeczona wątlutkim światełkiem ledwie, ledwie tlejącej się nadziei.

Szczękającymi zębami przygryzała koronkową chusteczkę.

Gdzieś koło piątej nad ranem storturowaną przez własne złowrogie myśli wyrwał nagle z lodowej przepaści daleki, daleki błysk za oknem.

Pobiegła za tym błyskiem i gwałtownym ruchem rozszerzonych, jak gdyby w nią strzała trafiła, ramion rozepchnęła okiennice.

Hen, za Wisłą — wysoko nad obozem Borysa

de Lassy'ego — płonęła rakietą. Noc była chłodna i mglista. Od rzeki ciągnął mrozący krew w żyłach ziąb.

„Teraz zaczną“ — poczuła bolesny łomot w czaszce.

„W takim razie — przypomniała sobie, co mówił przed kilku dniami Ogiński — lepiej zginąć z bronią w ręku, niżeli opuszczać kraj z myślą o własnym bezpieczeństwie.“ I zimne, lakoniczne: „Masz słuszność, pójdę za twoją radą“ Jasińskiego.

Całym bezwładnie lejącym w przód ciałem oparła się o framugę okna. Dał wiatr rozdmuchując brudne opary. Na samym skraju nieboskłonu różowiła ledwie, ledwie plamka świtu.

Kamienna, sztywna, podobna teraz bardziej do posągu człowieka niż do żywej istoty, stała tak długo, aż z pierzchających ciemności ukazał się jej przygasłym, zmatowiałym oczom daleki obraz fortów na Zwierzyńcu — dwa równolegle wzniesione przedpiersia, gęsto łamane w bastiony i półbastiony, rowy i trawersy, tu i tam umocnione palisadami.

Wychyliła się za okno i całą wyteżoną mocą — upartą, beznadziejną, szaloną — próbowała tam dostrzec je g o. Na próżno. Złocisty, oślepiający

blask wschodzącego słońca, dźwigający się powoli zza szanców, kłuł dotkliwie w źrenice i zamazywał widok redut i okopów. Zagryzła wargi.

W tej chwili rosnący wciąż wiatr przyniósł głuchy, jakby dobywający się z dna ziemi łoskot i na złotym tle zwierzynieckich przedpiersi poczęły wykwić ciemne pąki dymów... Jeden, drugi, trzeci, czwarty — już nie nadążała liczyć. Ciemna, złowieszczą chmura zasnęła bastiony i trawersy.

Znów zadudniły działa. Pociski pazurami darły wilgotną ziemię na wałach i z wściekłą zaciętością wyrzucały w górę piach, kamienie, strzępy darni, drzazgi drewnianych palisad.

Pałac Borchów aż jęknął.

I zaraz zgiełk się podniósł. Ktoś krzyknął, ktoś głośno lamentował na dziedzińcu. Jakieś koła zaturkotały po bruku.

— Nieprzyjaciół w mieście! — gruchnęło na korytarzu.

Kiedy już dym nad fortalicjami co nieco opadł, omdlewającej pani Tekli ukazał się nowy, przeraźliwy widok: oto nieogarnione wejrzeniem mrowia ludzkie poczęły się z furią wdzierać na umocnienia pozycy Jasińskiego podmywając na obraz wiosennej powodzi wały, bastiony i szanice.

Szły kolumny jenerała de Lassy'ego — bataliony białoruskich jegrów, grenadierzy fanagoryjscy, żołnierze tulskiego pułku muszkietarów, szwadrony kijowskiego konno-jegerskiego pułku, szły pod kniazim Dymitrem Łobanow-Rostowskim szeregi liflandzkich jegrów, chłopcy jak dęby, i apszeroński pułk muszkieterski, i wojska Isleniewa i oddziały Teodora Buxhövdena...

Pani Tekla zasłoniła dłonią oczy.

Teraz rzygnęły ogniem kartacze Pragi niosąc grozę i popłoch między szturmujących. Zrazu męt powstał w nieprzyjacielskich rotach. Fala, jak ściągnięta lejcami czwórka, podniosła się i cofnęła — i znów runęła od nowa, tym razem zatapiając pod sobą wszystko.

Wywiązała się wśród szanców walka wręcz — dzika, śmiertelna, bez pardonu. Darń wałów nasiąkała krwią.

Jasiński kierował lewym skrzydłem obrony miasta. Stał jak gorejąca świeca — sztywny, wyprostowany na swoim jeneralskim stanowisku, ubrudzony od dymu i błota, zdecydowany w wątplych rachubach nie baczyć na nic, co by się działo gdzie indziej. Przez zaciśnięte mocno zęby rzucał krótkie rozkazy otaczającym go oficerom obserwując pilnie teatrum boju.

Wiedział, że nie ujdzie stąd żywy.

Na zgrzanym, kipiącym pianą koniu nadjechał od Kamionka Zajączek. W oczach miał przerażenie.

Pochylił się z siodła — i Jasiński dostrzegł, że lewe ramię jenerała lekko spływa krwią.

— Wycofywać się do miasta! Tu już nie ma co... — rozkazywał z konia.

Jasińskiemu zapaliły się krwią nabiegłe źrenice.

— Po co rozpaczać w tej chwili, kiedy nas tyłu gotowych do walki. Hańba z bitwy uchodzić!

— Desperat! — wrzasnął Zajączek — lecz jeśli chcesz umrzeć, zostań tutaj!

I zawrócił gwałtownie konia.

— Zdrajca! — cisnął za nim pogardliwie Jasiński i odwracając się na pięcie, podjął spokojnie swoje obserwacje.

Praga płonęła. Z dala widać było pierzchające grupy żołnierzy i obłąkanych strachem mieszkańców. Walka przeniosła się już w ulice.

Do okien pałacu na Miodowej leciało z porannym wiatrem odległe, gromkie: „urra! urra!...”
Pani Tekla od godziny nie ruszyła się z miejsca, przyciskając obie dłonie do piersi.

Od praskiego brzegu były już w Warszawę nieprzyjacielskie baterie. Na dziedzińcu u Borchów ścieśniony w gromadę, stłoczony tłum kobiet, dzieci, wyrostków, służby i państwa lamentował przeraźliwie. Śpiewano litanie do Najświętszej Panienki. U stajni woźnice i parobcy, kląc głośno ile wlezie, pośpiesznie wyprowadzali za-przęgi.

— Matko niepokalana, módl się za nami!

— Matko nienaruszona, módl się za nami!

— Panno święta!...

Wargi pani Tekluni drżały jak w febrze. Próbowwała się modlić, ale nie mogła. Widok z okna przykuwał ją do siebie, trzymał w stalowych obcęgach, obezwładniał niczym spojrzenie węża.

Rósł pożar. Czarne, gęste tumany dymu zasnuwały rudery Pragi. W ulicach świstały pociski. Raz po raz dawał się słyszeć okrutny huk pękających bomb...

— Matko niepokalana!... Matko niepokalana!...

Tu i tam wciąż wystrzelały płomienie. Trupy ludzi, koni, psów, kotów i nierogacizny zaścielały kupami bruki. Od czasu do czasu z trzaskiem waliły się dachy płonących domostw rzygając

w niebo słupami ognia. Posępne larum dzwonów akompaniowało ponuro kanonadzie głuszac jęk konających.

U mostu naprzeciw Bednarskiej cisnęły się w panicznym popłochu pierzchające tłumy. Żołnierze — utrudzeni, zziębnięci, wygłodniali, z lękiem śmiertelnym w oczach, rzucali w ucieczce okopy próbując skakać między zwaliskami zawalającymi drogi do Wisły — stosami potrzaskanego sprzętu, połamanych wozów i zdemontowanych dział. Na most prawie już nie było sposobu się dostać, więc cisnęli się gromadnie do ostatnich łódek i promów na brzegu, lecąc w chłodny nurt wody pod zabójczym ogniem kartaczownic.

Wielu oficerów dostało się już do niewoli: generał Meyen, pułkownik Giessler, podpułkownik Kropiński, ranny trzynaście razy.

Wawrzecki, ogarnięty obłędem paniki, uchodził, niesiony bezwolnie przez ludzką powódź. Oficer i dwaj żołnierze towarzyszący naczelnikowi pomagali mu zsiąść z konia i wiedli do mostu ledwie co przytomnego, podczas gdy ten dojrawszy wyrzutowane obok działo szukał latającymi oczyma kanoniera i jeszcze coś tam bełkotał, niewyraźnie powtarzając niezrozumiałe dla nikogo rozkazy.

Prezydent Zakrzewski uszedł już wcześniej do stolicy. To samo i generał Zajączek.

Przed pałacem na Miodowej rozerwał się, jak ognista róża, lecący z sykiem gdzieś jakby od Saskiej Kępy srogi kartacz rażąc żelazem ściany, ale pani Tekla Grozmaniowa nie odbiegła swego stanowiska przy oknie. Wpiła teraz niespokojne wejrzenie w most, rozpaczliwie penetrując oczyma zbity na Wiśle tłum.

Na darmo.

Już jegerskie rotty wdzierały się z krzykiem na przyczółek, kłując bagnetami, gdy naraz — bolesny, rozdzierający jęk kobiecy wydarł się z udręczonej piersi: podcięte z obu stron drewniane pale ugięły się i ostatnia komunikacja z życiem runęła.

Jeden tylko Zwierzyniec wciąż i wciąż bronił się zaciekle, stojąc w ogniu i dymie — niezłomny, hardy, nie baczący na nic i nikogo. Jasiński z nagim pałaszem i w urękawicznionej garści stawiał tu czoło — ramię przy ramieniu ze swoimi — bezustannie wlewającym się za palisady świeżym batalionom von Klugena. Walczył jak szeregowy.

Niecił męstwo w sercach i upór obraz jene-

rała piersią o pierś ścierającego się z jegrami, unurzanego po cholewy we krwi.

Ludzie padali pokotem — bez przekleństwa. Dwa regimenty piechoty — piąty i siódmy — nie zapominały, co się od nich należy ojczyźnie.

Padł już zacny Tadeusz Korsak, padł generał Paweł Grabowski, pułkownik Szymon Górski i syn jego, porucznik artylerii; oddali życie za honor i naród Feliks Grabowski, Walenty Kwaśniewski, Suchodolec, Ostroróg, Antoni Granowski — co najprzedniejsi oficerowie, towarzysze Jakuba Jasińskiego.

W pień wycięty dla chwały Rzeczypospolitej cały żydowski pułk Berka Joselewicza.

Jasiński mimo to wciąż nie rezygnował. Skinał na Tyszkiewicza i wskazując mu oczyma za siebie, gestem nakazywał, żeby biegł szukać posiłków. Sam utrzymać pozycji już nie mógł.

Opadał z sił.

Z topniejącą w oczach garstką oddanych sobie żołnierzy wycofywał się pod naporem — powoli, krok za krokiem. Teraz tylko coraz to częściej obracał wejrzenie tam, gdzie w przedpołudniowym, brudnym świetle listopadowego dnia rysowały się niejasno mury starej Warszawy, królewskiego zamku i katedry Św. Jana.

Jeszcze na krótko powściągnął nacierające, zjeżone sztykami kolumny Isleniewa i Buxhövdena potężny, ogłuszający huk jak gdyby stu gromów.

Jasiński się roześmiał szeroko, swobodnie.

To leciała w powietrze prochownia oddana w ręce zwycięzcom — i ziemia kołysała się od wybuchu.

Z okien Warszawy widać było nad Zwierzyńcem gęsty, czarny słup dymu — jak smoła. I nie poza tym.

Szli w ogrody i ulice Pragi. Jenerał chwiał się na nogach, spływał obficie krwią, ale nie wypuszczał pałasza z garści. Zaciskał zęby, bladł i milknął — i zdążył jeszcze krzyknąć do niktącego mu w tłumie przed oczyma Macieja:

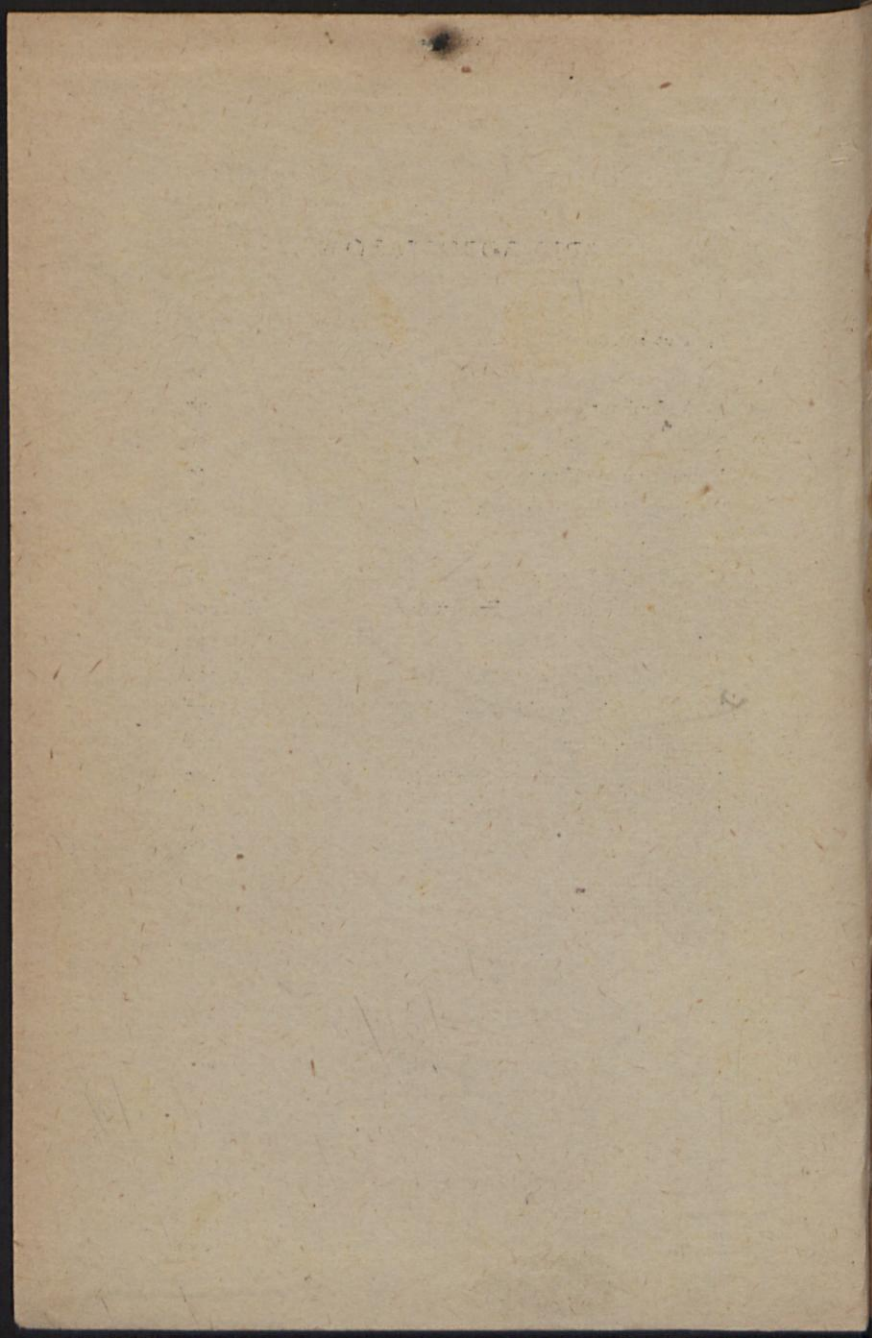
— Trzymaj się. Psie ścierwo!...

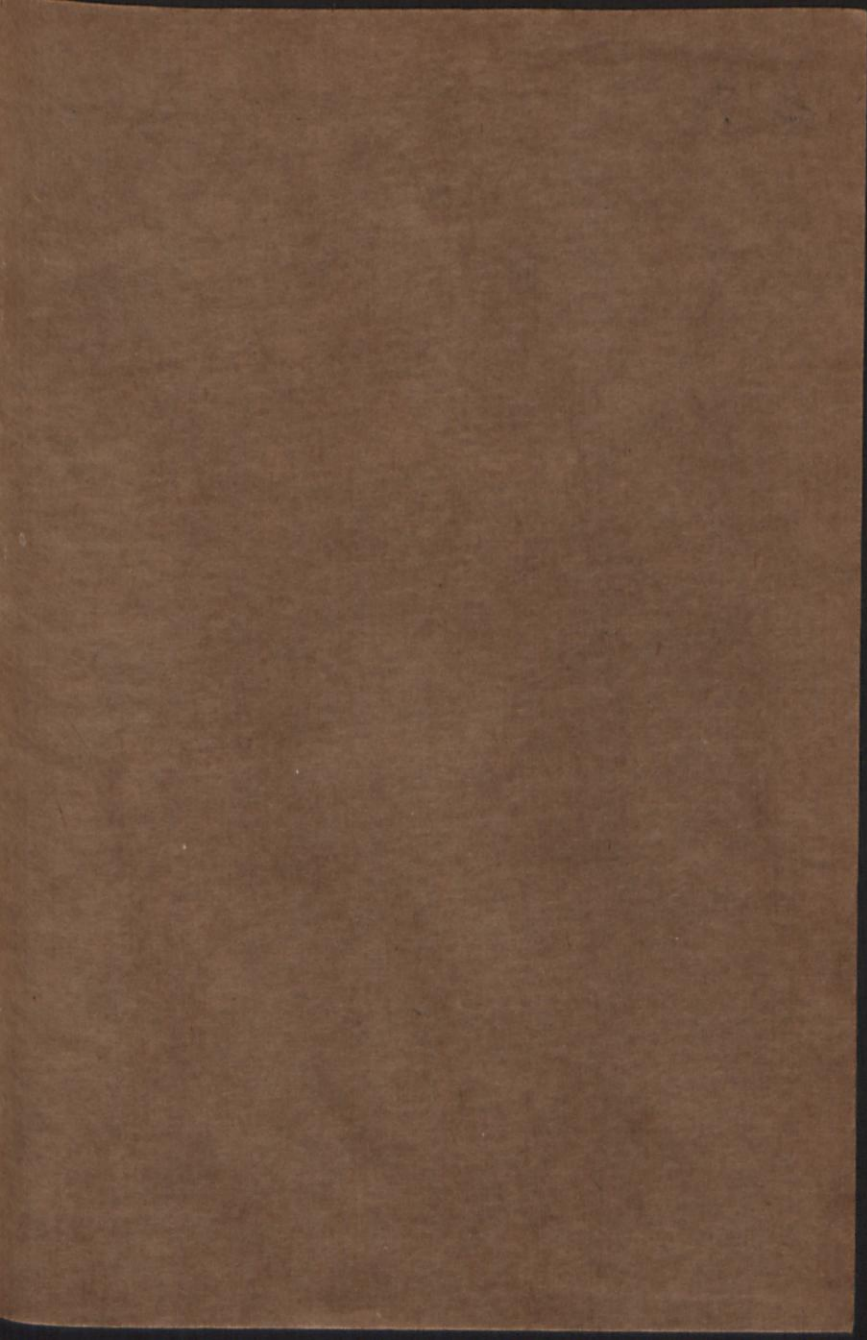
Uderzony bagnetem w pierś, padł z rozkrzyżowanymi rękoma na wznak pocziwy Tyszkiewicz. Nie dojrzał już Jasińskiego...

W oknie pałacu Borchów na Miodowej mdlała raz po raz Tekla Grozmaniowa.

SPIS ROZDZIAŁÓW

<i>Od Autora</i>	7
Piknik	20
W kaffenhausie	37
Nędza i smutek	50
Rewers na poddanę	57
Zrzuciśmy dawne wrażenia	68
Teklunia	83
Cherchez la femme	93
Idźmy za przykładem Francuzów	104
Odezwa	122
Pod Polanami	126
Języki, języki, języki	137
Listy, listy, listy	148
Umiarkowana jaśniewielmożność	157
Byłeś winny, żeś oryginalny	165
Statysta	194
Troski i nadzieje	199
Nadnarwiańska dywizja	208
Przed kratkami Konwentu	219
Kruki lecą po prawej stronie	227
Quam dulce et decorum...	239





252



Księgozbiór BP



10043686

Zamosc ul. Pereca 14
Biblioteka Publiczna